WYDANIE NA BOŻE NARODZENIE – 116 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 51/456 20–27 GRUDNIA 2021

Bóg nie pozwolił się wypędzić – wywiad z księdzem profesorem Waldemarem Chrostowskim

Piotr Semka broni Romana Dmowskiego

Rafał A. Ziemkiewicz o Stanisławie Michalkiewiczu

Joanna Siedlecka o kobietach Mariana Hemara

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład: 55 700 egzemplarzy

Esej Pawła Lisickiego

CHRYSTUS NA TRONIE DAWIDA

NARODOWY BANK POLSKI

DBAMY O WARTOŚĆ POLSKIEGO PIENIĄDZA

Bank Światowy

Niezwykle ważne jest bezprecedensowe wsparcie, jakiego władze udzieliły w celu ochrony dochodów, ochrony miejsc pracy. Należy docenić rolę zarówno Narodowego Banku Polskiego, jak i rządu.

Gallina Vincelette, dyrektor Banku Światowego na Unię Europejską, dla portalu „Obserwator Finansowy" – listopad 2021

Prezes NBP prof. Adam Glapiński laureatem głównej nagrody „Polski Kompas 2021"

Za bezkompromisowe, przemyślane i skuteczne decyzje podejmowane przez bank centralny w czasie kryzysu, za złoto, którego wciąż przybywa w skarbcu Narodowego Banku Polskiego, za niezależność i spokój godny władzy finansowej kraju.

„Polski Kompas" – październik 2021

Nagroda Gospodarcza Prezydenta RP

Zdecydowałem się ją przyznać, dlatego że ostatnie dwa lata – a zwłaszcza poprzedni rok, ale w dużej części i ten – był to czas bardzo trudny także dla mnie jako Prezydenta, który martwi się o bezpieczeństwo Rzeczypospolitej. Chodzi także o bezpieczeństwo gospodarcze, a jego niezwykle ważną częścią jest bezpieczeństwo systemu bankowego.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda – listopad 2021

Międzynarodowy Magazyn CFI.co

Uzasadnienie decyzji przyznania nagrody „Najlepiej zarządzany bank centralny w Europie w 2021 roku": Pod kierownictwem prof. Adama Glapińskiego NBP błyskawicznie zareagował na pojawienie się pandemii, co pozwoliło uchronić polską gospodarkę przed spełnieniem się najgorszego scenariusza głębokiej recesji i wysokiego bezrobocia. Narodowy Bank Polski, a przez to i Polska, jest liderem w zakresie walki z gospodarczymi skutkami pandemii.

Capital Finance International – kwiecień 2021

nbp.pl/opinie

eprasa.pl ed1acd778b

W RZECZY SAMEJ

Między spamem a nadzieją

PAWEŁ LISICKI

Rewolucjonistów Boże Narodzenie drażniło od zawsze. Odrzucali przekonanie, że na świat zstąpił Bóg, że narodził się z Dziewicy i że Chrystus dorastał otoczony troską Marii i Józefa. To, że pamięć o tym zdarzeniu i obraz Świętej Rodziny tak głęboko przeniknęły do kultury i obyczajów całego chrześcijańskiego Zachodu – wystarczy przypomnieć sobie o niezliczonych szopkach, wspaniałych obrazach, pięknych kolędach, oratoriach, przedstawieniach; to, że stała się ona symbolem nadziei, czułości i miłości, budziło ich złość i frustrację. Zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że kto chce wyrugować religię z życia, ten musi usunąć jej znaki i pozbawić ją aury ciepła i bliskości, czyli dokładnie tego, co stanowi przesłanie Bożego Narodzenia.

Pierwszymi, którym skutecznie udało się zlikwidować święta Bożego Narodzenia, byli jakobini w 1793 r. Wprowadzili nowy kalendarz, nowe świeckie obchody. Kościoły zamknęli, a tysiące księży po prostu zamordowali. Tę tradycję przejęli komuniści. Pierwszym oficjalnym świętym bolszewickim został niejaki Nikołaj Bauman, bliski współpracownik Włodzimierza Lenina, wysłany przez niego w 1904 r. do Rosji. Bauman, jak pisze Stéphane Courtois, „wywołał jednak wielkie kontrowersje w związku z pewną towarzyszką, którą narysował jako Dziewicę Maryję z dzieckiem w łonie, przy którym postawił znak zapytania o tożsamość ojca. Zrozpaczona kobieta powiesiła się, a wielu towarzyszy, w tym Martow [przywódca mienszewików – przyp. P.L.], domagało się, aby Bauman został wykluczony z partii. Lenin był temu przeciwny, argumentując, że był dobrym działaczem, a przecież tylko to się liczyło". Ostatecznie sądu na bolszewickim bluźniercy dokonał przedstawiciel Czarnej Sotni, co pozwoliło Leninowi zorganizować gigantyczny pogrzeb pierwszego męczennika komunizmu. Były to inne czasy, kiedy profanacja mogła wywołać tak gwałtowne poruszenie. Dzisiaj równie obrzydliwe, a może jeszcze gorsze napaści na chrześcijan przechodzą bez większego echa – ostatnim aktem takiej perwersji była okładka niemieckiego pisma gejowskiego, na której lider aktywistów homoseksualistów zapozował jako Maryja z brodą, tworząc razem z innym homoseksualistą szyderczy wizerunek tęczowej rodziny. Pan ten okazał się ambasadorem środowisk LGBT przy Unii.

W tym samym czasie, kiedy chrześcijanie raz po raz muszą stykać się z bluźnierstwami, ukazał się sławetny unijny projekt regulaminu, który w ramach walki z dyskryminacją domagał się wycofania z języka określenia „Boże Narodzenie". Nie byle jaki projekt, bo wstęp do niego napisała unijna komisarz ds. równości, pani Helena Dalli. Przeszkadzały jej nie tylko zbyt mało inkluzywna nazwa świąt, lecz także inne znaki chrześcijańskiej kultury, jak choćby imiona „Maria" czy „Jan". Wprawdzie po fali oburzenia – jeszcze na to mogą się zdobyć współcześni mieszkańcy Europy – pani komisarz z projektu na razie się wycofała, ale trudno się cieszyć: raptem kilka dni temu można było przeczytać e-mail, który w tym roku otrzymali asystenci członków Parlamentu Europejskiego. Napisał go Adam Mouchtar, specjalny doradca polityczny PE. W wiadomości zatytułowanej „Żadnych świątecznych życzeń" Mouchtar zwrócił się do asystentów eurodeputowanych z prośbą, aby ci namówili ich do zrezygnowania z wysyłania życzeń z okazji Bożego Narodzenia. Asystent stwierdza wprost, że życzenia są „traktowane jak spam" i są uciążliwe.

Cóż, dzięki temu łatwo dostrzec genealogię ideową współczesnych urzędników i polityków Unii, a przynajmniej wielu z nich. Niczego to dobrego na przyszłość nie wróży: walka z symbolami chrześcijańskimi zawsze wiązała się z późniejszymi prześladowaniami. Z drugiej strony, czy to nie najlepszy dowód żywotności wiary w Boże Narodzenie? Czasy się zmieniają, ale moc zła zawsze skierowana jest w tę samą stronę? ©℗

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ WE WTOREK 28 GRUDNIA

eprasa.pl ed1acd778b

TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ LISICKI
NA TRONIE DAWIDA
O więzi Chrystusa z Dawidem

22 ROZMOWA Z KS. PROF. WALDEMAREM CHROSTOWSKIM
BÓG NIE POZWOLIŁ WYPĘDZIĆ SIĘ ZE ŚWIATA

KRAJ

26 PIOTR SEMKA
NIEWYGODNY DMOWSKI
Feministki kontra jeden z ojców niepodległej Polski

30 KAMILA BARANOWSKA
KANDYDATKI NA KANDYDATKĘ

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PAN MICHALKIEWICZ

36 ROZMOWA Z PIOTREM SCHRAMMEM
CZUJĘ SIĘ SIEWCĄ PRAWDY

38 ROZMOWA Z ZOFIĄ NOCETI-KLEPACKĄ
WSZYSTKO, CO NAJWAŻNIEJSZE

KULTURA

40 JERZY MIZIOŁEK
Z DZIEJÓW TEATRU WIELKIEGO
Wielki teatr, wielki projekt

42 JOANNA SIEDLECKA
I NIKT, TYLKO TY

46 PIOTR GOCIEK
KRYSTMASOWA KONTRREWOLUCJA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 OLIVIER BAULT
SPĘTANA WIELKA BRYTANIA
Przegrana wojna o wolność słowa

58 GRZEGORZ KUCHARCZYK
KTO ZACZĄŁ „POLITYKĘ SPÓJNOŚCI"?

62 ŁUKASZ WARZECHA
TYRANIA EKSPERTÓW

64 JAN FIEDORCZUK
PIS I UNIA – MIŁOŚĆ NIEODWZAJEMNIONA

HISTORIA

66 JACEK KOMUDA
SAMOOBRONA WILEŃSKA: WIGILIA Z BOLSZEWIKAMI
Czerwone zagrożenie

69 TOMASZ ROWIŃSKI
CZASY PRZEŁOMU WCIĄŻ MAJĄ ZNACZENIE

72 KRZYSZTOF MASŁOŃ
GRUPA KRWI TERESY TORAŃSKIEJ

ŚWIAT

78 PIOTR ZYCHOWICZ
WOLTA JAKOWA SZARETA
Szokujący wywiad w dzienniku „Haarec"

82 CEZARY GMYZ
NIEMIECKA HIPOKRYZJA

84 WITOLD REPETOWICZ
POZORNA ZMIANA?

EKONOMIA

86 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM SZUJECKIM
KREZUSI II RZECZYPOSPOLITEJ
Premiera książki „Milionerzy przedwojennej Polski"

90 JAKUB WOZINSKI
DOPAMINOWY KRÓL

94 JACEK PRZYBYLSKI
MEGALOTNISKO CORAZ BLIŻEJ

STYL

98 JOANNA BOJAŃCZYK
KRÓL NA WYGNANIU
Juan Carlos – łowca słoni i spódniczek

100 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KEVIN 30 LAT PÓŹNIEJ

O ZDROWIU

102 KATARZYNA PINKOSZ
PRZERWAĆ CISZĘ
Henryk Skarżyński mógłby być bohaterem niejednego hollywoodzkiego filmu

SPORT

106 ŁUKASZ ZBORALSKI
NIGDY SIĘ NIE PODDAWAJ
Sportowcy na krawędzi

FELIETONY:

SEMKA (7), GMYZ, GOCIEK (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (76), PRZYBYLSKI (81), GABRYEL, WARZECHA (96), KOMUDA (110), KARWELIS, POSPIESZALSKI (111), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (1112), KUCHARCZYK (1113), CEJROWSKI (114)

eprasa.pl ed1acd778b

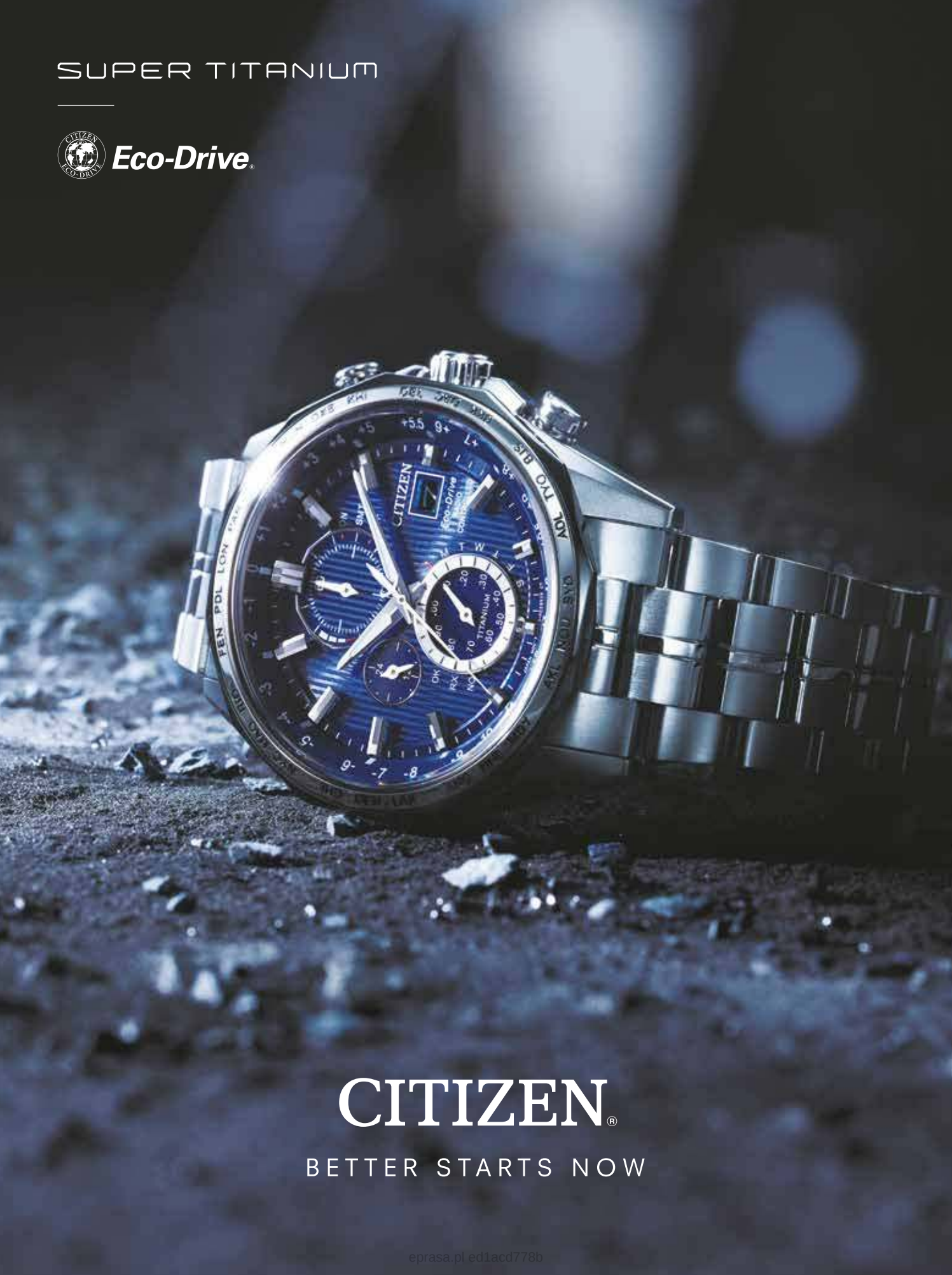

eprasa.pl ed1acd778b

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Peter Paul Rubens „Pokłon pasterzy", fot. Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 55 700 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Stracona dekada

Ten tekst piszę 12 grudnia 2021 r., czyli kilka godzin przed 40. rocznicą wprowadzenia stanu wojennego. [...] sądzę, że ciągle jeszcze sporo przed nami. Ocena oraz opisanie tych dramatycznych lat to wyzwanie nie tylko dla ich bezpośrednich uczestników, lecz także przede wszystkim dla przyszłych pokoleń, na których spoczywa obowiązek utrwalenia historii swoich ojców i dziadów.

Jako przyczynek do dalszych badań wspomnianego okresu zwracam uwagę na dziwną dychotomię w wypowiedziach licznych polityków, dziennikarzy, a nawet profesjonalnych historyków. Większość z nich opisując okres 1981–1989, używa sformułowania „stracona dekada", podkreślając, że w tych latach nastąpiło zablokowanie aktywności społecznej i możliwości rozwoju gospodarczego kraju. Tymczasem słowo „dekada" oznacza okres 10-letni, więc wszystkim, którzy określają tymi słowami lata 1981–1989, proponuję sformułowanie „stracona oktawa". Paradoksalnie, ja osobiście uznaję określenie „stracona dekada" za trafne i zachęcam do jego używania w kontekście lat 1981–1991, ponieważ po ponad trzech dziesięcioleciach od tamtych wydarzeń wyraźnie widać skutki okrągłostołowego przejścia od PRL do III Rzeczypospolitej.

Niemające niczego wspólnego z demokratycznymi standardami wybory do Sejmu z 4 i 18 czerwca 1989 r. oraz siłą i szantażem wymuszony wybór na stanowisko prezydenta PRL (bo taką oficjalną nazwę nosiło Państwo Polskie w czerwcu 1989 r.) Wojciecha Jaruzelskiego – sowieckiego generała w polskim mundurze bezpośrednio odpowiedzialnego za wprowadzenie stanu wojennego (w tym za śmierć ponad stu osób zamordowanych w tamtym czasie) – oddały pełnię władzy, w tym decyzji gospodarczych, politycznych i społecznych w ręce środowisk postkomunistycznych, nigdy w swojej działalności niekierujących się troską o dobro państwa i Polaków.*

Zdominowany przez ludzi Solidarności Senat i wybrany w roku 1990 na prezydenta RP Lech Wałęsa (nawiasem mówiąc, prawdopodobnie ze względu na niechlubny epizod w swojej działalności, ulegający szantażowi polskich i rosyjskich służb specjalnych) nie byli w stanie zrównoważyć dominacji obozu postkomunistycznego, w większości składającego się z byłych członków PZPR. To wszystko zagwarantowało wąskiej grupie wywodzącej się z obozu dawnych „władców" Polski przejęcie znacznej części narodowego majątku i w dłuższej perspektywie stworzenie systemu paraoligarchicznego oraz pozbawienie szans na równorzędną rywalizację na drapieżnym rynku kapitalistycznym tych, którzy niepodległość wywalczyli.

Sądzę, że ze względu na długoletnią propagandę i manipulację faktami dla wielu Polaków „stracona dekada" to lata 1981–1989, ale jednocześnie odnoszę wrażenie (a w każdym razie mam taką nadzieję), że dla coraz większej ich liczby „stracona dekada" skończyła się w roku 1991, a wolna, niepodległa Polska zaczęła po wyborach z 27 października, w wyniku których w listopadzie 1991 r. na czele rządu RP stanął premier Jan Olszewski. Niestety skutki sytuacji wytworzonej w latach 1989–1991, o której pisałem powyżej, spowodowały upadek jego rządu już w czerwcu 1992 r. i wieloletnie zablokowanie szans na zbudowanie państwa obywatelskiego opartego na demokratycznym ładzie i sprawiedliwym rozliczeniu tych, którzy starali się do demokratycznych przemian nie dopuścić. Ale to już temat na odrębny artykuł, który pewnie kiedyś napiszę.

Wojciech Starzyński

**Działania Wojciecha Jaruzelskiego w latach 1980–1990 to tylko jeden z fragmentów jego „oszałamiającej" kariery rozpoczętej współpracą z Informacją Wojskową Ludowego Wojska Polskiego, a tym samym z sowieckimi służbami specjalnymi. To na ich zlecenie (w każdym razie na pewno za ich zgodą) brał udział w zwalczaniu powojennego Polskiego Podziemia Niepodległościowego (żołnierzy wyklętych), aktywnie uczestniczył w czystkach 1968 r., mających na celu usunięcie z wojska żołnierzy pochodzenia żydowskiego, oraz w interwencji wojsk polskich tłumiących w roku 1968 wolnościowe ruchy w Czechosłowacji (tzw. Praska Wiosna). Największą jednak zbrodnią Wojciecha Jaruzelskiego, obok wprowadzenia stanu wojennego, była kierownicza rola w pacyfikacji buntów robotniczych na Wybrzeżu w roku 1970, w wyniku których śmierć poniosło co najmniej kilkaset osób.*

eprasa.pl ed1acd778b

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Lewica znów się pruje

Odejście z hukiem grupy parlamentarzystów pod wodzą Andrzeja Rozenka z klubu Lewicy pokazuje, że kryzys w czerwonym obozie trwa. Włodzimierz Czarzasty był przekonany, że opanował sytuację, organizując efektowny kongres w październiku. U jego boku pojawił się wtedy Aleksander Kwaśniewski. Kolejne przemówienia stronników Czarzastego miały przekonać, że okres burz to już przeszłość. Teraz odejście grupy Rozenka, która przybrała nazwę Polskiej Partii Socjalistycznej, to dla lidera Lewicy spore zagrożenie. Od tej chwili wszyscy, którzy wejdą w konflikt z Czarzastym, mają już dokąd pójść. Oczywiście nie zmienia to dobrego samopoczucia dominującej grupy w obozie Lewicy. Krzysztof Gawkowski deklaruje: nie mamy sobie nic do zarzucenia. Czarzasty dość trafnie wskazuje, że secesjoniści od Rozenka to ludzie w większości zaprzyjaźnieni z Leszkiem Millerem. Były lider SLD – uhonorowany przez Platformę miejscem w europarlamencie – stał się rozgrywającym Donalda Tuska po lewej stronie. Także wielu innych kontestatorów Czarzastego to ludzie, którzy doskonale kooperowali z platformersami we władzach samorządowych.

Dzisiaj ekipa Rozenka chce wykorzystać te stare tradycje współpracy. Do wyborów są dwa lata. Tusk może wpuścić uciekinierów od Czarzastego na listy zjednoczonego bloku opozycji. A to może być atrakcyjny wabik dla wielu dziś jeszcze lojalnych Czarzastemu lewicowców. W sytuacji, gdy Nowa Lewica nie potrafi wyrwać się w sondażach ponad 9 proc., coraz więcej posłów spod znaku czerwonego sztandaru zaczyna kalkulować, czy nie opłaca im się przejście do PPS.

Problem jest jednak szerszy. Lewica nie posiada atrakcyjnego lidera. Czarzasty zraża do siebie ludzi swoim zamordyzmem. Grupa hałaśliwych i feministycznych działaczek Lewicy, których przykładem jest Barbara Nowacka, nie wykazuje się specjalną charyzmą. A Robert Biedroń okazał się dużym dzieckiem, pieczeniarzem, który po zdobyciu mandatu europosła wyzbył się ambicji przywódczych. Są jeszcze Adrian Zandberg i jego partia Razem, ale ten coraz bardziej jawi się jako polityczny autysta.

I to jest problem Lewicy, która teoretycznie powinna mieć powody do radości z racji zmian w myśleniu Polaków o Kościele i postulatów feministek. Cóż jednak z teoretycznie korzystnej koniunktury, gdy nie ma lidera, który potrafiłby to wykorzystać? Jako remedium Andrzej Rozenek i Joanna Senyszyn proponują jeszcze bardziej pryncypialny antypisizm. Wielu lewicowych komentatorów, jak np. Rafał Woś, wskazuje, że to recepta na wieczny status giermka u boku wielkiej Platformy Obywatelskiej. Czarzasty raz postanowił zagrać z PiS przy okazji głosowania w sprawie funduszy unijnych i fala wyzwisk, z którą się zderzył, niemal go obaliła.

Może więc dojść już niedługo do groteskowego wyścigu między Lewicą Czarzastego a PPS Rozenka – kto ostrzej atakować będzie partię Jarosława Kaczyńskiego. Ale samodzielności i skuteczności obozowi czerwonego sztandaru to bynajmniej nie przyniesie. Po odejściu Aleksandra Kwaśniewskiego młodsze pokolenie czerwonych wykazuje się o wiele słabszą charyzmą i pomysłowością. I to być może najbardziej dotkliwa odpłata Opatrzności za stan wojenny. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

NOWY REKORD WYNAGRODZEŃ W POLSCE

Według najnowszych danych GUS przeciętne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw wyniosło w listopadzie 6022,49 zł brutto. Pierwszy raz w historii „średnia krajowa" przebiła pułap 6 tys. zł. Wzrost wynagrodzeń w ujęciu rocznym wyniósł zaś aż 9,8 proc. oraz 1,8 proc. w ujęciu miesięcznym. Taka dynamika wzrostu płac, istotnie przekraczająca oczekiwania ekonomistów, to znak, że wysoka inflacja zostanie w Polsce na dłużej. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

dwaj panowie g

Rok zleciał, jak z bicza strzelił, choć w kwarantannie czas potrafi się dłużyć. Mieliśmy więc sporo czasu na to, by przygotować listę prezentów dla bohaterów naszej wpływowej i eleganckiej rubryki. Proszę pamiętać, że my tylko przygotowaliśmy i wysłaliśmy w odpowiednie miejsce. Za dostarczenie do adresatów odpowiada już władza zwierzchnia. Nie, nie chodzi nam o redaktora Pawła Lisickiego, lecz o papę Noela, Fathera Christmasa, Gwiazdora, Świętego Mikołaja, Aniołka, Jezuska – my nie dyskryminujemy.

DLA PREZYDENTA ANDRZEJA SEBASTIANA – ważne zagraniczne stanowisko. Wiemy, że o nim marzy. Nie możemy zdradzić, jakie dokładnie, gdyż moglibyśmy zapeszyć.

DLA PREZESA PIS JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO – umiejętność już nie tylko bilokacji, lecz także w ogóle przebywania naraz w wielu miejscach. Wszędzie jest bowiem potrzebny. Ale w odróżnieniu od Oleksego – potrzebny naprawdę.

DLA SZEREGOWEGO WICEPREMIERA JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO – rózgę. Ale nie w sensie, że był niegrzeczny, tylko rózgę do codziennego użytku. Na przykład na Mejzie.

DLA PREMIERA MATEUSZA MORAWIECKIEGO – działkę. Niedużą, gdzieś pod miastem. Chcielibyśmy bowiem, żeby jednak jakąś miał. Człowiek potrzebuje miejsca, w którym mógłby się wyciszyć, grzyby zbierać, ognisko zapalić, pograbić liście.

DLA WICEPREMIERA PIOTRA GLIŃSKIEGO – Ministerstwo Sportu. Wiemy, że bardzo się za nim stęsknił.

DLA WICEPREMIERA JACKA SASINA – „Rzeczpospolitą". Wiemy, że spółki Skarbu Państwa marzą o tej akwizycji. I my to rozumiemy. Z potencjalnych panów S. jako przyszłego właściciela dziennika Hajdabomberowego wolelibyśmy jednak Sasina niż Sorosa.

DLA ZBIGNIEWA ZIOBRY – model wymiaru sprawiedliwości z klocków Lego. Skoro bowiem po dotychczasowych licznych reformach czekają nas w przyszłości reformy równie liczne, to pomyśleliśmy, że należałoby najpierw poeksperymentować w bezpiecznej formie. A co lepiej nadaje się do poukładania na nowo klocków jak nie klocki?

DLA MICHAŁA DWORCZYKA – wielka skrzynka pocztowa, taka tradycyjna, jak w amerykańskich filmach. Osadzona na słupku przed domem. Dzięki temu z okna szef kancelarii będzie widział na bieżąco, czy ktoś mu się nie włamuje do poczty.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

DLA MINISTRA OBRONY MARIUSZA BŁASZCZAKA – Chucka Norrisa. Oglądamy telewizję, więc wiemy, że nawet w zaawansowanym wieku byłby nieocenioną pomocą w obronie polskiej granicy. Nie mówiąc o tym, że dowcipy o Chucku bardzo podniosłyby morale żołnierzy.

DLA MINISTRA ANDRZEJA ADAMCZYKA – zestaw tabliczek, które przydadzą się do stawiania obok oddawanych wkrótce mostów, obwodnic i wiaduktów. Są to tabliczki o treści: „Zbudowano bez udziału środków europejskich, jedynie dzięki wysiłkowi Polaków, których możecie, kochane brukselczyki, pocałować w ucho". Czas bowiem najwyższy, byśmy byli dumni z tego, z czego należy być dumnym.

DLA RYSZARDA CZARNECKIEGO – satelita telekomunikacyjny. Gdyż przerwy między wywiadami z Richardem emitowanymi w mediach są zdecydowanie zbyt długie. A dzięki satelicie mógłby transmitować sygnał z własnymi wypowiedziami całodobowo. Na cały świat. Taki, wiecie, kanał Rychu24.

DLA ŁUKASZA MEJZY – talon na terapię eksperymentalną. Istnieje nadzieja, że uda się dzięki niej przywrócić do normalnego funkcjonowania niektóre komórki mózgowe. Które wyraźnie szwankowały podczas organizowania słynnej konferencji.

DLA PAWŁA KUKIZA – dobrego gitarzystę. Mało kto bowiem wie, że Paweł cierpi nie tylko z powodu braku w Polsce demokracji bezpośredniej oraz z powodu partiokracji. Cierpi również, gdyż ma napisane od lat piosenki na kolejną płytę z Borysewiczem, ale jakoś Borysewicz nie ma czasu na nagranie. Więc trzeba go podmienić.

DLA DANIELA OBAJTKA – kolejną inwestycję/akwizycję. Ale nie w sektor medialny, tylko spożywczy. Na przykład w firmę Morliny. Pomyślcie, moglibyśmy wtedy jeść na stacjach benzynowych kabanosy Morleny!

DLA DONALDA TUSKA – aviomarin. Popularny środek zapobiegający mdłościom. To dlatego, że biedak ostatnio straszcie cierpi, gdyż mdli go Polska PiS. A my pamiętamy, że przecież nawet bez PiS go mdliła, aż ukuł dekady temu hasło: „Polskość to nienormalność".

DLA WŁADYSŁAWA KOSINIAKA-KAMYSZA z Peezel – komplet odcinków serialu „Król tygrysów" na DVD. Chodzi o przypomnienie, że nawet najbardziej groźne tygryski mają swoich szefów. Dlatego na okładce wmontowaliśmy w twarz Joe Exotica podobiznę Tuska.

DLA SZYMONA HOŁOWNI – drzewo. Gdyż to, które symbolicznie zasadził parę lat temu w sercach milionów Polaków, jakoś nie wyrosło. Co gorsza, ponieważ uczucia zdecydowanej większości Polaków w kwestii Szymona Płaczliwego są dość jasne, to nie będzie zwykłe drzewo. To będzie bambus.

DLA RAFAŁA TRZASKOWSKIEGO – kapelusz z rondem. Pal sześć sam kapelusz, chodzi o rondo. Rafcio będzie je mógł sobie nazwać, jak zechce, więc może wtedy odczepi się od ronda Dmowskiego w Warszawie.

DLA BORYSŁAWA BUDKI – cokolwiek. Ucieszy się i tak. Jak to człowiek, który w błyskawicznym tempie przeszedł drogę ze świecznika donikąd.

DLA IZABELI LESZCZYNY – komitet wyborczy popierający Izabelę Leszczynę, kandydatkę na prezydenta Polski. Nie

eprasa.pl ed1acd778b

dość, że ona o tym marzy, to i my już się nie możemy doczekać jej przemówień na wiecach, jej klipów wyborczych oraz pogłębionych wywiadów.

DLA KRYSTYNY JANDY – duży bochenek chleba. Słyszeliśmy, że u niej straszna bieda, inflacja i wprowadzony przez PiS stan wojenny, więc kobiecina musi chleb dzielić na kawałki i mrozić w lodówce, bo tam Ziobro nie zajrzy podczas rewizji. Do chleba dokładamy trochę soli, żeby było jak znalazł, gdy przyjdzie czas witać chlebem i solą wyzwolicieli z Brukseli i Berlina, którzy przecież kiedyś w końcu muszą nadejść.

DLA WŁODZIMIERZA CZARZASTEGO – coś do sweterka. Dotąd bowiem zawsze dostawał od nas kolorowe sweterki. Teraz proponujemy do sweterka czapkę. Czapkę niewidkę, będzie pasowała do senatorów Lewicy, którzy byli, a potem zniknęli.

DLA ROBERTA BIEDRONIA – kożuch. Piękny, ciepły polski kożuch, ekologiczny, bo z prawdziwej, zdrowej owcy. I do tego kożucha piękny, prawdziwy, ekologiczny polski kwiatek. Ten prezent będzie przypominał Robikowi na co dzień, jaką rolę odgrywa przy Czarzastym.

DLA ADAMA MICHNIKA – wiadro wódki. Bo ta pita z Jaruzelskim już dawno się skończyła. Uwaga od producenta – pić z umiarem! Gdyż po wódce widzi się często demony. W przypadku tego akurat trunku są to demony polskiej transformacji.

DLA TEFAUENÓW – komplet dzienników Goebbelsa. Pełne 29 tomów. W każdym można znaleźć inspirację dla wielu wydań „Faktów", powinno wystarczyć do następnych świąt. Oprawiona w skórę z rosyjskiego mamuta edycja powinna się zmieścić na Wiertniczej tuż obok szafki ze starymi wydaniami książek Urbana, oprawionymi w skórę kobyły.

DLA TOMASZA LISA – karta wejściowa do czytelni tefauenów. Jemu też się przyda ten komplet Goebbelsa, a przecież sknery z Wiertniczej Lisowi nie pożyczą. Nas zaś nie stać na dwa komplety, bo wszystko wydaliśmy na klocki Lego dla Ziobry. Zatem wyposażony w wejściówkę Lis będzie mógł sobie incognito chodzić do biblioteki tefauenów i czytać Goebbelsa gratis.

DLA SŁAWOMIRA NOWAKA – zegarek. Niezbyt drogi, gdyż nie chcemy być przyczyną kolejnych kłopotów Sławka. No i pokazujący tylko czas ukraiński.

DLA ROMANA GIERTYCHA – zapiski więzienne Sławka Nowaka. Mądrze jest się zawczasu przygotować do kolejnego etapu.

DLA SENATORÓW, NIEZALEŻNIE OD PRZYNALEŻNOŚCI – nowy, mało używany marszałek Senatu.
Mamy bowiem dziwne przekonanie, że ten dotychczasowy może nie dotrwać na stanowisku do kolejnej Gwiazdki.

DLA WIEWIÓREK zaopatrujących naszą rubrykę w orzeszki – maseczki. Nie tylko z powodów zdrowotnych, chodzi też o to, by jeszcze lepiej ukryć waszą tożsamość.

DLA WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW NASZEJ RUBRYKI – bilety lotnicze w wersji open. Niech się ten cyrk wreszcie skończy, a wtedy Wy, Kochani, lećcie gdzieś odpocząć, walnijcie się na plaży z drinkiem i „Do Rzeczy" w dłoni, a zanim wrócicie, nie zapomnijcie nam wysłać dokumentujących ten odpoczynek fotek. Gdyż podobnie jak Wy okrutnie już jesteśmy spragnieni normalności. Nie nowej normalności, tylko takiej zwykłej, normalnej normalności. ©℗

REKLAMA

8-lecie WCN WSZYSTKO CO NAJWAŻNIEJSZE

Najnowsza książka Érica Zemmoura do nabycia wyłącznie w świątecznej przedsprzedaży z prenumeratą miesięcznika „Wszystko co Najważniejsze"

Zrozumieć Francję.
Zrozumieć Europę.
Jeśli taki jest cel,
to tylko z tym Autorem.

Eryk Mistewicz

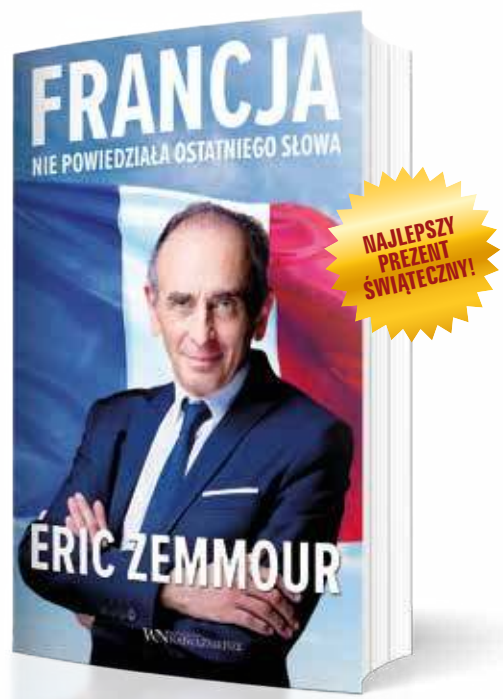

Świąteczna promocja:
• 6 numerów miesięcznika + książka: 86 zł
• 12 numerów miesięcznika + książka: 129 zł

Zakup dla odbiorców w kraju: www.SklepIdei.pl/wcn | Zakup dla odbiorców za granicą: infolinia +48 58 679 00 00

www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl

eprasa.pl ed1acd778b

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Puste nadzieje

Szczyt unijny, którego proponowane konkluzje nazwał premier Morawiecki „pustymi" – uzasadniając w ten sposób ich odrzucenie w imieniu Polski – zajął się przede wszystkim dwoma sprawami: uzgodnieniem wspólnej reakcji na spodziewaną napaść Rosji na Ukrainę oraz lawinowo rosnącymi cenami energii, które powodują inflację i liczne wynikające z niej problemy dla gospodarki, zwłaszcza w mniejszych krajach.

W pierwszej sprawie uczestnicy szczytu zgodzili się, że jeśli Putin zaatakuje Ukrainę, to oni zareagują na to oburzeniem. Niestety, sposobu wyrażenia tego oburzenia nie udało się skonkretyzować. Zgodzono się, że mają to być jakieś „sankcje". Czy będą polegać na rysowaniu kredkami po asfalcie czy na zbiorowym śpiewaniu „Imagine", to wymaga dalszych uzgodnień na najwyższym szczeblu.

Natomiast postulaty polskiego premiera, by czasowo zawiesić system spekulacji limitami emisji CO_2, który, co premier słusznie zauważył – poniewczasie, ale lepiej późno niż później – stanowi nieprzewidywalny, stale rosnący podatek nałożony na produkcję energii, został stanowczo przez dominujące w Unii Niemcy odrzucony. Spekulacji na emisjach nie tylko nie wolno zawieszać, nie mówiąc już o likwidowaniu, lecz także należy ją jeszcze rozszerzyć na uprawnienia dotyczące budownictwa i transportu. Odrzucono też postulaty, żeby za bezemisyjną uznać energetykę jądrową, która, co prawda, jest jedyną niepolegającą na spalaniu, a więc jedyną niewytwarzającą CO_2 – ale nie jest przesyłana do Niemiec żadnym nordstreamem, więc nie daje im poczucia sprawowania kontroli nad całym kontynentem. I tu wola Unii jest niezłomna: ratowanie planu ma polegać na likwidacji spalania węgla na rzecz spalania gazu – jako paliwa przejściowego. A docelowo – wodoru, robionego przez Rosję z tegoż gazu i przysyłanego przez Niemcy tym samym nordstreamem. I nieważne, że z punktu widzenia klimatu nie ma to żadnego sensu – ważne, że ma z punktu widzenia Berlina i sojuszniczej Moskwy.

W tej sytuacji słowa pana premiera wydają się rozpaczliwym podtrzymywaniem nadziei, że kiedyś, na następnych szczytach… Nic na to nie wskazuje. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Światło wśród mroku

Słyszymy dziś czasem, że chrześcijaństwo nie potrzebuje „populistów", którzy do życia społecznego wnoszą jedynie swe prymitywne emocje i uproszczone sądy. Dwa tysiące lat temu elity społeczne miały podobny stosunek do ludu. Słyszymy echo tego w Ewangelii, w pogardzie dla tych, którzy „cali urodzili się w grzechach", więc powinni jedynie słuchać światlejszych i wrażliwszych (por. J 9,34). Ale Zbawiciel, sam będąc księciem z Domu Dawida, właśnie ich – prostych pasterzy, nieczystych amhaareców – chciał mieć za świadków swego Narodzenia.

Dziś Kościół potrzebuje ich tak samo jak wtedy. Potrzebuje katolików, którzy zachowali uparty, nieusuwalny zmysł świętości, nie zgadzając się na polityczną supremację nad naszymi świątyniami, nad kultem i udzielaniem sakramentów. Potrzebuje rodziców, którzy bronią szacunku dla wartości rodzinnych w wychowaniu szkolnym, nawet jeśli nie potrafią dyskutować z wyznawcami Judith Butler. Potrzebuje narodów przywiązanych do swego chrześcijańskiego dziedzictwa, nawet jeśli ich kulturę teologiczną trzeba stale podnosić.

Minęła 40. rocznica Nocy Grudniowej, która przyniosła wiele cierpień, ale tak, jak nie przywróciła już przedsierpniowego poziomu cenzury, tak nie zdławiła poszerzonej wolności Kościoła. Polska zakwitła w latach 80. nowymi świątyniami, bo społeczeństwo zdobyło wolność ich budowy. Taka była wartość dodana (albo raczej – naddana) Solidarności i walki o prawa narodu.

Dziś znowu kroczymy w ciemności. Efekt ostatnich kilkunastu miesięcy to kompletna dehumanizacja nienarodzonych w debacie publicznej, przy całkowitym przyzwoleniu ze strony uczonych w prawach człowieka. Musimy się temu przeciwstawić, pamiętając jednak, że bez Boga każdy trud jest próżny. On jednak jest z nami, żaden „naród wielki nie ma bogów tak bliskich, jak Pan, Bóg nasz, ilekroć Go wzywamy" (Pwt 4,7). Tego doświadczamy w Boże Narodzenie. Szczęśliwych świąt dla Wszystkich! ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

Zmieniamy oblicze chorób genetycznych

Novartis zmienia kształt medycyny, aby poprawić jakość życia ludzi z rzadkimi chorobami genetycznymi.

Wykorzystując najnowocześniejsze technologie, pracujemy nad przekształceniem obiecujących terapii genowych w sprawdzone metody leczenia.

NOVARTIS | Reimagining Medicine

PL2111258198

eprasa.pl ed1acd778b

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O galopującej bolszewizacji

Ostatnio pisałem o ciekawej inicjatywie Komisji Europejskiej, która chciała z unijnego słownictwa wygumkować „Boże Narodzenie". Chwilę potem do boju o poprawny politycznie świat ruszyli aktywiści Parlamentu Europejskiego, a konkretnie Komisja Praw Kobiet i Równouprawnienia. Niemal jednogłośnie 11 grudnia przegłosowano rezolucję w sprawie ruchu #MeToo i molestowania seksualnego.

Przewiduje ona organizację obligatoryjnych kursów w tej sprawie dla wszystkich pracowników unijnych z europosłami na czele. Uderza rewolucyjny zapał nachalnej pedagogiki. Okazuje się więc, że już nie wystarczają dyrektywa, instrukcja czy wytyczne. Na drodze ku dyktaturze politpopu w ramach centralizmu demokratycznego czynownicy wykonali kolejny krok – powszechną, przymusową reedukację.

Trzeba uczciwie przyznać, że rezolucja o zsyłce opornych do obozów pracy milczy. Zgodnie z postulatami rezolucjonistów ci, którzy w tych seansach wezmą udział, mają znaleźć się na specjalnej liście chwały. Pozostali trafią na czarną listę hańby. Mało tego – wobec wciągniętych na nią europosłów przewidziano ograniczenie prawa zatrudniania asystentów i dalsze, bliżej niesprecyzowane sankcje.

Można brzydko podejrzewać, że PE jest gniazdem molestatorów seksualnych, bo nigdzie indziej jeszcze przymusowej reedukacji w tej sprawie nie wprowadzono, choć to zapewne radosna pieśń przyszłości. Zaniepokojony zadzwoniłem do koleżanki pracującej w Brukseli. Spadł mi kamień z serca. Zaklinała się, że w PE nie klepią pań po pupach, nie podszczypują i nie macają.

Dawno temu filozof i pisarz Wissarion Bielinski w swoim majątku pod Moskwą prowadził dla chłopów akcję uświadamiającą. Zafundował im odczyty pism utopijnego francuskiego socjalisty Charles'a Fouriera. Oczywiście w oryginale. Głupocie towarzyszyła jednak uczciwość. Płacił chłopom za obecność po kilka kopiejek. Niestety, eksperyment się nie powiódł. Gdy zmniejszył stawkę o połowę, niewdzięczne chaziajstwo się zbuntowało i nie przyszło. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl ed1acd778b

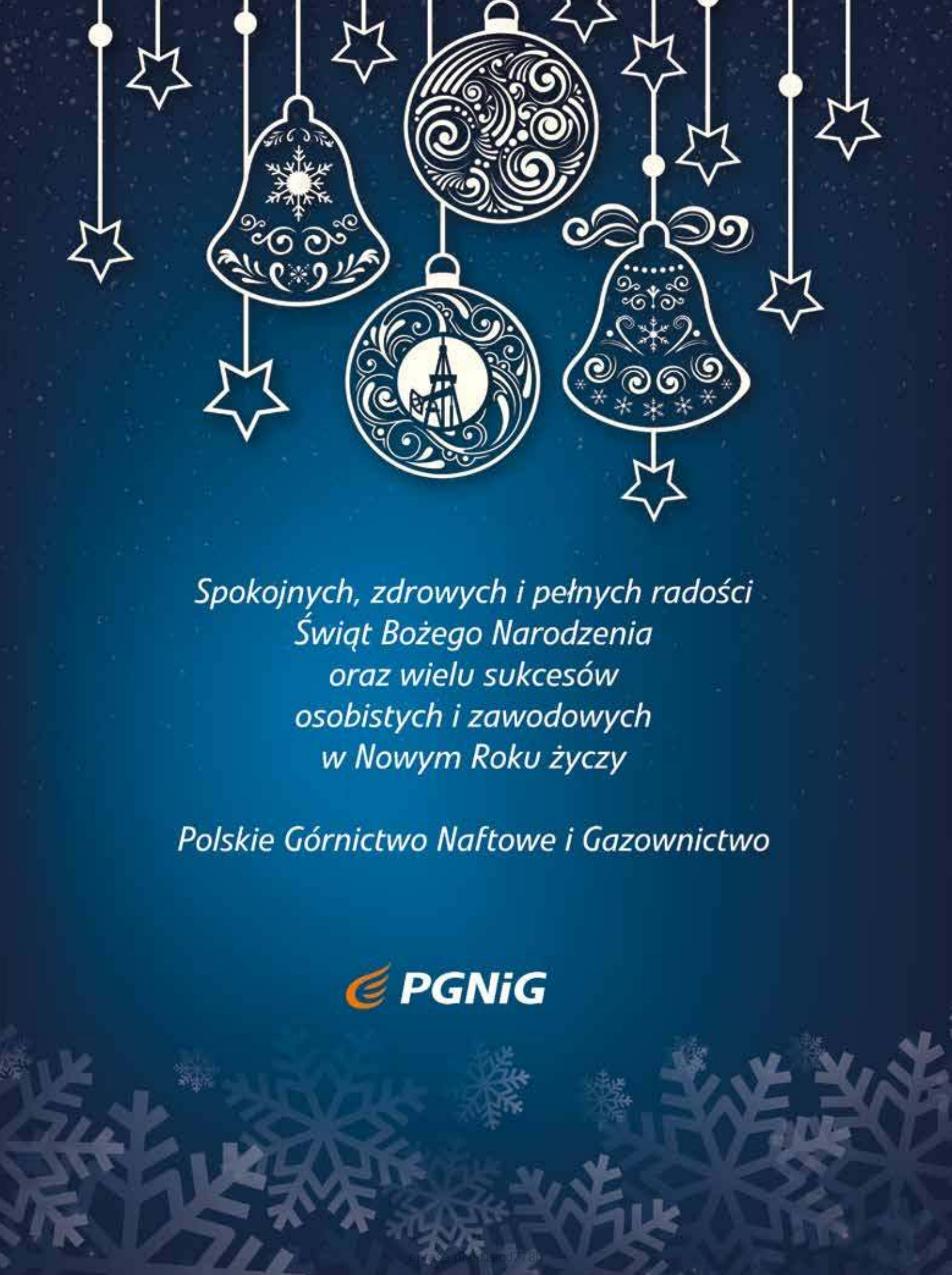
Spokojnych, zdrowych i pełnych radości
Świąt Bożego Narodzenia
oraz wielu sukcesów
osobistych i zawodowych
w Nowym Roku życzy
Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo
PGNiG

FOT. PAWEŁ GRONADA

SKARB NARODOWY

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/DOTYM/EAST NEWS

Newsem tygodnia bez wątpienia jest historia dziennikarza i gwiazdy telewizyjnej Piotra Kraśki. Otóż okazało się, że Kraśko od sześciu lat jeździł sobie bez prawa jazdy, które to zostało mu odebrane za przekroczenie dozwolonej liczby punktów karnych. „Super Express" poinformował, że gwiazdor wpadł w kwietniu podczas rutynowej kontroli drogowej, a niedawno dostał wyrok skazujący na karę grzywny 7,5 tys. zł i rok zakazu prowadzenia pojazdów. Kraśko, widząc rozlewające się w Internecie oburzenie i krytykę pod swoim adresem, wrzucił na Insta zdjęcie ze zbolałą miną i zaczerwienionymi oczami oraz przeprosił za swoje zachowanie. Napisał, że to „nigdy nie powinno się wydarzyć i jakiekolwiek usprawiedliwienia tego nie zmienią". Dodał: „Odpowiadając na bardzo zasadne w tej sprawie pytanie: Co on miał w głowie? Cokolwiek to było – było to bardzo głupie. I wstyd mi za to". Nie wszystkich te jego przeprosiny przekonały. I nic dziwnego, bo gdyby jeszcze to była jednorazowa historia… Ale on jeździł bez prawka sześć lat! Sześć! Tymczasem pod wpisem Kraśki na Insta ruszyła lawina komentarzy od kolegów i koleżanek z TVN i show-biznesu. Jedni go pocieszali, drudzy gratulowali odwagi (sic!), inni łączyli się w bólu. Wszystkich przebił jednak publicysta Jacek Żakowski, który stwierdził, że „wybitni, utalentowani ludzie, tacy jak Piotr Kraśko, są skarbem publicznym". „Nie ma wielu takich. Jeśli będziemy marnowali ich pochopnie, to skażemy się na beztalencia i sami się ukarzemy" – ocenił. Skoro skarb Kraśko może łamać prawo jak popadnie, to strach pomyśleć, co może taki skarb jak Żakowski. I inne skarby jego pokroju!

MROŻENIE CHLEBA

Tymczasem u Krystyny Jandy bez zmian. Nadal nic dobrego. Przynajmniej tak odpowiada na pierwsze pytanie wywiadu, którego udzieliła Tomaszowi Lisowi. Mówi tam to, co zwykle, czyli że Polacy są obrzydliwi. Pochyla się także nad inflacją i skarży się, że żyje jej się znacznie gorzej. Do tego stopnia, że nie dojada, bo tak oszczędza. I musi chleb mrozić. „Mało jem ostatnio. Ktoś mi wytłumaczył, że głodówka jest bardzo zdrowa, i miał rację. Nawet na poprawę nastroju. Jak kupię bochenek chleba, to go dzielę i zamrażam. Na tydzień wystarcza. Ale ceny rosną" – opowiada. Zapomniała dodać, że po ten chleb to wciąż jeździ olbrzymim mercedesem z napędem na cztery koła. Pewnie uznała, że to nieistotny detal.

SIKU NA ORLENIE

Musimy jeszcze odnotować, że u pani Krystyny rewolucyjna czujność nie gaśnie. Opowiedziała więc „Newsweekowi", że czasem zdarza jej się odwiedzić stację Orlenu. Lis nie dowierzał, więc Janda wyjaśniła: „Ostatnio weszłam na stację Orlenu i ktoś z obsługi pyta: – Pani? Tutaj?! – Przepraszam. Ja tylko zrobię siusiu". Nie wiemy, co nas bardziej poruszyło w tej historii – to, że Janda postanowiła podzielić się nią ze światem, czy to, że redakcja uznała to za jedną z ciekawszych rzeczy w całym wywiadzie i postanowiła wybić powiększoną czcionką.

ZNAĆ PROPORCJE

W tym roku z okazji jubileuszu 25-lecia plebiscytu Telekamer wprowadzono do konkursu trzy nowe kategorie: „Aktorka 25-lecia", „Aktor 25-lecia" oraz „Serial 25-lecia". I teraz, uwaga, w tej pierwszej kategorii nominowana jest m.in. Barbara Kurdej-Szatan! Aktorka jednej reklamy, dwóch seriali i kilkunastu bluzgów pod adresem polskich żołnierzy. I niech ktoś powie, że to nie są dokonania na miarę ostatniego 25-lecia!

CÓRKA DOBRA RADA

Blogerka Kasia Tusk radzi, by w tym roku w ramach filozofii „no waste" podejść nieco inaczej do robienia sobie prezentów świątecznych. „Zreperuj diamentowe kolczyki, napraw portfel Chanel" – radzi Polakom. I uzasadnia swoje pomysły. – Jeden z fajniejszych prezentów podarował ostatnio mój brat swojej żonie. Kilka lat temu z jednego z jej ukochanych kolczyków wypadł mały diament. Od tego czasu ich nie nosiła, ale średnio raz w miesiącu mówiła nam o tym, jak bardzo żałuje, że leżą nieużywane w szkatułce. Nie zorientowała się co prawda, że na dwa miesiące z niej zniknęły, ale wszyscy zapamiętamy jej minę, gdy je zobaczyła – wypolerowane, wyczyszczone i naprawione. Oczywiście mój brat nie wprawił diamentu własnoręcznie, ale poświęcił swój czas i jeszcze dał pracę komuś innemu – zachwala Kasia. – Ja sama liczę zresztą na to, że ktoś podaruje mi prezent w podobnym tonie. Mam ukochany portfel od Chanel, który sporo już przeszedł, a ja za żadne skarby nie chcę go wymieniać na nowszy model. Jeśli Święty Mikołaj czyta ten artykuł, to delikatnie zasugeruję, że można go ładnie odnowić! – zasugerowała. No jeśli to od swojej córy Donald Tusk czerpie wiedzę o problemach zwykłych Polaków, to wiele to wyjaśnia. A nawet wszystko. ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tegoroczna kampania polskich miast związana z Winter Holidays jest po prostu świecka i fantastyczna. Szczerze to jesteśmy w szoku, ale takim pozytywnym, no nie, bo nie spodziewaliśmy się, iż w tym kraju, gdzie Winter Holidays jednak wciąż kojarzą się churchingowo, można zrobić tak otwarcie świeckie, prowokujące do myślenia i odważne projekty kartek z życzeniami.

A w dodatku zachować myślenie o właściwym dizajnie i dbałość o detale, jak osiem gwiazdek, hehehe. Do tej pory tarzamy się ze śmiechu. Szczególnie na tym polu należałoby wyróżnić Warszawę i Bydgoszcz, którym udało się całkowicie uniknąć tradycyjnej symboliki grudniowej na rzecz np. jeżdżenia na łyżwach czy Wielkiego Wozu. Dostrzegamy w tym zresztą pewne nawiązania do nowoczesnego patriotyzmu, Galileusza i walki o świeckość państwa.

Ufamy, iż wreszcie nadchodzi desakralizacja Winter Holidays, które do tej pory były zawłaszczane przez środowiska chrześcijańskie. Dzięki takim odważnym oddolnym projektom istnieje szansa, iż odzyskamy grudniowe wakacje dla wszystkich, a kolejnym krokiem będą wizyty świeckiego/kiej Mikołaja/ki, którx przyniesie wszystkim osobom bezwarunkowy prezent podstawowy.

W Austrii osoby zakażone koronawirusoosobą będą musiały nosić maseczkę w swoich własnych mieszkaniach. Dobra wiadomość jest taka, iż chodzi tylko o tych, którzy złapali Omikronoosobę, oraz o pomieszczenia współdzielone z innymi domownikami. A więc spać można będzie bez maseczki, ale już wziąć prysznic – no, to kwestia dyskusyjna.

Pozostaje problem monitorowania realizacji obowiązku. Nasz pierwszy pomysł to oddelegowanie do każdego takiego mieszkania jednego urzędnika, który na bieżąco prowadziłby notatki i zdawał relację.

Pomysł numer dwa jest dość prymitywny, bo zakłada instalację kamer w mieszkaniach. Potem taki streaming mógłby być ogólnodostępny, iżby każdy mógł zweryfikować praworządność swojego sąsiada.

Zresztą ufamy, iż rządy rozwiążą i tę sprawę. W końcu nie po to wprowadza się restrykcje, iżby potem nie można było ich przestrzegać, prawda?

A jak tam, kochani, się w ogóle macie przed Winter Holidays i czekającymi was wizytami w małych ośrodkach? Musicie być gotowi, iż przy świątecznym (no niestety, w małych miejscowościach taki będzie) stole pojawią się tematy takie jak: pandemia, szczepionki, Bill Gates, ale też: sądy, demokracja, Tusk, TVN, Kaczyński…

I tu się pojawia dla nas wszystkich niepowtarzalna szansa. Istnieje bowiem wysokie prawdopodobieństwo, iż wasi osobodziadkowie czy ciocioosoby będą zmęczone powtarzaniem rok do roku tych samych słów na te same tematy.

I wtedy wjeżdżacie wy z tym, co naprawdę ważne: misgenderowanie, zaimki, biała supremacja, patriarchat, LGBTQitd., nadużycia w Kościele, Kaczyński, Czarnek, dlaczego głosować na Razem itd.

Nawet jeśli tematy nie zostaną podjęte, to istnieje szansa, iż niepożądana część rodziny wyjdzie szybciej, a wy w spokoju będziecie mogli sobie wziąć laptopa i odpalić jakiś serial czy przescrollować fejsika. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Święta zimowe

Najlepsze życzenia, Rafale! Dobrych świąt Bożego Narodzenia!

No nie, nie, Donald, tutaj to my tak nie mówimy. Jak wpadasz do mnie do pracy do ratusza, to musisz się trzymać zasad, które ja tutaj wprowadziłem.

Znaczy, że jakich?

Po pierwsze – to raczej tak za bardzo nie mów „pan" czy „pani".

Ale przecież powiedziałem „Rafale".

No wiem, ale uprzedzam. Na wszelki wypadek. I jednak nie mów o świętach, a już na pewno bez nazywania ich konkretnie. Jakby ktoś usłyszał, to słabo by było.

To jak mam mówić?

Jakoś tak neutralnie. Ogólnie. „Najlepsze życzenia zimowe" na przykład.

Zwariowałeś kompletnie? Przecież tu nikogo innego nie ma. Nawet choinki nie masz w urzędzie?

W tym roku nie. Postawiliśmy na inkluzywny, integrujący symbol.

Znaczy co?

Mamy w holu taką dużą łyżwę. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zamiast sali Geremka sala prekursora polskiego antysemityzmu, Dmowskiego? Szczyt bezczelności".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze o pomyśle nadania jednej z sal sejmowych imienia Romana Dmowskiego*

eprasa.pl ed1acd778b

„Dawid z głową Goliata", obraz Caravaggia FOT. DOMENA PUBLICZNA

Na tronie Dawida

Paweł Lisicki

Ewangeliści od początku widzieli w Jezusie prawowitego następcę króla Dawida, który ma prawo do jego tronu. Tak samo nauczali pozostali apostołowie, o czym najlepiej świadczy słynny fragment listu św. Pawła do Rzymian. We wstępie Paweł wspomina, że głosi Ewangelię o Synu Bożym „pochodzącym według ciała z rodu Dawida". Jednak jeśli rzucić okiem na pisma wielu współczesnych znawców historii Nowego Testamentu, to ów związek między Jezusem a Dawidem – tak ważny na samym początku dla chrześcijan – jest niemal nieobecny

Jakie są tego powody? Pierwszym jest ogólny sceptycyzm i zwycięstwo logiki podejrzeń, zgodnie z którą wszystko, co przekazane i co przemawia na rzecz wiarygodności chrześcijaństwa, musi być podejrzane. Skoro ewangeliści i apostołowie przekazali, że Jezus pochodził z rodu Dawida, to, zdaniem wielu współczesnych racjonalistów, próbowali w ten sposób ukryć jego prawdziwe, niskie zapewne pochodzenie. Dlatego nie da się, uważają krytycy, pogodzić opowieści o narodzinach w Betlejem z dorastaniem w Nazarecie. Wspomnienie pierwszego miasta miało

eprasa.pl ed1acd778b

na celu znalezienie dla Jezusa właściwego pochodzenia. Ta podejrzliwość doprowadziła zresztą wielu do uznania, że w ogóle samo istnienie Dawida jest wątpliwe, tym bardziej zatem pochodzenie od niego. Logiczne: jeśli król Dawid, założyciel dynastii, nigdy nie istniał, to tym bardziej nie istniało pochodzenie od niego. Podane przez ewangelistów genealogie i opowieść o pochodzeniu od Dawida byłyby zatem wyłącznie bajką.

Powód drugi wynika z przemiany kontekstu kulturowego: dla wielu współczesnych biblistów pochodzenie od króla Dawida nie tylko nie jest niczym pozytywnym, lecz także staje się wręcz ambarasujące. Dlaczego chrześcijanom miałoby zależeć na tym, by miłosierny, łagodny i głoszący pokój Jezus miał pochodzić od króla, założyciela dynastii, zdobywcy Jerozolimy, pogromcy Filistynów, wodza zwycięskich wojsk Izraela, wojownika zręcznego i niezrównanego, który pokonał olbrzyma – Goliata, a następnie odciął mu głowę? Rzeczywiście, wątpliwy to dziś, w oczach pacyfistów i egalitarystów, powód do chwały. Tron Dawida z tego punktu widzenia nie wydaje się szczególnie pożądanym przedmiotem. Byłoby nawet lepiej, dla obrazu Jezusa bezsilnego, słabego, łagodnego, stroniącego od potępiania i walki, by o związku z Dawidem – królem i sędzią, władcą i wojownikiem – zapomnieć.

Tym bardziej należy, sądzę, ową więź krwi – według języka Ewangelii pochodzenie według ciała – z założycielem dynastii Dawidowej pokazywać. Bez niej Jezus byłby rzeczywiście tylko tym, kim chce go dziś widzieć wielu modnych racjonalistów – przypadkowym, prostym, ludowym, chłopskim kaznodzieją przemierzającym krainy wieśniaczej Galilei.

PRAWDZIWY PRZEKAZ CZY LEGENDA

Jak wiele razy pokazywałem, krytycy chrześcijaństwa, którzy dziś występują często w roli profesorów teologii, odrzucają wiarygodność opisów narodzin, w tym przede wszystkim przekazów o pochodzeniu Jezusa.

Pierwszy przykład z brzegu: prof. Jens Schröter, wykładowca w Berlinie i Oslo, autor dwóch popularnych biografii mistrza z Nazaretu. Niemiecki uczony nie jest postacią wyjątkową. Raczej, powiedziałbym, jest to bardziej rzemieślnik niż wirtuoz. Tym bardziej warto przyjrzeć się temu, co pisze: on nawet nie dyskutuje i nie broni swoich hipotez. W jego umyśle one są już bezdyskusyjne. Jego książki zawierają coś, co można by nazwać opinio communis wykształconego świata. „Opowieści o narodzinach Jezusa nie są żadnymi opowieściami historycznymi, lecz interpretują narodziny Jezusa, przedstawiając je za pomocą legendarnych epizodów" – pisał w niedawno wydanej biografii Nazarejczyka. To pogląd wśród racjonalistów niemal powszechny, przyjęty tak przez propagatorów nowego ateizmu, Hitchensa i Dawkinsa, jak przez całkiem renomowanych biblistów. Również, niestety, katolickich. Wszyscy oni nie mają wątpliwości i twierdzą, że opis narodzin w Betlejem, a także związek Jezusa z Dawidem to chrześcijańska propaganda. Takim kłamstwem (można też posłużyć się nieco łagodniejszym określeniem – wymysłem, mitem, legendą, metaforą) mają być urodziny w Betlejem. „Jezus wywodzi się z Nazaretu w Galilei. W Ewangeliach Mateusza i Łukasza jego narodziny zostają przeniesione do Betlejem, aby pokazać go jako obiecanego potomka z rodu Dawida, który zgodnie z żydowskim przekonaniem powinien pochodzić z Betlejem. […] Z historycznego punktu widzenia pochodzenie Jezusa z rodu Dawida jest czymś nieprawdopodobnym" – bez mrugnięcia okiem ogłasza niemiecki profesor. Ależ z tych chrześcijan to byli łgarze: wszystko jest inaczej, niż opowiedzieli. Wszystko. Nawet to, że Jezus wywodził się z rodu Dawida.

Furda to, że tę genealogię potwierdzili niezależnie od siebie św. Łukasz i św. Mateusz, a na dodatek, również niezależnie, św. Paweł: im więcej osobnych źródeł, tym… gorzej. Pokazuje to jedynie, jak bardzo pierwszym chrześcijanom zależało na ukryciu prawdy. To, co potwierdzone przez wielu, musi być – jeszcze raz przypomnę zasady logiki, ktorą kierują się krytyczni znawcy – podejrzane i nieprawdziwe. Nie można uznać pochodzenia Jezusa z rodu Dawida, bo to służyłoby Kościołowi. Ba, tłumaczyłoby to, dlaczego Nazarejczyk zdobył tak szybko uczniów. Mogli zaakceptować jego roszczenia mesjańskie, bo wiedzieli, że jest potomkiem króla, któremu to złożona została przed wiekami obietnica. Wprawdzie jeszcze całkiem niedawno nieżyjący już wielki biblista niemiecki Martin Hengel pisał, że pochodzenie Jezusa z rodu Dawida nie budzi żadnych wątpliwości i podważanie tego jest czymś absurdalnym, ale to – jak widać – nowemu pokoleniu liberalnych teologów nie przeszkadza. W najnowszej wydanej przez renomowane wydawnictwo Herder (chyba tak się to określa: renomowane, prawda?) biografii Galilejczyka napisanej przez prof. Schrötera pochodzenie z rodu Dawida zostaje zakwestionowane. Jezus nie mógł pochodzić z rodu Dawida, bo tak wierzyli chrześcijanie, a ci są z natury niewiarygodni. Skąd to wiadomo? Stąd, że Jezus… zaczął działać w Galilei i tam w dużej mierze był aktywny. A skoro tak, to ani w Betlejem się nie urodził, ani do rodu Dawida nie przynależał. Tak mniemają współcześni znawcy w Niemczech (i nie tylko), a przynajmniej ich nauczyciele. Brawo.

Tymczasem samo główne założenie – to, co przekazane, jest podejrzane – stanowi absurd. Cała nauka historii – w szczególności dotyczy to dziejów starożytnych – opiera się na założeniu, że to, co przekazane, jest prawdziwe, chyba że dokumenty zawierają sprzeczności, anachronizmy lub błędy. Gdyby stosować to rozsądne i rzeczowe podejście w odniesieniu do przekazów na temat narodzin Jezusa i jego pochodzenia, dwie opowieści – św. Mateusza i św. Łukasza – nawzajem się potwierdzają i uzupełniają. W połączeniu z przekazem św. Pawła stanowią one niezbity dowód historyczny: Jezus był potomkiem Dawida.

NAZARET ZAMIAST BETLEJEM?

Co konkretnie, oprócz ogólnego zarzutu braku wiarygodności, nowi krytycy odrzucają z przekazów ewangelicznych? Po pierwsze, twierdzą, że nieprawdziwa jest opowieść o spisie powszechnym za czasów króla Heroda. O tym, że Herod mógł przeprowadzić wspomniany u św. Łukasza spis powszechny, pisałem już wcześniej. Jednak z punktu widzenia obecnej dyskusji na temat pochodzenia Jezusa od króla Dawida ważniejszy jest drugi zarzut. Krytycy twierdzą, że nawet jeśli Rzymianie faktycznie przeprowadzili spis ludności, to Józef nie musiałby wyruszyć z Nazaretu do Betlejem. Cała historia została zatem według nich wykoncypowana przez Łukasza po to, żeby umieścić narodziny Jezusa w Betlejem: dlatego wymyślił spis za czasów Kwiryniusza, który wprawdzie odbył się, tyle że w roku 6 po Chrystusie, kiedy to August pozbył się nieudolnego Archelaosa, syna Heroda, i wprowadził bezpośrednie rządy rzymskie. Jezus przyszedł na świat zapewne w Nazarecie, twierdzą, a przeniesienie narodzin do Betlejem służyło celom propagandowym: pierwsi chrześcijanie

eprasa.pl ed1acd778b

chcieli podnieść rangę swojego nauczyciela i przypisać do niego dawne proroctwa, które zapowiadały przyjście następcy Dawida. Klasyczny to przykład mylenia przyczyny ze skutkiem. W jaki to bowiem sposób grupa galilejskich uczniów mogłaby skutecznie stworzyć i rozpowszechnić legendę na temat pochodzenia swojego mistrza w otoczeniu i w czasie, w którym genealogie i pochodzenie odgrywały absolutnie kluczową rolę?

Analiza tekstu pokazuje, jak bardzo mylą się racjonaliści. „Łukaszowy raport o cenzusie staje się historycznie zrozumiały, jeśli Józef pochodził z Betlejem, jak to zakłada Mateusz, i tam rozporządzał nieruchomością" – zauważa niemiecki biblista Rainer Riesner. Dokładnie. Jeśli Józef sprowadził do domu Maryję jako narzeczoną akurat z Nazaretu, to musiało to wynikać ze ścisłych więzi łączących klan Dawida z Betlejem i z Nazaretem. Najstarsza tradycja chrześcijańska wspomina o tym, że Maryja pochodziła z rodu Dawida – mówią o tym Ignacy z Antiochii, Justyn i protoewangelia Jakuba – wszystko są to źródła z II w. po Chr. Wydaje się to zakładać, pisze Riesner, także opowieść o narodzinach u Łukasza. Można bowiem Łukaszowe twierdzenie „z domu Dawida" (Łk 1, 27) odnieść do Maryi, gdyż również wcześniej Elżbieta zostaje scharakteryzowana jako należąca do „córek Aarona" (Łk 1, 5). To samo sugerują słowa Łukasza: „Będzie On wielki i zostanie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida" (Łk 1, 32) oraz wspomniany przeze mnie już fragment Listu do Rzymian, gdzie mówi się o Synu według ciała z rodu Dawida – „według ciała" odnosiłoby się do Maryi. Przecież Józef nie był ojcem Jezusa „według ciała" – o czym wiedzą tak św. Łukasz, jak św. Mateusz.

To tym bardziej prawdopodobne, że – jak zauważa niemiecki biblista – późniejsze wytłumaczenie: „Józef był z domu i rodu Dawida" (Łk 2, 4) brzmi jak informacja, która pojawia się pierwszy raz. „Przynależność do klanu Dawidowego nie musi przeczyć temu, że Maria mogła mieć też krewnych z rodziny kapłańskiej (Łk 1, 5.36)" – dodaje Riesner. Określenie, którym posługuje się w odniesieniu do relacji Elżbiety i Marii ewangelista – syngenes – „krewna", ma bardzo ogólne znaczenie i odnosi się do nawet dalekiego stopnia pokrewieństwa. Wszystko to brzmi bardzo prawdopodobnie i tłumaczy pozorne niezgodności opisów Mateusza i Łukasza. Ten drugi opisuje zdarzenia, patrząc oczami Maryi, która wyrusza z Nazaretu do Betlejem, skąd pochodzi i gdzie ma swój majątek jej mąż. Ten pierwszy przyjmuje perspektywę Józefa.

OSADA KLANU DAWIDA

Żeby ta odpowiedź była prawdziwa, trzeba zbadać, kto mieszkał w Nazarecie. Czy to możliwe, żeby faktycznie znajdowała się tam rodzina, klan pochodzący od Dawida? I czy to możliwe, żeby inna odnoga tego rodu zamieszkiwała Betlejem? Pozytywna odpowiedź byłaby dodatkowym argumentem – poza treścią samych przekazów – na rzecz tego, że Jezus należał do rodu Dawida. Nie ma wątpliwości, że właśnie pochodzenie z rodu Dawida przypisują Mu różne pisma Nowego Testamentu. Robi tak wspomniany już św. Paweł (Rz 1, 3; 15, 12), bardzo zdecydowanie i wielokrotnie wspominają o tym ewangeliści. Sam Mateusz podkreśla to nawet, budując genealogię Jezusa: „Nie da się ukryć, że genealogia Mateusza zawiera przesłanie teologiczne. Mateusz w rozdziale 1, 17 daje też czytelnikowi do ręki klucz, pozwalający odszyfrować sens: 14 jest zsumowaną cyfrą słowa DaViD: D=4; V=6; D=4. Zapisywanie liczb przy pomocy liter było praktyką powszechną i zwyczajną. Te trzy razy 14 kończą się na Jezusie, tzn. w Nim spełniają się wszystkie obietnice, które Bóg złożył Dawidowi. Zgodnie z sensem tej genealogii Jezus jest ostatecznym synem Dawida, Namaszczonym, Mesjaszem" – pisze z kolei austriacki biblista Karl Jaros.

Przez wiele lat racjonaliści mogli powoływać się na to, że nie istnieją żadne współczesne Jezusowi dowody, które wskazywałyby na to, że w tamtych czasach zachowano pamięć tak o rodzinie, klanie Dawida, jak o nadziejach związanych z ich powrotem do władzy nad Izraelem. Faktycznie, ostatni znany potomek królewskiego rodu, Zerubabel, syn Salatiela, wnuk króla Jechoniasza, jest wymieniony w Księdze Ezdrasza jako jeden z przywódców wracających z wygnania babilońskiego za zgodą Cyrusa, króla perskiego. Zostaje on gubernatorem Judei. Miało to miejsce w V w. przed Chr. Mogło się wydawać, że później ślad o klanie Dawidowym zanika. Od połowy II w. przed Chr. do roku 63 przed Chr. Judeą rządzi nowa dynastia, wywodząca się z jednego z rodów kapłańskich rodzina Hasmoneuszy. Dlatego znaczenie, które ewangeliści przywiązują do pochodzenia Jezusa od Dawida, wielu komentatorom wydawało się historycznie niewiarygodne. Do czasu. „Od 1971/1972 znane jest jerozolimskie ossuarium, to znaczy kamienna trumna służąca do ponownego pochówku kości, z okresu przed rokiem 70 po Chr., na którym to znajduje się hebrajsko-aramejska inskrypcja »należący do domu Dawida«" – pisze Riesner. Istnieje zatem wreszcie niewątpliwy dowód, że również w czasach Jezusa potomkowie królewskiej dynastii troszczyli się o podkreślenie swej godności.

David Flusser, żydowski znawca Nowego Testamentu, w oparciu o to odkrycie pokazał, że od tej pory jest czymś trudnym do wyobrażenia negowanie „istnienia rodzin Dawidowych w ostatnim wieku, kiedy jeszcze stała nienaruszona Świątynia Jerozolimska". Co więcej, według źródeł talmudycznych z rodu Dawida najprawdopodobniej pochodził słynny nauczyciel z I w. przed Chr., Hillel. Martin Hengel, który opisywał szczegółowo losy powstania żydowskiego przeciw Rzymianom i losy zelotów, zwrócił uwagę na Hiskiasza, syna Ariego, którego mesjański zapał i gorliwość tłumaczyć miały pochodzenie z rodu Dawida. Wbrew zatem racjonalistom dysponujemy dowodami, że w okresie, kiedy działał Jezus, żyli również inni przedstawiciele potomków dynastii Dawida, że pochodzenie to było dla nich źródłem dumy i że wiązała się z nim wiara w szczególną misję. Dodatkowo wiemy, że w Świątyni Jerozolimskiej przechowywano zapisy genealogiczne rodów kapłańskich, co miało ogromne znaczenie dla czystości kultu ofiarnego. Można zatem przyjąć, że podobną wiedzę na temat swego pochodzenia mieli potomkowie dynastii Dawida, choćby dlatego, że to z ich rodem wiązało się tyle przepowiedni mówiących o odrodzeniu Izraela.

Według Juliusza Afrykańczyka, który pisał ok. roku 200 po Chr. i miał dostęp do członków rodziny Jezusa, jedna z gałęzi tego rodu na nowo założyła miasteczka Nazaret i Kochaba w Galilei. Nazaret oznacza „odrost, pęd", a Kochaba „gwiazdę". Pierwsza nazwa odwołuje się oczywiście do mesjańskiej przepowiedni o „odrośli [nesaer] z pnia Jessego" z Księgi Izajasza 11, 1, druga do słów Bileama o „gwieździe [kohab] z Jakuba" z Księgi Liczb 24, 17–18, co nie może być przypadkiem. „Ci potomkowie rodu Dawida za pośrednictwem nazw, które nadali nowym siedliskom, pokazali swoją stałą, mocną wiarę w Boże obietnice. Tak jak w przypadku innych pobożnych Żydów, także wśród nich panowały różne wyobra-

eprasa.pl ed1acd778b

żenia mesjańskie. Nazwy miejscowości Nazaret i Kochaba pokazują, że zarówno nadzieja na pojawienie się uniwersalnego Króla pokoju – Iz 11 – jak i oczekiwanie zbrojnego Mesjasza – Lb 24 – były czymś żywym. Oba proroctwa starotestamentowe były częścią tradycji rodziny, w której w 7 r. przed Chr. urodził się Jezus". Kiedy zatem Mateusz pisze, że „będzie nazwany (Nazoraios) Nazarejczykiem" (Mt 2, 23), to słowa te odnoszą się do proroctwa o mesjańskiej odrośli (nesaer) u Izajasza 11, 1. Tymi, którzy pierwsi nadali tę nazwę nowemu osiedlu, byli właśnie inni członkowie klanu Dawidowego, do którego musiała należeć rodzina Maryi.

Ustalenia te potwierdzają odkrycia archeologiczne. Wykopaliska pokazują, że Nazaret został od nowa założony w I w. przed Chr., kiedy to wskutek podbojów Jana Hirkana Galilea stała się terenem kolonizacji żydowskiej. Dlatego nazwa ta nie jest wspominana ani w Starym Testamencie, ani w Talmudzie. Wymienia ją dopiero inskrypcja podająca nazwy osiedli, do których już po powstaniu Bar-Kochby (lata 132–135 po Chr.) przesiedliły się rodziny kapłańskie. Nazaret, tak jak Kochaba, pojawił się na mapie świata późno. Stało się to zatem dopiero podczas prowadzonej przez Hasmoneuszy akcji masowego osiedlania na terenach galilejskich rodzin żydowskich tak z Judei, jak z Babilonii. Na podstawie danych uzyskanych z rozmieszczenia grobów wynika, że w czasach Jezusa osada liczyła od 200 do góra 500 mieszkańców – również ten niewielki rozmiar wioski wskazuje, że mogło w niej mieszkać najwyżej kilka rodzin. Dzięki Hasmoneuszom galilejskie wioski w czasach Jezusa były zamieszkiwane wyłącznie przez Żydów.

Wniosek: Nazaret był zapewne osiedlem utworzonym przez klan rodziny Dawida, który pełen był wielkich, mesjańskich nadziei ludu Izraela. Bardzo prawdopodobne, że przybyli do niego potomkowie Dawida z Betlejem i że między Betlejem, pierwszym gniazdem rodu królewskiego, miejscem, gdzie przyszedł na świat przyszły król Dawid, a Nazaretem, gdzie zamieszkała część jego potomków, istniały bliskie więzy. W tym przypadku najlepszą wskazówką jest sama mesjańska nazwa miasta: pierwsi żydowscy osadnicy, którzy tam przybyli w połowie I w. przed Chr., wierzyli, że zawiera ona w sobie obietnicę przyszłego królestwa. Te więzi między różnymi odnogami klanu Dawida na pewno sprzyjały zawieraniu małżeństw. Można

Jeśli kierować się wyłącznie dostępnymi świadectwami i logiką, to Jezus według ciała pochodził z dynastii króla Dawida

zatem przyjąć, że to właśnie tłumaczy wędrówkę Józefa z brzemienną Marią z Nazaretu do Betlejem: formalnym powodem, dla którego się tam udali, był udział w spisie ludności zarządzonym przez cesarza Augusta, obejmującym również tereny sprzymierzonych z nim, a faktycznie podległych mu królów takich jak Herod. Przy tym obecność Marii można wytłumaczyć, odwołując się wprost do objawienia przekazanego przez anioła: wiedząc, że jest matką Mesjasza, postanawia towarzyszyć Józefowi do miasta, które w całej rodzinnej tradycji Dawida ma znaczenie szczególne. Być może już wtedy Maryja myśli o słowach Micheasza i być może już wtedy, zanim jeszcze fragment ten pojawia się w Ewangelii Mateusza, chce urodzić dziecko właśnie w Betlejem. Jeśli kierować się wyłącznie dostępnymi świadectwami i logiką, to Jezus według ciała pochodził z dynastii króla Dawida. Tyle mówi historia – pisałem o tym więcej w książce „Kto fałszuje Jezusa".

KRÓL, NIE ANARCHISTA

Wspomniałem natomiast, że ogólny sceptycyzm i logika podejrzeń to jeden z dwóch głównych powodów odrzucenia genealogii Jezusa. Drugi ma charakter ideologiczny. Królewskość i militarna potęga symbolizowana przez Dawida nie pasują rzekomo do misji Jezusa. Znowu zarzut ten opiera się na dwóch fałszywych przesłankach. Zgodnie z pierwszą śmierć Jezusa na krzyżu oznaczała odrzucenie wszelkiej przemocy i radykalny pacyfizm. Jednak taka opinia jest raczej zapisem współczesnych poglądów i uprzedzeń i nie odpowiada nadziejom i oczekiwaniom starożytnego Izraela. Cokolwiek by na ten temat opowiadali dzisiejsi zwolennicy powszechnego miłosierdzia, Żydzi czekali na przyjście Mesjasza, Pomazańca, króla, sędziego. Sam zaś Jezus również w takiej roli występował. Jak zauważył prawosławny teolog Stephen De Young: „Ten sam Jezus Chrystus [który zmarł na krzyżu] wstał z grobu, triumfując nad mocami grzechu, śmierci i diabła. Ten sam Chrystus wyrzucał demony do otchłani. Ten sam Chrystus powie tym, którzy nie będą współczuć i miłować w dniu sądu: »Odejdźcie, nigdy was nie znałem« (Mt 7, 23). Ten sam Chrystus powiedział o Judaszu, że byłoby lepiej dla niego, gdyby się nigdy nie narodził. […] W rzeczywistości sam już tytuł – Chrystus, oznaczający »namaszczonego« utożsamia Go z Królem, który panuje nad całym stworzeniem, który sądzi narody żelazną rózgą".

Królowanie oznacza także sprawowanie władzy miecza, przywoływanie krnąbrnych do posłuszeństwa, pilnowanie porządku sprawiedliwości, wreszcie obronę wspólnoty, jeśli zagraża jej przeciwnik i chce ją zniszczyć. Władza miecza, a więc stosowanie przemocy wobec niegodziwców, nakładanie kary na łamiących prawo jest dla ewangelistów czymś niepodważalnym i oczywistym. „Lecz drugi [łotr], karcąc go, rzekł: »Ty nawet Boga się nie boisz, chociaż tę samą karę ponosisz? My przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki, ale On nic złego nie uczynił«. (Łk 23, 40–41). Ewangeliści nie negują prawa państwa, prawa króla czy zwierzchnika do nakładania kary, przeciwnie – w akcie karania dostrzegają jeden z podstawowych elementów prawowitego porządku. Chrystus cierpi niewinnie, bo nie zasłużył na śmierć, obaj łotrzy cierpią słusznie, bo zasłużyli na śmierć. Ewangelia nie potępia przemocy lub kary jako takiej, ale niesprawiedliwą karę lub niesłuszne użycie przemocy. To słuszność i sprawiedliwość, opisane w Prawie, są kryterium. Chrystus składa na krzyżu ofiarę, ale nie znaczy to, że odrzuca prawo sprawiedliwości lub władzę jaką taką. Chrystus nie jest anarchistą, ale prawodawcą i prawdziwym władcą.

WZÓR DLA MONARCHÓW

Więź Chrystusa z Dawidem nie ma tylko znaczenia biologicznego, nie chodzi o fizyczne pochodzenie – zapewne przez Maryję, jak wspomniałem. Królestwo Dawida ma charakter wzorcowy. Dopiero pamiętając o tym, można zrozumieć, na czym polegało powołanie Piotra, który stał się dla Jezusa tym, kim dla Dawida i następnych królów Izraela byli namiestnicy i dzierżyciele kluczy, oraz uzasadnić niezwykłą rolę Maryi – matka króla od czasów Dawida miała w starożytnym Izraelu szczególne miejsce, cieszyła się nadzwyczajnymi przywilejami i miała udział w sprawowaniu władzy. Obie te instytucje – wezyra, namiestnika i matki królewskiej – wywodzą się z epoki

eprasa.pl ed1acd778b

królestwa Dawida. Chrystus odwołuje się do nich, pośrednio akceptując wielkość i wzorzec, którym dla Izraela był Dawid. Jezus jako człowiek był potomkiem Dawida. Był większym od niego, ale również tym, który wskrzesił wielkość założyciela dynastii. Był zatem prawodawcą i jak każdy prawodawca musiał zabiegać o to, by jego prawo było przestrzegane. Ta ścisła łączność z Dawidem doskonale pokazana w Ewangeliach całkowicie przeczy pacyfistycznemu odczytaniu jego misji. Dawid pozostał w pamięci Izraela jako ten król, który prowadził zwycięskie wojny o sprawę Boga. Pobożność i wojowanie nie wykluczały się: jedno i drugie służyło obronie świętości imienia Boga.

Miłość nieprzyjaciół nie oznaczała, że Jezus jest anarchistą lub pacyfistą. Nie oznaczała też wezwania do kapitulacji ani kwietyzmu. Miłość do nieprzyjaciół nakazywała rezygnację z zemsty, odrzucenie nienawiści, gotowość do przebaczenia i puszczenia grzechu w niepamięć. W żadnym wypadku nie jest ona tożsama z akceptacją zła, które niegodziwcy i niesprawiedliwi władcy zadają słabszym i bezbronnym. Nie jest też aprobatą deptania Bożej chwały i tych, którzy są jej obrońcami. Można tak patrzeć na Jezusa, jedynie odrzucając całą tradycję Starego Testamentu, do której On sam wielokrotnie nawiązuje. Przeciwnie, Bóg, którego głosi Jezus: „Przejawia moc ramienia swego, rozprasza [ludzi] pyszniących się zamysłami serc swoich. Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych. Głodnych nasyca dobrami, a bogatych z niczym odprawia”.

Tak też od początku wierzyła wspólnota chrześcijańska. Związek między sprawiedliwością, prawem a siłą był w oczach jej przywódców czymś tak bezdyskusyjnym, że nie podważali go nawet w stosunku do władców pogańskich. „Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga. Kto więc przeciwstawia się władzy – przeciwstawia się porządkowi Bożemu. Ci zaś, którzy się przeciwstawili, ściągną na siebie wyrok potępienia. Albowiem rządzący nie są postrachem dla uczynku dobrego, ale dla złego. […] Jeżeli jednak czynisz źle, lękaj się, bo nie na próżno nosi miecz. Jest bowiem narzędziem Boga do wymierzenia sprawiedliwej kary temu, który czyni źle” (Rz 13, 1–4) Oczywistą jest rzeczą, że prawo to przeszło z władców pogańskich na władców chrześcijańskich. Tak samo jak nie budzi wątpliwości to, że częścią porządku sprawiedliwości musiała być obrona Bożego Imienia i największej prawdy, którą Bóg zechciał o sobie objawić, tego, że jest Trójcą. Kolejni chrześcijańscy władcy, czy to cesarze, czy później królowie, widzieli w sobie władców na wzór Dawida, Salomona i ich następców. Obronę wiary uważali zatem za pierwszą i najważniejszą powinność. Uznanie w Jezusie potomka Dawida było zatem w ścisłym tego słowa znaczeniu częścią chrześcijańskiej tradycji politycznej.

SPEŁNIONA OBIETNICA

Dla ewangelistów pochodzenie Jezusa od króla Dawida jest jednak ważne nie tylko dlatego, że władca ów był symbolem wielkości starożytnego Izraela. Podobnie nie chodzi wyłącznie o to, że państwo Dawida obejmowało wszystkie 12 pokoleń Izraela, a więc istniało długo, zanim dokonał się fatalny podział i zanim do Asyrii zostało uprowadzonych 10 pokoleń północnego królestwa, ulegając później rozproszeniu wśród pogan. Dla uczniów Jezusa najważniejszym powodem, by przypominać o genealogii i pochodzeniu od Dawida, było co innego. Doskonale tłumaczy to katolicki biblista Brant Pitre. Wskazuje on najpierw w ogóle na kluczową rolę Dawida w całym Starym Testamencie, który w pewnym sensie stał się ważniejszy nawet od Mojżesza: „Pismo Święte (tekst masorecki) wymienia imię Mojżesza 767 razy, podczas gdy imię Dawida pojawia się 1075 razy”. Stary Testament faktycznie poświęca Dawidowi więcej miejsca niż jakiemukolwiek innemu bohaterowi, łącznie z Mojżeszem. „Faktycznie, jedyną postacią, która we wszystkich pismach Biblii może przyćmić Dawida, co się tyczy uwagi poświęcanej jego biografii, będzie sam Jezus – taki, jakim opisują go cztery ewangelie” – stwierdza Pitre. To wszystko prawda. Dlaczego zatem dla ewangelistów i dla samego Nazarejczyka pochodzenie od Dawida było tak ważne? Przecież nie chodziło tylko o zwykłą dumę z przynależności rodowej – ten motyw jest w ewangeliach zupełnie nieobecny.

„Podstawowym powodem znaczenia Dawida w obrębie Starego Testamentu jest to, że zawarł on wieczne przymierze z Bogiem (2 Sam 7, 8–16; 2 Sm 23, 5; Ps 89, 20–37), dzięki któremu tak jemu samemu, jak i jego dziedzicom Bóg powierzył status syna Bożego i uniwersalnego wielkiego króla (Ps 89, 27). Synostwo, które zostało ofiarowane Izraelowi na Synaju, a które Izrael odrzucił przez bałwochwalstwo, zostało przekazane Dawidowi, królowi”. Nie mniej celnie pisał na ten temat inny katolicki biblista, Raymond Brown: „Królestwo ustanowione przez Dawida stanowi najściślejszą paralelę do Kościoła Nowego Testamentu w Starym”. Innymi słowy: kto chce zrozumieć misję Chrystusa, kto chce patrzeć na Niego tak, jak patrzyli piersi uczniowie, musi sięgnąć do postaci Dawida, do jego królestwa i jego osoby. To jest klucz do zrozumienia, czym było przepowiadane przez Jezusa królestwo i dlaczego właśnie w Chrystusie zostało wypełnione dane Dawidowi przez proroka Natana przyrzeczenie: „Przede Mną dom twój i twoje królestwo będzie trwać na wieki. Twój tron będzie utwierdzony na wieki” (2 Sm, 7, 16). Żydzi od pokoleń oczekiwali, że Bóg dotrzyma obietnicy, i dlatego wypatrywali urodzin właściwego pretendenta do tronu Dawida. Wierzyli, że Bóg ich nie okłamie. Przez wieki słyszeli powtarzane słowa Boga: „Nie zbezczeszczę mojego przymierza ani nie zmienię słowa ust moich. Raz przysiągłem na moją świętość: na pewno nie skłamię Dawidowi” (Ps 89, 35–36).

„Dawid” Michała Anioła FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl ed1acc778b

Ta wiara właśnie była podstawą dla przyjęcia Jezusa przez pierwszych uczniów. Gdyby nie był On potomkiem z rodu Dawida, nie mógłby być prawdziwym Mesjaszem. Można zatem przyjąć, że gdy doszły do nich wieści o nadzwyczajnych czynach Nazarejczyka, zbadali również, czy prawdziwe są informacje o jego pochodzeniu: ta wiedza była koniecznym warunkiem przyjęcia posłania.

STELA, KTÓRA JEST DOWODEM

Jak wspomniałem, wielu dzisiejszych krytyków próbuje już od dłuższego czasu negować i podważać istnienie historycznego Dawida. Logika podejrzeń jest nieubłagana i każe odrzucać wszystko to, co przekazane, jeśli tylko przekaz ten może być wykorzystany dla uwiarygodnienia chrześcijaństwa. Nic więc dziwnego, że tak wielu próbowało pozbyć się z historii Dawida – w ten sposób mogli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze zanegować wiarę Izraela, po drugie podciąć korzenie Kościoła.

Faktycznie, długie lata krytycy ci mogli powoływać się na brak archeologicznych dowodów – tak jakby nieobecność pochodzących sprzed trzech tysięcy lat inskrypcji z miejsc tylekroć przeoranych przez wojny, bitwy, trzęsienia ziemi, pożary, powodzie mogła czegoś dowodzić. Ale ostatnio nawet ten bastion sceptycyzmu musiał upaść. Podczas wykopalisk w starożytnym Tel Dan prowadzonych w 1993 r. archeologowie znaleźli pochodzącą z IX w. przed Chr. stelę kamienną opisującą zwycięstwo aramejskie. Prawdopodobnie stela miała być wzniesiona przy wejściu do bram miasta, jednak już w starożytności została ona zniszczona.

Zachowały się jednak trzy linijki tekstu napisanego po aramejsku, z których można wywnioskować, że całość przedstawiała zwycięstwa królów Damaszku nad Izraelem. Najważniejsze odkrycie dotyczyło czego innego: na steli bowiem wymieniono pierwszy raz w dziejach odkryć archeologicznych „dom Dawida" jako dom panujący nad Izraelem. Tych sześć liter „byt dwd" jest pierwszym bezsprzecznym dowodem istnienia i życia króla Dawida. „Formuła »dom jakiegoś imienia« była powszechnie używana na starożytnym Bliskim Wschodzie i odnosiła się do założyciela domu królewskiego, co dowodzi, że Dawid był znany jako król Izraela i założyciel dynastii nawet przez sąsiadów Aramejczyków" – pisze Titus M. Kennedy, amerykański historyk.

Wyryty w bazalcie napis został sporządzony nie później niż w 870 r. przed Chr. Amerykański autor zauważa, że fraza „dom Dawida" pojawia się również w księgach Samuela, Królewskich, księgach Kronik, w Psalmach, w proroctwach Izajasza, Jeremiasza i Zachariasza. Co więcej, pojawienie się imienia Dawida na zwycięskiej steli Aramejczyków, wrogów Izraela, pokazuje, że nie mogło chodzić o propagandowe odniesienie do legendarnego króla – Aramejczycy mieli na myśli historyczną postać. Zresztą odkrycie w Tel Dan miało jeszcze jedną, ważną dla pamięci o Dawidzie konsekwencję. Dzięki niemu na nowo zbadano inne, wcześniej odkryte prastare inskrypcje, w tym pochodzącą z IX w. inną stelę, gdzie odnaleziono ten sam układ liter i to samo określenie: „dom Dawida".

Dziś nikt już nie może podważać istnienia założyciela dynastii, z której po X wiekach przyszedł na świat w Betlejem Jezus, prawdziwy syn Dawida i jednocześnie Mesjasz, ten, który od Dawida jest większy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Jubileusz Dyskusyjnych Klubów Książki

W całej Polsce jest ponad półtora tysiąca miejsc, w których ludzie spotykają się, by porozmawiać o książkach. To w nich kultywuje się tradycję gorących dyskusji o literaturze, nierzadko z udziałem samych autorów. Dyskusyjne Kluby Książki obchodzą właśnie 15-lecie działalności

Tutaj nie widać kryzysu czytelnictwa. Czy to Warszawa, czy Bytom, czy podlaski Gródek, w całym kraju tętnią życiem Dyskusyjne Kluby Książki (DKK) koordynowane przez Instytut Książki we współpracy z bibliotekami wojewódzkimi. Rozmowy o literaturze, a także spotkania z autorami czy konkursy na recenzję gromadzą znaczną publiczność. Działają kluby dla dorosłych, dla młodzieży i dla dzieci, istnieją kluby dla fanów komiksu, sportowców czy więźniów. Ten kalejdoskop wydaje się przeczyć tezie, że Polacy nie sięgają po książki. Wygląda na to, że bardzo wielu z nas nie tylko regularnie czyta, lecz także posiada silną potrzebę dzielenia się wrażeniami z lektury.

PRZYJAZNE MIEJSCA

„Sprawdziło się założenie, że potrzebne są miejsca, w których można swobodnie rozmawiać o książkach, oraz że nie trzeba być specjalistą od literatury, by czerpać przyjemność z tych rozmów" – mówi Jakub Pacześniak, koordynator programu z Instytutu Książki. „Odpowiedni, przyjazny klimat jest kluczowy. Dlatego kluby dbają o komfort uczestników spotkań i ograniczają zbędne formalności. Spotkaniom klubowym bliżej do rozmowy dobrych znajomych przy kawie niż oficjalnej konferencji".

WOLNOŚĆ WYBORU

Kluby mają przede wszystkim umożliwiać czytelnikom obcowanie z polską literaturą najnowszą. Nikt nie narzuca jednak klubowiczom lektur, decydują o nich sami. Informacje o ich potrzebach klubowi moderatorzy przekazują koordynatorom wojewódzkim, którzy kupują komplety książek. W ten sposób z roku na rok powiększa się zasób książek krążących między klubami. Środki na ten i wiele innych działań na rzecz klubów zapewnia Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a rozdysponowuje je Instytut Książki w ramach corocznego programu dotacyjnego.

DLA KAŻDEGO

Sukcesywnie rozbudowywana przez półtorej dekady sieć Dyskusyjnych Klubów Książki oplotła cały kraj, dlatego niemal każdy, od przedszkolaka do seniora, może znaleźć odpowiednie miejsce i towarzystwo, a przede wszystkim lektury dla siebie. „Wszystkich, którzy chcieliby znaleźć klub dla siebie bądź założyć nowy klub, zapraszamy na stronę internetową: instytutksiazki.pl, na której znajdują się mapa klubów, kontakty do moderatorów i koordynatorów wojewódzkich" – zachęca Jakub Pacześniak.

eprasa.pl ed1acd778b

Bóg nie pozwolił wypędzić się ze świata

Z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim
rozmawia Krystian Kratiuk

KRYSTIAN KRATIUK: W okresie Adwentu i Bożego Narodzenia wiele mówi się o przyjściu Chrystusa na Ziemię, nie tylko w kontekście Wcielenia, lecz także w kontekście ponownego przyjścia. W ostatnich latach można odnieść wrażenie, że wielu katolików interesuje się ostatnią księgą Biblii, Apokalipsą, bardziej intensywnie niż do tej pory. O czym to świadczy?

PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Apokalipsa zawsze przyciągała uwagę, natomiast w niektórych okresach historycznych zainteresowanie nią było wyjątkowo intensywne. Ma to związek z powtarzającymi się nastrojami, które można określić jako „gorączkę eschatologiczną".

Co to znaczy?

Choćby nie wiadomo, jak mocno zwalczać religię albo promować obojętność wobec niej, ludzie stają wobec pytań egzystencjalnych, czyli takich, których nie unikniemy: Dlaczego żyjemy? Dlaczego umieramy? Jaki sens ma ludzkie życie? Jaki jest sens istnienia świata? Te i podobne pytania nasilają się podczas przełomów historycznych, politycznych i kulturowych. W naszych czasach nie są żadną nowością, a czymś nowym i niezrozumiałym byłaby ucieczka od nich oraz od poszukiwania mądrych odpowiedzi. Dla masonów wszystkie religie są równe, ale to znaczy, że gdy wszyscy – na ogół przecząc sobie nawzajem – mają rację, to nikt nie ma racji. Chrześcijaństwa nie da się sprowadzić do jednej z wielu religii, bo niesie uzasadnioną nadzieję, która najpełniej nadaje sens ludzkiemu życiu i przeznaczeniu całego świata.

Apokalipsę otwierają Listy do siedmiu Kościołów. Czytając stanowiącą komentarz do tych listów książkę księdza profesora („Entuzjazm i sprzeciw wobec Chrystusa", wyd. Biały Kruk 2019), rzuca się w oczy ostrzeżenie przed konkretnymi grzechami. Chodzi z jednej strony o rozpustę, z drugiej o uleganie kompromisom ze światem, a w końcu również o pychę – poczucie fałszywej samowystarczalności. Czy to przypadek, że jeśli myślimy o grzechach naszych wspólnot dziś, to wymieniamy dokładnie te same?

Zmieniają się czasy, a wraz z nimi historyczne, kulturowe i społeczne uwarunkowania, ale natura ludzka pozostaje ta sama, chociaż nie taka sama. Autor listów, które weszły w skład Apokalipsy, dobrze wiedział, że podatność na przyjęcie Ewangelii i wierność jej orędziu mają mocny związek ze stylem i sposobem życia. Kilka wieków później św. Augustyn, znawca i miłośnik św. Jana, słusznie napisał, że nawet poznanie dobra nie przynosi takiego pożytku co ochrona przed poznaniem zła. Istnieje silny splot wiary w Boga z moralnością, przy czym moralność tworzy, sprzyjający albo nie, grunt dla przyjęcia i wyznawania wiary, a dojrzała wiara jest bezpieczną tarczą dla zdrowej moralności.

Nawiązując do słynnych słów Dostojewskiego, trzeba powiedzieć, że jeżeli wszystko wolno, to nie ma Boga. Ale nie ma Go nie dlatego, że nie istnieje, lecz dlatego, że nie ma dla Niego miejsca w ludzkich wnętrzach i sumieniach, a tym samym także w sferze publicznej. Gdy ktoś żyje tak, że lepiej dla niego, żeby Bóg nie istniał, wtedy pytanie o Boga staje się nie tylko niewygodne, lecz także niechciane i jest programowo zagłuszane. Szczególnie delikatna w człowieku jest sfera cielesności i płciowości, która może się stać siedliskiem rozpusty i wyuzdania. Stąd już niedaleka droga do ulegania wszystkiemu, co napływa z zewnątrz, a więc i do różnych, często zgniłych i niszczących, kompromisów. W taki sposób człowiek coraz bardziej zasklepia się w sobie, a ulegając złudnemu poczuciu samowystarczalności, staje się arogancki i butny, co skutkuje pychą, a siostrą pychy jest głupota.

Czytając Listy do siedmiu Kościołów, łatwo dochodzimy do wniosku, że św. Jan staje się w nich niejako „sekretarzem" kogoś innego. Czy Kościoły będące ich adresatami były w jakiś sposób szczególne, skoro wskazania dla nich stały się częścią ostatniej księgi Pisma Świętego?

Listy do siedmiu Kościołów powstały pod sam koniec I w. Ich autorem jest św. Jan Apostoł, najmłodszy uczeń Jezusa, który w chwili jego śmierci na Golgocie nie miał 13 lat. Pod koniec długiego życia, w okolicznościach, które pod wieloma względami są podobne do tych, które dzisiaj wstrząsają Kościołem, napisał, a właściwie podyktował, listy adresowane do siedmiu wspólnot chrześcijańskich, odpowiedników współczesnych parafii, w zachodniej Azji Mniejszej (obecnie na

eprasa.pl ed1acd778b

FOT. DOMENA PUBLICZNA

terytorium Turcji). Te wspólnoty, których centrum stanowił Efez, pozostawały w bliskich kontaktach ze sobą, ostatni zaś apostoł, bo pozostali apostołowie ponieśli wcześniej śmierć męczeńską, czuł się zobowiązany, by ustrzec tożsamości chrześcijan. Znamienne, że adresaci tych listów uczynili wszystko, żeby we wrogim środowisku one przetrwały, co więcej – znalazły się w Apokalipsie, która zamyka kanon ksiąg Nowego Testamentu i całą Biblię chrześcijańską. Uznano, że dylematy i wyzwania, o których mowa w tych listach, są symptomatyczne dla Kościoła wszystkich czasów.

Kto stanowił owo wrogie środowisko Kościołów, do których pisał św. Jan?

Wrogie środowisko było bardzo zróżnicowane: poganie, którzy pozostawali przy swoich wierzeniach i praktykach; ci Żydzi, którzy nie tylko nie przyjęli Ewangelii, lecz także się jej silnie sprzeciwiali i ją zwalczali, wreszcie rozmaici wichrzyciele we wspólnotach chrześcijańskich, których nauczanie i postawy nie mieściły się w ramach kształtującej się wtedy chrześcijańskiej ortodoksji.

Wspólnot, o których rozmawiamy było siedem. To symboliczna liczba?

Siedem jest liczbą rzeczywistą, gdyż ma na względzie konkretne wspólnoty (Efez, Smyrna, Pergamon, Tiatyra, Sardes, Filadelfia, Laodycea), a z drugiej strony symboliczną, wyrażającą pełnię tego, co wychodziło naprzeciw ich potrzebom. We wspólnotach położonych blisko siebie stały się bowiem wyraźnie widoczne trudności i wyzwania, których nie można było pozostawić bez odpowiedzi. Aby jej przekonująco udzielić, był potrzebny autorytet – i to nie przypadkowego nauczyciela, których nie brakowało, lecz apostoła, którego życie potwierdzało sprawdzoną wierność prawdzie Chrystusowej Ewangelii. Analogiczna sytuacja jest w naszych czasach: Kościół nie może być rozgadany i rozdygotany, bo wyznawcy tracą wtedy pewność swojej wiary. Potrzebujemy autorytetu, który nie mnoży wątpliwości ani nie miota się w gąszczu różnych opinii i poglądów, lecz karmi innych tym, czym sam żyje – zawierzeniem Bogu, który objawił siebie w Jezusie Chrystusie.

Święty Jan pisał, że Kościół w Efezie słusznie nienawidzi nikolaitów, a i wśród członków Kościoła w Pergamonie zdarzali się ludzie podzielający ich błędne nauki. O kim mowa?

eprasa.pl ed1acd778b

Nikolaici byli sektą, która najprawdopodobniej wywodziła się ze środowiska pogańskiego, na co wskazują ich praktyki, a mianowicie boski kult cezara, za czym szło bezwzględne posłuszeństwo wobec niego i jego przedstawicieli, a także składanie ofiar bożkom i uprawianie rozpusty. Pogańska mentalność i styl życia zostały przeniesione na grunt chrześcijański. Żywotność tego nagannego synkretyzmu okazała się na tyle trwała, że zwalczano go nadal w III w.

Posłuszeństwo względem cezara... Brzmi znajomo.

Podobne tendencje obserwujemy w naszych czasach. Pod szyldem „otwierania" Kościoła na świat promuje się – otwarcie bądź nie – poglądy i postawy całkowicie pogańskie. Nie są tak prymitywne jak w starożytności, bo wraz z niezwykłym postępem techniki i technologii otrzymały nowe, nieznane przedtem możliwości. Na ich usługach są zwłaszcza Internet i tzw. media społecznościowe. Proponuje się chrześcijaństwo na podobieństwo „szwedzkiego bufetu": w ofercie są różne produkty i wybierasz to, co chcesz, i to, co lubisz. Ale te „różne produkty" często są dalekie od Ewangelii, a nawet jej przeczą. Na naszych oczach dokonuje się radykalna rewolucja kulturowa i obyczajowa o proweniencji pogańskiej, absolutnie bezbożnej. Najbardziej widocznym przejawem jest ideologia gender. W dążeniach do całkowitego przemodelowania świata również Kościół stał się miejscem i uczestnikiem tej zaprogramowanej i sowicie opłacanej rewolucji.

À propos antychrześcijańskiej rewolucji. W Listach do Kościołów w Smyrnie i w Filadelfii czytamy o „synagodze Szatana". Czym ona była? Lub jest?

W przypadku tych wspólnot zagrożenie dla prawdy Ewangelii i wiary chrześcijańskiej przychodziło ze strony tej części Żydów, którzy nie przyjęli Ewangelii, a po 70 r. po Chrystusie, wraz z okrzepnięciem judaizmu rabinicznego, na rozmaite sposoby się jej sprzeciwiali. Z całą ostrością wyłoniło się pytanie o „prawdziwy Izrael": Skoro na fundamencie religii biblijnego Izraela, którego wiarę wyraża Stary Testament, jedni Żydzi powiedzieli Jezusowi „tak", a inni „nie", to kto jest „prawdziwym Izraelem", czyli prawomocnym spadkobiercą wiary zapoczątkowanej przez Abrahama? Przecież nie może być tak, że i ci, którzy przyjęli Jezusa jako Mesjasza, i ci, którzy go odrzucili, mają jednakowo rację!

W naszych czasach pytanie o „prawdziwy Izrael", które w historii Kościoła zawsze było ważne, zostało zepchnięte na daleki plan. Stało się tak zwłaszcza po Soborze Watykańskim II (1962–1965) i nawiązaniu dialogu Kościoła z Żydami i judaizmem. Wielu zwolenników w Kościele ma (żydowska) koncepcja dwóch dróg zbawienia: jednej dla chrześcijan, a drugiej dla wyznawców judaizmu. Ale jeżeli się ją przyjmie, to wtedy Jezus Chrystus w gruncie rzeczy staje się niepotrzebny. Skoro (rzekomo) nie potrzebują Go Żydzi, naród Bożego wybrania, który go oczekiwał, to dlaczego mieliby Go potrzebować ci, którzy wywodzą się z pogan?

Święty Jan, analogicznie do św. Pawła, podkreśla, że brak wiary w Jezusa Chrystusa podważa sedno tożsamości potomków Abrahama „według ciała" zakorzenionej w Starym Testamencie. O żydowskich przeciwnikach mówi, że „samych siebie nazywają Żydami, ale nie są nimi, lecz Synagogą Szatana". To mocne słowa, lecz sytuują się one w ówczesnym kontekście nasilonych polemik i wzajemnego oddzielania się od siebie, w którym obie strony skutecznie współdziałały. Apostoł daje do zrozumienia, że nie tylko o odmowę przyjęcia Ewangelii chodzi, lecz przede wszystkim o wrogość, której skutki były dla chrześcijan bardzo dotkliwe.

To szokujące dla niektórych słowa. Takich się dziś już raczej nie używa.

Ten, którego szokuje mocna wypowiedź św. Jana, powinien zadać sobie trud zapoznania się z antychrześcijańskim paszkwilem „Toledot Jeszu". Chorobą, która zagraża dzisiejszym wyznawcom Chrystusa, jest naiwność oraz wynikający z niej brak poczucia dumy z wyznawania swojej wiary i brak odwagi wtedy, kiedy my i nasza wiara stajemy się przedmiotem ironii, kpin, szyderstw i ataków. Musimy pamiętać, z jakiej skały zostaliśmy wyciosani, i nie możemy milczeć, gdy ta skała wietrzeje i się kruszy.

Mocne napomnienia Apokalipsy nie tracą nic z aktualności również wtedy, gdy się je odniesie do zagrożeń istniejących w Kościele. Warto niestrudzenie przypominać słowa papieża Pawła VI wypowiedziane w 1972 r. w uroczystość śś. Piotra i Pawła: „Odnosimy wrażenie, że przez jakąś szczelinę wdarł się do Kościoła Bożego swąd Szatana. Są nim zwątpienie, niepewność, zakwestionowanie, niepokój, niezadowolenie, roztrząsanie. Brak zaufania do Kościoła. Natomiast darzy się zaufaniem pierwszego lepszego świeckiego »proroka« wypowiadającego się za pomocą prasy lub przemawiającego w jakimkolwiek ruchu społecznym i żąda się od niego formułek dla prawdziwego życia! Nie myśli się przy tym, że my te formuły już posiadamy!". Wracając do postawionego pytania, trzeba dodać: Skoro „swąd Szatana" nie omija Kościoła, to kto rozsądnie zaręczy, że na pewno omija Synagogę?

Są jeszcze inne prawdy, o których dziś wielu nie chce pamiętać, jak choćby istnienie obok Bożego Miłosierdzia również Bożej Sprawiedliwości. Listy do siedmiu Kościołów znakomicie ilustrują atakowaną dziś Prawdę Wiary, według której „Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobro wynagradza, a za zło karze". Dlaczego dziś sformułowanie to tak bardzo nie podoba się wielu w Kościele?

Dzisiejsze niezrozumienie natury sprawiedliwości bierze się głównie z jej wypaczonego rozumienia. Ma ono wiele przyczyn, ale chciałbym wskazać na dwie. Jedna ma związek ze schorowaną aksjologią i skorodowanym systemem wartości. Ofiarami stały się nie tylko sprawiedliwość, lecz także prawda, piękno i dobro.

Druga przyczyna wynika z bolesnych doświadczeń XX w. Pod hasłem przywracania sprawiedliwości dopuszczano się przemocy i gwałtów, których skala jest porażająca i przerażająca. Wskutek tego sprawiedliwość bywa kojarzona z zemstą i krzywdą. W ludzkich kategoriach sprawiedliwość oznacza oddanie każdemu tego, co mu się słusznie, podkreślam: słusznie, należy. Niesprawiedliwością jest zatem sytuacja, gdy tak się nie dzieje. Lecz sprawiedliwość Boga urzeczywistnia się w innym wymiarze. Cała historia zbawienia, utrwalona na kartach Biblii, świadczy, że nie ma sprawiedliwości bez miłosierdzia, a nie ma miłosierdzia bez przebaczenia. W Kościele nie brakuje słów o miłości, miłosierdziu, czułości, przebaczeniu, ale ich wdrażanie w życie nie jest już tak bardzo widoczne. Nie chodzi o to, abyśmy robili rachunek sumienia innym, bo od tego, także w Polsce, mamy wielu specjalistów, lecz sobie – a taki rzetelny obrachunek ze sobą to trudna sprawa! Kiedy go podejmiemy, stanie się jasne, że Bóg nie pozwolił wypędzić się ze świata, nie jest emigrantem. Nie jest więc bezsilny ani bezradny wobec tych, którzy uważają się za bezkarnych. Chociaż przypominanie tej prawdy przez Kościół nie trafia do wielu zatwardziałych serc i sumień, to przecież jest konieczne.

eprasa.pl ed1acd778b

Wśród siedmiu Kościołów tylko jeden nie otrzymał od apostoła upomnień, ale wyłącznie słowa pokrzepienia i pochwały. Czym się wyróżnił?

Wspólnota chrześcijańska w Filadelfii (turecki Alaşehir) była najmniejszą spośród siedmiu wspólnot, do których św. Jan skierował swoje listy. Taka sytuacja sprzyjała integracji i konsolidacji oraz w pewien sposób zabezpieczała przed przenikaniem obcych i groźnych wpływów. Apostoł zachęca: „Trzymaj, co masz, by nikt twego wieńca nie zabrał!". „Wieniec" to symbol zwycięstwa, które przychodzi dzięki wytrwałości i cierpliwości.

Czy adresatów tego listu można traktować dziś jako wzór dla Kościoła?

Filadelfijscy chrześcijanie stanowią wzór dla tych chrześcijan, którzy żyją w małych wspólnotach, często kurczących się wskutek apostazji oraz obojętności i zwątpienia. Chrześcijanie wierni Ewangelii zawsze potrzebują umocnienia i pochwały, by tym skuteczniej trwać na drodze wyznawania swojej wiary, której celem są wieczność i życie z Bogiem.

„Trwanie w drodze" też brzmi dość aktualnie...

Dzisiaj wiele mówi się o synodalności jako o „wspólnej drodze", ale znacznie rzadziej mówi się o tym, dokąd ta droga ma prowadzić. Nie wystarczy iść, aż do zmęczenia, lecz trzeba zmierzać do określonego i dobrze znanego dobrego celu. Tymczasem ukazywanie eschatologicznego przeznaczenia Kościoła, którego integralną częścią jest wyznawanie wiary w życie wieczne, ustępuje miejsca doraźnej idei braterstwa, równości, ekologii itd. Tak, te sprawy są ważne, ale wymiar horyzontalny, poziomy, nie może przesłaniać, a tym bardziej wykluczać wymiaru wertykalnego, pionowego – ku Bogu. Kościół nie jest instytucją na podobieństwo ONZ, UNESCO, a w naszych warunkach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Przysłowie japońskie mówi, że oczy wzniesione ku górze nie widzą żadnych granic. Właśnie dlatego zaspokajanie głodu chleba musi iść w parze z zaspokajaniem głodu Boga.

Listy powstają w kontekście prześladowań chrześcijan. Jak to możliwe, że wyznawcy Chrystusa tak bardzo przeszkadzali poganom? Czy Żydzi, którzy nie przyjęli Chrystusa, byli prześladowani podobnie jak chrześcijanie? Czy prześladowano w ten sposób w Rzymie wyznawców jakiejkolwiek innej religii?

Do IV w., czyli przez ok. 300 lat, wyznawcy żadnej religii nie byli tak prześladowani jak chrześcijanie. Zarówno poganie, którzy byli ludźmi religijnymi, jak i Żydzi – jedni i drudzy na swój sposób – układali się z władzami imperium rzymskiego i cieszyli wieloma przywilejami. Wyznawcom judaizmu nie tylko udawało się ułożyć dobre relacje, lecz także w sytuacji, gdy zanosiło się na prześladowanie chrześcijan, zawsze deklarowali, że nie mają z chrześcijanami nic wspólnego. Co więcej, zdarzało się, co na początku II w. miało miejsce na Cyprze, że czynnie włączali się w prześladowania wyznawców Chrystusa, a nawet je stymulowali.

Dlaczego sytuacja pierwszych chrześcijan była zupełnie inna?

Po pierwsze, chrześcijanie nie podporządkowywali się zasadom religii imperialnej, co skutkowało zarzutami o nielojalność wobec władz. Po drugie, łamali zasady ówczesnego porządku społecznego, w którym dużą rolę odgrywało niewolnictwo. Chociaż nie zostało zniesione, to wspólnoty chrześcijańskie były o wiele bardziej „demokratyczne" niż środowiska, w których one istniały. Po trzecie, przestrzeganie zasad moralnych wynikających z Ewangelii odróżniało chrześcijan od ich otoczenia, co stanowiło podglebie dla niechęci i narastania różnych stereotypów. Również dzisiaj chrześcijanie są najbardziej prześladowaną wspólnotą religijną, co widać nie tylko w tzw. krajach misyjnych, lecz także w Europie. Ostatnio agendy europejskie podjęły próbę, która wcześniej udała się w USA, usunięcia z języka publicznego nazwy „Boże Narodzenie". Na razie się nie powiodła, ale trzeba liczyć się z tym, że będzie ponawiana. Wymownie ilustruje ona skalę nierozumnej wrogości wobec fundamentu, na którym została zbudowana Europa.

Pisze ksiądz profesor, że to, co się dzieje w dzisiejszym Kościele, miało liczne precedensy w starożytności. Chcę zatem zapytać – zerkając na tytuł księdza książki o Listach św. Jana – czy oprócz tak powszechnego dziś i głośnego sprzeciwu wobec Chrystusa dostrzegamy jeszcze względem Niego entuzjazm choć trochę podobny do tego z czasów, kiedy na wyspie Patmos dokonywał żywota św. Jan?

Zło jest krzykliwe, a dobro jest ciche; zło jest butne, a dobro jest pokorne; zło jest bezwstydne, a dobro jest skromne i powściągliwe. Gdy w małej miejscowości mieszka kilkanaście dobrych dziewcząt, pozostają w cieniu i się o nich nie mówi; ale gdy pojawi się tam jedna, która źle się prowadzi, jest na ustach wszystkich, przy czym nie brakuje takich, którzy jej sprzyjają. W Kościele jest mnóstwo dobra, bo współtworzą go niezliczone tysiące prostych dobrych ludzi trwających w przyjaźni z Bogiem. Ale są też rozmaite przejawy zła, zawsze nagłaśniane i często wyolbrzymiane. Sprzeciw wobec Chrystusa może być reakcją na to, co złe i gnuśne w postawach chrześcijan, i tego aspektu nie wolno lekceważyć. Ale nie jest to powód jedyny ani najważniejszy. Bóg i Jego wyznawcy mają wielu wrogów, ponieważ świat nie jest pierwotnym rajem ani oczekiwanym niebem. Na drugim biegunie różnych odmian sprzeciwu znajduje się entuzjazm wobec Chrystusa. Bez entuzjazmu nie można osiągnąć nic wielkiego, o czym wiedzą ci wszyscy, którzy wnoszą w świat obecność Boga. Dzięki wysiłkom, czasami tylko „dziesięciu sprawiedliwych", wciąż zdarzają się prawdziwe cuda, a ich owocem jest bardzo wiele dobra, którym się wszyscy karmimy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

ks. Waldemar Chrostowski – duchowny rzymskokatolicki, profesor doktor habilitowany teologii, biblista. Laureat nagrody tygodnika „Do Rzeczy" Strażnik Pamięci 2021 w kategorii „Twórca".

eprasa.pl ed1acd778b

Niewygodny Dmowski

Piotr Semka

Wydawało się, że setna rocznica odzyskania niepodległości przypieczętuje konsensus w ustaleniu pewnego kanonu polityków z okresu lat 1918–1922. Wielką szóstkę mieli stanowić Piłsudski, Dmowski, Paderewski, Witos, Korfanty i Daszyński. Dziś widać, że ten konsensus wcale nie był mocny. A jeden z czołowych liderów Platformy Obywatelskiej Rafał Trzaskowski natychmiast poparł postulaty uczczenia feministek rondem, któremu dotychczasowe imię Romana Dmowskiego ma być odebrane

Rada m.st. Warszawy chce zmienić nazwę ronda Dmowskiego na rondo Praw Kobiet. Lewicowe i liberalne media przeszły wobec tej propozycji obojętnie lub wręcz ją poparły. O sporych szansach na takie wygumkowanie lidera polskiego obozu narodowego z mapy Warszawy świadczy wypowiedź prezydenta Rafała Trzaskowskiego, który wsparł zmianę. „Roman Dmowski jest uhonorowany w innych miejscach w Warszawie – pomnik przy al. Szucha czy Dworzec Wschodni. Rondo jego imienia stało się symbolem walki o prawa kobiet" – głosi prezydent Warszawy.

Polityk Platformy Obywatelskiej bez większej żenady manipuluje faktami. Pomnik Dmowskiego niedaleko placu Na Rozdrożu jest obiektem niechęci lewicy od wielu lat. Nietrudno wyobrazić sobie sytuację, że po zmianie nazwy śródmiejskiego ronda kolejnym postulatem będzie usunięcie monumentu. Wzorem dla takiej akcji może być „obywatelskie" obalenie pomnika ks. Henryka Jankowskiego w Gdańsku. A jednocześnie można też założyć, na przykład po uniewinnieniu Władysława Frasyniuka od zarzutu napaści na policjanta, że jakiś inny sędzia uzna, iż obalenie pomnika Dmowskiego będzie stanowiło „niewielkie zagrożenie społeczne". Pewne jest jedno: usunięcie nazwiska Dmowskiego ze śródmiejskiego ronda skłoni lewicę do akcji w celu likwidacji jego pomnika przy Łazienkach.

eprasa.pl ed1acd778b

Podmiana tablicy z nazwą ronda Romana Dmowskiego na rondo Praw Kobiet. Demonstracja Strajku Kobiet, 28 listopada 2020 r. FOT. MARZENA WYSTRACH/REPORTER

O tym, jak lewicowy neofityzm może wpływać na działania polityczne, świadczyć może pewien smutny paradoks. Za zmianą nazwy ronda głosowała radna Iwona Staniszkis, córka znanej socjolog Jadwigi Staniszkis i wnuczka Witolda Wincentego Staniszkisa, przedwojennego działacza Obozu Narodowego.

Oczywiście po prawej stronie trwa już akcja obrony patrona ronda. Jak cały spór się skończy, trudno ocenić. Konflikt ten jest jednak dobrym punktem wyjścia do rozważań o skuteczności skrajnej lewicy w sporach kulturowych. I o tym, jak słabe okazały się nadzieje na stworzenie jakiegoś konsensusu w sprawie panteonu polskich ojców niepodległości.

Z DMOWSKIM PRZEZ PRL

Stosunek Sowietów – i marionetkowej ekipy ustanowionej w Polsce po roku 1944 – do postaci Romana Dmowskiego był zawsze dość skomplikowany. Dla ortodoksyjnych marksistów Dmowski był symbolem zarówno reakcji, jak i współpracy z caratem i wreszcie symbolem antysemityzmu. To spowodowało, że obóz narodowy jako jedyny z głównych nurtów przedwojennej sceny politycznej nie otrzymał zgody na stworzenie swojej legalnej partii po wojnie. Działacze narodowych formacji wojskowych, takich jak NSZ i Narodowa Organizacja Wojskowa, byli ścigani i mordowani z wyjątkową zajadłością. Jednocześnie władze starały się oswoić część przedstawicieli nurtu narodowego. Planiści i ekonomiści związani z endecją mogli na przykład działać na rzecz odbudowy polskich ziem zachodnich w ministerstwie u boku wicepremiera Władysława Gomułki. Podobnie Stanisław Grabski, zasłużony działacz obozu narodowego, został wiceprzewodniczącym Krajowej Rady Narodowej – komunistycznej atrapy Sejmu, która działała w latach 1944–1947. Był wreszcie i Bolesław Piasecki, przedwojenny działacz ONR, który przyjął rolę konia trojańskiego komunistów w obozie polskich katolików.

Wszystkie te tradycje istniały na marginesie PRL i niekiedy bywały w ograniczonym stopniu akceptowane przez linię propagandy państwowej. Fakt pewnego flirtu ekipy Mieczysława Moczara z niektórymi elementami tradycji endeckiej wywołał oburzenie środowiska lewicy laickiej, czyli kontestatorów PRL, z pozycji marksistowskich. Szok spowodowany Marcem 1968 wywołał w tym środowisku tendencje do utożsamiania endecji z komunizmem. Jeśli „komandosi" krytykowali ekipę Gomułki, to za to, że rzekomo przejęła ona myśli Romana Dmowskiego. Była to efektowna i chwytliwa teza, którą podchwycił np. Czesław Miłosz w swoim słynnym zdaniu: „Jest ONR-u spadkobiercą partia".

Z tym dogmatem, który uważany był w środowisku lewicy laickiej za oczywistą oczywistość, podjął dialog w latach 70. antykomunistyczny Ruch Młodej Polski. Początkowo spory między młodopolanami a lewą częścią KOR były bardzo ostre. Publicyści, tacy jak np. Aleksander Hall czy Marian Piłka, wskazywali, że obóz narodowy miał bardzo wiele odcieni, ogromne znaczenie dla unowocześnienia polskiego społeczeństwa, zbudowania świadomości narodowej w warstwie chłopskiej i robotniczej, i wreszcie w odzyskaniu przez Polskę niepodległości. W odpowiedzi np. Jacek Kuroń zarzucał młodopolanom, że chcą wybierać z tradycji endeckiej jak z bufetu, akcentując to, co nie budzi sporów, ale zamiatając pod dywan szowinizm i antysemityzm endeków. Ten spór został przerwany przez stan wojenny, a gdy w końcu lat 80. młodopolanie zaczęli wracać do polityki, główna grupa Ruchu Młodej Polski na czele z Hallem była już o wiele bardziej zdystansowana od bezpośredniej tradycji Romana Dmowskiego.

Narodowcy nie mieli szczęścia do wskrzeszenia swego nurtu w polskiej polityce. Wydawało się, że spadkobierca tej tradycji – Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe – rozsypał się wraz z porażką Akcji Wyborczej Solidarność. Inna partia nawiązująca do tradycji narodowej – Liga Polskich Rodzin – także nie przetrwała zbyt długo. Byli jeszcze tacy wychowankowie Ruchu Młodej Polski jak np. Kazimierz Ujazdowski, którzy będą błąkać się pomiędzy obozem Unii Wolności a potem Platformy Obywatelskiej i PiS. Główna, najbardziej skuteczna siła po prawej stronie, czyli Prawo i Sprawiedliwość, nigdy nie utożsamiała się z tradycją narodową, choć miała potrzebę umieszczenia Romana Dmowskiego obok Piłsudskiego czy Ignacego Paderewskiego w panteonie ojców polskiej niepodległości.

Wydawało się, że setna rocznica odzyskania niepodległości przypieczętuje konsensus w ustaleniu pewnego kanonu polityków z okresu lat 1918–1922. Wielką szóstkę mieli stanowić: Piłsudski, Dmowski, Paderewski, Witos, Korfanty i Daszyński. Dziś widać, że ten konsensus wcale nie był mocny. A jeden z czołowych liderów Platformy Obywatelskiej, Rafał Trzaskowski, natychmiast poparł postulaty uczczenia feministek rondem, któremu dotychczasowe imię Romana Dmowskiego ma być odebrane.

ZASKAKUJĄCE PRZEMIANY

Pamiętam dobrze z lat 80., z jakim miłym zaskoczeniem środowisko Ruchu Młodej Polski przyjęło spory esej Adama Michnika „Rozmowa w cytadeli". W tekście tym z 1983 r. czołowy polityk obozu solidarnościowej lewicy pokusił się o refleksje nad nurtami polskiej polityki, które stanęły wobec zadania odbudowy Polski po 1918 r. Co wówczas zaskakiwało, Michnik pisał o Dmowskim w sposób spokojny i rzeczowy. Potrafił docenić jego zasługi w tworzeniu nowoczesnej myśli politycznej i stosunkowo rzeczowo umiejscawiać jego krytykę środowisk żydowskich

eprasa.pl ed1acd778b

w obrazie politycznych konfliktów II RP. Bardzo wiele postaci z konserwatywnej strony opozycji uznawało, że w ten sposób Michnik oddala się od swoich młodzieńczych fascynacji socjalizmem z ludzką twarzą i akceptuje różnorodność polskich dróg do niepodległości.

Cały ten wizerunek Michnika – historycznego realisty – rozwiał się po 1989 r. Zaczął on bowiem znowu odgrzewać karykaturalny wizerunek tradycji Dmowskiego jako największego zagrożenia dla odbudowującej się polskiej demokracji. Zbiegło się to z drugim zjawiskiem – coraz głębszym wpływem na historiografię polskiego obozu liberalnego naukowców z Ameryki zajmujących się Holokaustem. Traktowali oni ludobójstwo Żydów na ziemiach polskich jako naturalną konsekwencję konfliktów etnicznych w Polsce przed 1939 r. Teza ta pasowała do oskarżenia, że najwięcej obozów zagłady Niemcy zorganizowali właśnie w Polsce z racji stopnia przedwojennego antysemityzmu.

Te zagraniczne prace zazwyczaj tworzone były przez autorów, którzy nie wgłębiali się w niuanse polskiej historii lat 1918–1939, tylko traktowali obóz narodowy niemalże jak nieco słabszą wersję NSDAP. Na tej podstawie formułowano tezy, które zagranicznym badaczom wydawały się logiczne i komplementarne – np. pisano, że przedwojenni endecy byli proniemieccy, bo zakładano, że antysemityzm Hitlera musiał objawiać się we współpracy między nazistami a polskimi narodowcami. Było zupełnie inaczej. Endecy aż do wybuchu wojny zachowywali zdecydowanie antyniemieckie stanowisko. Co więcej, to narodowcy oskarżali Piłsudczyków o flirt z Hitlerem.

Do tego krajobrazu doszedł z czasem nowy element. Radykalne młode pokolenie spod znaku Krytyki Politycznej nie miało już żadnej ochoty wgłębiania się w przedwojenne niuanse i powielało bardzo wiele prostackich schematów na temat Dmowskiego i endecji. Dobrym przykładem zwycięstwa tej nowej tendencji był tekst w dodatku historycznym „Gazety Wyborczej" o nazwie „Ale historia" z 18 września br. Otworzyła ona swoje wydanie wyrazistym tekstem prof. Johna Connelly'ego, historyka z Uniwersytety w Berkeley o tytule „Dmowski – szkodnik stulecia". Connelly pisał: „Czczenie Dmowskiego źle się kojarzy – to tak, jakby Włosi stawiali pomniki Mussoliniemu albo Niemcy Hitlerowi; bardziej szokujące jest może to, że władze [polskie – przyp. P.S.] nie ograniczają się do ukrywania polskich sprawców, tylko ich jawnie wysławiają!". Jak pisał amerykański badacz: „Nie mam tu na myśli jakiegoś granatowego policjanta czy dowódcy NSZ, twórcy toksycznej tradycji szowinizmu, dzięki której te zbrodnie wojenne były możliwe. Chodzi mi o Romana Dmowskiego; antysemita bez wątpienia rasistowski".

Wiele razy w ciągu ostatnich trzech dekad liberalni publicyści chwalili realizm polityki Dmowskiego. Gdy jednak feministki pod wodzą Marty Lempart rzuciły hasło zmiany nazwy ronda Dmowskiego, mało kto podejmuje z nimi dyskusję

Amerykański autor w wielu miejscach wykazywał słabą znajomość polskiej sytuacji przedwojennej. Na przykład, gdy wskazał, że Dmowski zmarł w 1939 r. i został pochowany z pełnymi honorami państwowymi. Jest to przykład absolutnej nieznajomości sytuacji, gdyż nad pogrzebem Dmowskiego pełną pieczę sprawowało Stronnictwo Narodowe, a sanacyjne władze trzymały się od tego pogrzebu z daleka.

Cały ten tekst pokazał, że w obozie „Gazety Wyborczej" przestano już zwracać uwagę na jakiekolwiek anachronizmy niewiedzy zachodnich badaczy w imię bezkrytycznego przyjmowania opinii Zachodu. Adam Michnik, który prawie 30 lat temu potrafił oddać Dmowskiemu wiele zasług, teraz nie uznał za stosowne odnieść się do twierdzeń Amerykanina. Bardzo przypomina to milczenie szefa „Gazety Wyborczej" na temat najbardziej dyskusyjnych tez Jana Grabowskiego. Także były prezydent Bronisław Komorowski, który jako głowa państwa składał w 2014 r. kwiaty pod pomnikiem Dmowskiego w ramach marszu 11 listopada, tym razem nie skomentował planów pozbawienia Dmowskiego ronda w centrum stolicy. Jedynie Kazimierz Ujazdowski, będący obecnie senatorem Platformy, publicznie skrytykował inicjatywy radnych m.st. Warszawy. Wszystko to pokazuje, jak bezradni są rzekomi centrowcy czy nawet platformersi odwołujący się do konserwatyzmu w sytuacji, gdy skrajna lewica przystępuje do realizowania swojej polityki propagandowej.

OD ŁYCZKA DO RZEMYCZKA

Lewica nauczyła się, gdy jest to jej wygodne, sięgać po część tradycji niepodległościowej, ale tylko na zasadzie pałki, która ma ugodzić prawą stronę. Przez lata po lewej stronie wyśmiewano kult powstania warszawskiego. „Gazeta Wyborcza" insynuowała np., że ważnym jego elementem było polowanie na Żydów, a pomysł uruchamiania sygnałów syren miejskich w kolejne rocznice wybuchu powstania był krytykowany jako działanie zakłócające spokój ptaków. Teraz, gdy głównym zagrożeniem dla lewej strony jest Marsz Niepodległości, ulubionym chwytem lewaków jest zaproszenie paru weteranek powstania do blokowania marszu narodowców.

W podobny sposób publicyści lewicy rozdzierają szaty: „Kiedyś w Warszawie do faszystów strzelano, a dziś w stolicy toleruje się marsz 11 listopada". Pokrewny schemat zastosowano w przypadku żołnierzy wyklętych. Dopiero gdy okazało się, jak silny w Polsce jest ich kult, zaczęto nagłaśniać tych liderów środowisk Armii Krajowej, którzy zaczęli narzekać, że wyklęci nie dostosowali się do rozkazu rozwiązania Armii Krajowej i kontynuowali walkę bez niczyjego rozkazu. Z Dmowskim było tak samo. Wiele razy w ciągu ostatnich trzech dekad liberalni publicyści chwalili realizm polityki Dmowskiego w kontrze do tromtadracji PiS jako spadkobierców sanacji. W tę rolę lubili się wcielać publicyści historyczni „Gazety Wyborczej". Gdy jednak feministki pod wodzą Marty Lempart rzuciły hasło zmiany nazwy ronda Dmowskiego, mało kto podejmuje z nimi dyskusję.

Dmowskiego bronią IPN, federacja Piłsudczyków. Najwyraźniej obawiają się zabrać głos dziekani wydziałów polskich uczelni czy np. Polskie Towarzystwo Historyczne. Jeśli okaże się, że zwolennicy znaku błyskawicy dopną swego i zmienią nazwę ronda, to nie można mieć wątpliwości, że skłoni to lewicę do kolejnego polowania na „niewłaściwych patronów". Można się tylko zastanawiać, czy do wygumkowania zostanie wyznaczona nazwa al. Jana Pawła II czy np. plac Józefa Hallera.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Biogen – jesteśmy pionierami neuronauki

Prowadzimy pionierskie badania naukowe, które poszerzają wiedzę na temat układu nerwowego. Dzięki zastosowaniu nowych technologii cyfrowych oraz włączeniu doświadczeń społeczności pacjenckich możemy pogłębić rozumienie oraz chronić cechy i wartości fundamentalne dla człowieka.

www.biogen-poland.pl

Biogen.

Biogen-60776

eprasa.pl ed1acd778b

Kamila Baranowska

Kandydatki na kandydatkę

Beata Szydło i Elżbieta Witek to dziś najmocniejsze kobiece nazwiska w obozie rządzącym. Ostatnio zaczęły przewijać się w kontekście następnych wyborów prezydenckich

Nagłówek „Super Expressu" krzyczał niedawno: „Beata Szydło lepszą kandydatką PiS na prezydenta od Elżbiety Witek". Okazało się, że tabloid zlecił sondaż na temat krążących od jakiegoś już czasu plotek o tym, że w następnych wyborach prezydenckich w 2025 r. PiS miałby wystawić kobietę i że mogłaby to być albo była premier, albo obecna marszałek Sejmu. Sondaż pokazał, wbrew krzykliwemu tytułowi, że szanse są wyrównane. Beatę Szydło jako lepszą kandydatkę wskazało 52 proc. Badanych, Elżbietę Witek – 48 proc.

ZŁOŚĆ LUB ŚMIECH

W PiS te dywagacje budzą albo złość, albo śmiech, w zależności od sympatii danego polityka do każdej z pań.

Największą złość budzą w samej Beacie Szydło i Elżbiecie Witek, które nie mają złudzeń i uważają, że to ukartowana akcja – po pierwsze, by je ze sobą skłócić, a po drugie, by pokazać ich rosnące wpływy, a stąd już krótka droga do wzbudzenia nieufności prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

– To spin, który ma robić tylko zamieszanie i wiadomo, że jest skierowany przeciwko Beacie Szydło i Elżbiecie Witek. Wybory w 2025 r. to tak odległy termin, że nikt takich rzeczy na poważnie dziś nie rozważa – mówi nam polityk z otoczenia Beaty Szydło. Tam nikt nie ma wątpliwości, że za podkręcaniem tych spekulacji stoją ludzie obecnego premiera Mateusza Morawieckiego. – Oczywiście zaczął to Waszczykowski, ale on to już mówi nie pierwszy raz, ciągle to powtarza w wywiadach, gdy ktoś go zapyta. Ale potem to już był celowo pompowany spin, wrzutki i porównania, żeby je przy okazji też skłócić – dodaje nasz rozmówca.

Podobnie na sprawę patrzą sympatycy Elżbiety Witek. – To doświadczona polityk i wie, czemu takie informacje mają służyć: albo spaleniu kandydatury, albo pokazaniu, jak niektórzy budują sobie pozycję, a to w kierownictwie partii nigdy nie jest dobrze widziane – słyszymy.

Wybory prezydenckie odbędą się w 2025 r., a w polityce trudno cokolwiek planować z takim wyprzedzeniem. Zwłaszcza jeśli idzie o personalia. Trudno też przewidzieć, czy w ogóle PiS będzie rozważał wystawienie do tego wyścigu kobiety. – Taka decyzja wymaga gruntownych badań, i to przeprowadzonych wokół konkretnej już kandydatki. Aczkolwiek sam pomysł uważam za ciekawy, a takie nieoczywiste posunięcia w polityce często przynoszą dobre efekty – wskazuje dr Sergiusz Trzeciak, ekspert ds. komunikacji, marketingu politycznego i doradztwa strategicznego, autor książek dotyczących strategii kampanijnych. I dodaje: – Z punktu widzenia PiS najważniejsze jest znalezienie takiej postaci, która będzie potrafiła wyjść poza własny twardy elektorat i pozyskiwać nowych wyborców, tak jak udało się to Andrzejowi Dudzie. Łatwiej byłoby to zrobić osobie, która nie jest powszechnie znana i kojarzona z rządzącymi, nie ma dużego elektoratu negatywnego i jest w stanie wokół siebie zbudować narrację atrakcyjną dla ludzi spoza politycznego świata.

Szydło i Witek nie do końca spełniają te warunki. Obie są powszechnie znane i mocno związane z obozem rządzącym, w związku z czym obie łatwo jest obarczyć odpowiedzialnością za wszystkie wpadki i błędy, które podczas rządzenia popełniał obóz Zjednoczonej Prawicy, co w kampanii wyborczej ma znaczenie. Obie mają też swoje zalety, które z punktu widzenia prezesa PiS mogą okazać się decydujące.

POPULARNOŚĆ WŚRÓD WYBORCÓW

Kiedy Beata Szydło dowiedziała się, że musi zrezygnować z funkcji premiera na rzecz Mateusza Morawieckiego, była zdruzgotana. Jak wielu polityków PiS była przekonana, że jeśli dojdzie do takiego scenariusza, to na fotelu premiera zastąpić może ją wyłącznie sam Kaczyński. Stało się inaczej, a Kaczyński z daleka obserwował, jak Szydło poradzi sobie z przełknięciem tak gorzkiej pigułki. Szydło zdała ten egzamin. Zachowała się lojalnie. Mimo rozgoryczenia nie krytykowała, nie obwiniała, nie udzielała łzawych wywiadów. Co więcej, zgodziła się wejść do rządu Morawieckiego w roli wicepremiera. – Zachowała się z wielką klasą i nie dała po sobie poznać nawet przez chwilę, że czuje się jakkolwiek urażona. Mało który polityk by tak potrafił, bo większość z nas ma mocno przerośnięte ego – opowiadał nam w tamtym czasie jeden z członków rządu.

eprasa.pl ed1acd778b

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL-WIŚNIEWSKA/REPORTER

Mało kto jednak wiedział, jak wiele ją to kosztowało. Miała wtedy gorszy okres, wycofała się, musiała przetrawić całą sytuację. Wyjazd do Brukseli niewiele pomógł, bo tam również Beata Szydło sprawiała wrażenie, jakby nie była na swoim miejscu. Na to nałożyły się problemy rodzinno-osobiste. Media rozpisywały się o tym, że jej syn zrezygnował ze stanu duchownego. Jej współpracownicy byli podłamani, widząc, co się dzieje, a partyjni koledzy obawiali się, że politycznie była premier się już z tego nie podniesie. Niepotrzebnie, bo widać, że kapitał polityczny Beata Szydło wciąż ma bardzo duży. W wyborach do europarlamentu otrzymała rekordowy wynik ponad pół miliona głosów i wciąż jest jednym z najpopularniejszych polityków PiS. Wyborcy ją kochają, co widać na wszelkich spotkaniach w terenie. Także w partii ci, którym nie po drodze z Morawieckim, z nostalgią wspominają czasy, gdy była premierem, mówiąc, że „była PiS-owcem z krwi i kości, nie to, co Morawiecki". Prezes PiS wciąż darzy ją zaufaniem i szacunkiem, doceniając to, że byłej premier nie zdarzyło się publicznie ostro skrytykować polityki obecnego rządu, co nagminnie czyni choćby Zbigniew Ziobro.

WITEK DO ZADAŃ SPECJALNYCH

Lojalność to także jeden z atutów marszałek Sejmu. I dlatego tak bardzo nie na rękę są jej obecne spekulacje. Witek przyjaźni się z Beatą Szydło i jest zaliczana do frakcji sprzyjającej byłej premier. Znają się jeszcze z poprzednich kadencji, gdy w Sejmie trzymały się razem i siedziały obok siebie na sali plenarnej. Kiedy wpływy i pozycja Beaty Szydło w PiS zaczęły rosnąć, także Witek zaczęła piąć się w górę. W 2015 r., po wygranej Andrzeja Dudy, Elżbieta Witek została rzecznikiem PiS. To jej pierwsza tak ważna funkcja, a dostała ją właśnie dzięki Beacie Szydło – wtedy autorce zwycięskiej kampanii Andrzeja Dudy i kandydatce PiS na premiera.

Po wygranych przez PiS wyborach Witek została szefową gabinetu premier Szydło i jej rzecznikiem prasowym. Obie dobrze się rozumiały, Beata Szydło często słuchała rad Witek, która czuła się coraz pewniej. Współpracownicy byłej premier zarzucali jej, że zaczęła się wtrącać w sprawy, które nie leżały w jej kompetencjach, i że „trochę uderzyła jej woda sodowa".

Po dymisji Beaty Szydło Witek także pożegnała się z KPRM. I razem z byłą premier została odstawiona na nieco boczny tor. Do pracy w rządzie wróciła przy okazji rekonstrukcji w 2019 r., prosto na stanowisko szefa MSWiA. Kaczyński chciał wtedy zrównoważyć nieco wpływy Morawieckiego i zrobić ukłon wobec Szydło. Witek zgodziła się bez szemrania, choć publicznie przyznała, że akurat tak ważny resort to dla niej duża niespodzianka. Długo tam miejsca nie zagrzała, bo po dwóch miesiącach prezes PiS stwierdził, że Witek lepiej sprawdzi się na odcinku sejmowym. Zwłaszcza że trzeba było gasić wizerunkowy pożar związany z Markiem Kuchcińskim, a Witek do tego nadawała się idealnie. Niekonfliktowa, lubiana, dobrze odbierana także przez polityków opozycji. Swego czasu nawet Stefan Niesiołowski mówił o niej, że jest „kulturalną, zdystansowaną posłanką". Kiedy ostatnio trzeba było zorganizować rozmowy z opozycją na temat sytuacji pandemicznej, Witek wzięła to na siebie.

Witek podobnie jak Szydło cieszy się dużym zaufaniem Kaczyńskiego, który zapamiętał, jak w 2008 r. poradziła sobie z porządkowaniem wałbrzyskich struktur partii, a także jak opiekowała się schorowaną posłanką PiS Jolantą Szczypińską, która zmarła trzy lata temu.

Witek także w obecnej roli marszałek Sejmu prezesa nie zawodzi. Gdy niedawno jedno z ważnych dla PiS głosowań przebiegło nie po myśli partii, zarządziła reasumpcję głosowania. Opozycja nie kryła oburzenia i zarzuciła jej złamanie prawa. Witek w ramach obrony powoływała się na fakt posiadania odpowiednich opinii prawnych w tej sprawie, ale – jak się okazało – te, którymi dysponowała, pochodziły z 2018 r. i nie dotyczyły tego konkretnie głosowania. Morawieckiego – tak jak Szydło – oficjalnie nie krytykuje, uważając, że zaszkodzi tym sobie i partii. Co nie zmienia faktu, że z jego ekipą ma szorstkie relacje, co dobrze widać z treści wyciekających e-maili ministra Michała Dworczyka. Nie tak dawno minister KPRM pisał do premiera, że marszałek Witek blokuje ważną dla rządu ustawę dotyczącą ułatwień w sprowadzaniu do Polski zagranicznych lekarzy. „Są jakieś granice egocentryzmu, nadęcia i poczucia własnej wielkości" – miał irytować się Dworczyk. „Najbardziej wkurza mnie to, że takie akcje robią nabzdyczeni ludzie, którzy na co dzień nie przepracowują się nadmiernie, a mają o wszystko pretensje i sprawiają wrażenie, jakby nieśli na barkach ciężar całego świata" – dodawał, odnosząc się m.in. do marszałek Witek.

Śledząc spekulacje na temat tego, kogo PiS może wystawić w następnych wyborach prezydenckich, nie sposób nie uciec od pytania, czy to rzeczywiście jest ten moment, w którym wyborcy postawią na kobietę prezydenta. Dotąd nie wydawało się to możliwe, bo z większości badań wychodziło, że Polacy premiują kandydatów, i to o określonym wyglądzie, wieku i określonej palecie cech. Ostatnie doświadczenia innych partii z kobietami kandydatkami (Magdalena Ogórek, Małgorzata Kidawa-Błońska) także nie napawały optymizmem. – Trudno ocenić, czy społeczeństwo jest już gotowe na prezydenta kobietę, ale biorąc pod uwagę bardzo dużą dynamikę zmian społecznych i fakt, że wybory będą za cztery lata, nie wykluczałbym, że jest to pomysł godny rozważenia – mówi dr Sergiusz Trzeciak. – W polityce trzeba szukać rozwiązań, które nie są oczywiste. Trzeba umieć przewidywać pewne rzeczy, ale też błyskawicznie reagować na zmiany – dodaje dr Trzeciak.

Decyzja Jarosława Kaczyńskiego o wystawieniu Andrzeja Dudy w wyborach w 2015 r. świadczy o tym, że dobrze rozumie ten mechanizm. Być może za cztery lata też zaskoczy, stawiając na kandydatkę, a nie kandydata? I być może wcale nie na Szydło ani Witek, tylko na kogoś jeszcze innego?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Stanisław Michalkiewicz z książką autorstwa Tomasza Cukiernika – „Michalkiewicz. Biografia", wydaną przez wydawnictwo B&T Press

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl ed1acd778b

Pan Michalkiewicz

Rafał A. Ziemkiewicz

Książka pod prostym tytułem „Michalkiewicz – biografia" Tomasza Cukiernika to jeden z najlepszych prezentów, jaki człowiek ciekawy świata może sobie zrobić pod choinkę, i jeden z najlepszych sposobów na pożyteczne spędzenie wolnego, świątecznego czasu

Gdyby Stanisława Michalkiewicza nie było, warto by go było wymyślić – przede wszystkim po to, by przywrócić sens złachanym przez media słowom, takim jak „intelektualista" i „autorytet". Jest żywym dowodem, że można zmieniać świat piórem. Nie pełniąc żadnych publicznych funkcji, nie rozkazując żadnym potężnym siłom i nie mając wpływu na działanie żadnych instytucji. Wyłącznie poprzez głoszenie swych poglądów i argumentowanie, pisanie i publiczne zabieranie głosu w obronie wyznawanych wartości, bez oglądania się, czy akurat przynosi to poklask, czy wzbudza sprzeciwy.

Życie publiczne kogoś takiego bardzo potrzebuje – kogoś, o kim można być pewnym, że kiedy mówi „oskarżam", jak Zola w sprawie Dreyfusa, to nie wykonuje niczyjego zlecenia i nie prowadzi żadnej politycznej czy zgoła partyjnej rozgrywki, tylko przemawia głosem sumienia. Tę potrzebę doskonale rozumieli twórcy III RP, dlatego wykreowali całe bataliony fałszywych „autorytetów moralnych", na czele z komenderującym nimi Adamem Michnikiem, by uporczywym pouczaniem, strofowaniem i zawstydzaniem społeczeństwa przerobili je na „Europejczyków polskiego pochodzenia". Dało to, jak dziś widzimy, ten skutek, że sama idea autorytetów została skutecznie skompromitowana, a słowo „elita" nabrało w polszczyźnie pogardliwego, a co najmniej ironicznego zabarwienia.

JAK BYĆ POWINNO

Był jednak czas, gdy system – jak nazwał go Maciej Rybiński – „Polski Kiszczaka i Michnika", czyli „państwa jednej gazety, jednej partii i jednego salonu", działał skutecznie, eliminując z głównego nurtu debaty publicznej wszelką odmienną myśl. W tym czasie pan Michalkiewicz pozostawał, tak samo jak wcześniej w PRL, dysydentem, o bardzo ograniczonych możliwościach działania. Pisał – bardzo dużo i często, głównie teksty krótkie, zwięzłe, szczególnie felietony, wydawał kolejne ich zbiory w małych, niszowych wydawnictwach, które swe książki zmuszone były sprzedawać poza siecią księgarską, jeździł po Polsce, odbywając niezliczoną liczbę spotkań z zawsze tłumnie na nie się stawiającą publicznością, i publikował w niszowych, trudnych do nabycia czasopismach, określanych przez ówczesny establishment jako „prawicowe". Jedno z nich, wydawany przez Janusza Korwin-Mikkego tygodnik „Najwyższy Czas", przez wiele lat redagował i opatrywał swoim artykułem wstępnym, podsumowującym z punktu widzenia głoszonych przekonań wydarzenia mijającego tygodnia.

Naturalnym przedłużeniem tej pracy była działalność w Unii Polityki Realnej, której nieformalnym organem prasowym był tygodnik Korwin-Mikkego; wielokrotnie kandydował z jej list (bez powodzenia i bez nadziei na nie), przez krótki czas pełnił nawet formalnie funkcję prezesa partii. Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że UPR była ugrupowaniem szczególnym – Marcin Dominik Zdort bardzo celnie napisał kiedyś w „Rzeczpospolitej", że stanowiła nie tyle partię, ile zakon ojców misjonarzy konserwatywnego liberalizmu. Nie osiągnąwszy żadnych sukcesów politycznych, wywarła jednak wielki wpływ na dzieje III RP, kształtując sposób myślenia dużej części pokolenia obecnych 30-latków (zwykłem czasem żartować, że partia byłych członków i sympatyków, którzy w różnych okresach przewinęli się przez UPR oraz jej kontynuacje, gdyby powstała, byłaby najsilniejsza w Polsce). Nawet więc jeśli Stanisław Michalkiewicz występował akurat jako przedstawiciel czy kandydat ugrupowania politycznego, te „polityczne" wystąpienia nie różniły się niczym od jego regularnych spotkań z czytelnikami. Mówił po prostu o tym, jak być powinno, jak było i jest oraz czego należy się trzymać.

Fakt, że tym zwykłym pisaniem i mówieniem zdołał sobie pan Michalkiewicz wywalczyć osobną, mocną pozycję w polskim życiu publicznym, w dużym stopniu w opozycji do niego, jest niezwykle krzepiący. Choć czytelnik wspomnianej biografii Cukiernika zdziwi się zapewne, jak wiele pracy i niezłomnego uporu musiał jej bohater w zbudowanie sobie takiej pozycji włożyć.

O samym pisarstwie Stanisława Michalkiewicza można by długo, jako że jest ono jednym ze świadectw i przykładów wielkiej zmiany dokonującej się w literaturze. Przemiany przypominającej tę z wieku XIX, kiedy rodzący się nowy świat znalazł swój literacki wyraz nie w żadnym z cenionych przez poprzednie stulecie gatunków „wysokich", ale w powieści, pogardzanej dotąd jako użytkowa forma piśmiennicza, stopniowo z niej właśnie czyniąc najważniejszą z form. Dziś w analogiczny sposób nabiera znaczenia gatunek literacki zwany wciąż jeszcze publicystyką, choć wobec zmian, które w nim i w ogóle na literackim rynku zaszły, rozsądniej byłoby poszukać określenia trafniejszego. Osobiście optuję za nazwą „proza dyskursywna" – w odróżnieniu od dominującej w wieku XX prozy fabularnej. Rzecz w tym, że skoro opowiadanie historii wzięły na siebie sztuki audiowizualne, filmy i seriale, a narracja

eprasa.pl ed1acd778b

rozumiana jako ciąg zdarzeń ujętych w porządek przyczyn i skutków stała się zasadą działania komunikacji masowej, to współczesny czytelnik przestaje szukać w książkach fabuł, bohaterów czy egzotycznych światów – szuka w nich wyłożonej bezpośrednio myśli, przybierającej formę zwięzłego wykładu czy też gawędy.

AUTOR I BOHATER

Zarazem jednak, może trochę z przyzwyczajenia, że literatura to obcowanie z różnymi postaciami, zaczął współczesny czytelnik premiować takich publicystów, którzy nie są w swych wypowiedziach „przezroczyści", lecz, w pewnym sensie, sami stają się bohaterami literackimi. Punktem odniesienia dla czytelnika staje się nie fikcyjny Wierchowieński czy Bloom, ale sam autor, czy raczej jego samokreacja, utożsamiona z, mówiąc fachowo, podmiotem literackim. Taki jest mechanizm sukcesu mających milionowe nakłady, wyrazistych i przeważnie mocno zwalczanych przez establishment pisarzy jak Jordan Peterson, Nassim Taleb, Douglas Murray albo Éric Zemmour. I, uczciwszy proporcje, tak samo funkcjonuje w polszczyźnie Michalkiewicz. Jako zarazem autor książek, ale i ich bohater, z którym można się spotkać, nie tylko, by go zobaczyć i posłuchać, lecz także, by porozmawiać.

Tym bardziej że w wypadku Michalkiewicza czytelnik ma mocne poczucie postulowanej niegdyś przez naszego narodowego wieszcza „jedności słowa i czynu". I tutaj niezwykle przydatna jest biografia Cukiernika, która bardzo dokładnie, barwnie i z wieloma zabawnymi anegdotami, przybliżającymi ducha minionej epoki, przedstawia działalność Stanisława Michalkiewicza jako odważnego i skutecznego działacza opozycji, podziemnego wydawcy i drukarza przed rokiem 1989. Ta część jego biografii jest prawie nieznana, bo Michalkiewicz działał nie w tej opozycji, która się ostatecznie z komuną, jak to ujął w sławnej polemice z Władysławem Frasyniukiem Włodzimierz Czarzasty, „do-ga-da-ła", tylko w tej, która programowo dogadywać się nie chciała, więc po Okrągłym Stole pozostała „na lodzie". Ta część książki jest dla czytelników Michalkiewicza szczególnie ciekawa także dlatego, że można obserwować, jak na kolejnych etapach antytotalitarnego zaangażowania kształtował się światopogląd pisarza, jak sprzeciw wobec sowieckiej okupacji, płynący z wyniesionej z domu religijności i patriotyzmu, nabierał z czasem intelektualnej głębi, prowadząc do rozpoznania natury zła komunizmu i jego przyczyn – odrzucenia ludzkiej wolności na rzecz obietnicy „bezpieczeństwa socjalnego" za cenę „urawniłowki" i wpisania się tą obietnicą w ciemną stronę ludzkiej natury, która otworzyła dusze na marksistowskie pokusy.

Michalkiewicz jest człowiekiem „złotoustym", który – jak słyszałem kiedyś w tzw. terenie – „każdego umie uszanować"

Sądzę, że jest to jedna z głównych przyczyn popularności Michalkiewicza, powodzenia jego kolejnych książek, wszelkich jego materiałów, które znajdą się w Internecie oraz sal, jakie bez trudu zapełnia. Jego polityczne pisarstwo jest nieoczywiste. Umyka zabijającej polską debatę publiczną zasadzie „pakietowych" poglądów – musisz być albo za PiS, albo za PO, a jeśli jesteś za PiS, to na pewno uważasz to, to i to, a jeśli znowu za PO, to tamto i owamto. Wskutek uporczywego narzucania tej zasady przez wiodące media i tę część publiczności, która niechęć do samodzielnego myślenia nadrabia chętnie wzmożoną podatnością na emocje, nikt właściwie nie musi nikogo o nic pytać, wystarczy, ku uciesze politycznych macherów, okładać się jak cepami coraz cięższymi obelgami.

Michalkiewicz tymczasem potrafi, będąc zdecydowanym wrogiem komunizmu we wszystkich jego przeszłych i współczesnych mutacjach, bronić np. esbeckich emerytur. Nie z sympatii dla esbeków bynajmniej, tylko w imię zasad: jeśli esbecy byli zbrodniarzami, a przeważnie byli, to należy przywrócić karę śmierci i ich powiesić, ale nie można iść na skróty i wymierzać odpowiedzialności zbiorowej.

Jest to zapewne dla wielu jego „prawicowych" czytelników kontrowersyjne – ale kontrowersje to ostatnia rzecz, której by Michalkiewicz unikał. Co zresztą ściąga na niego furię i nienawiść salonów, praktycznie odkąd tylko się okazało, że nie sposób go otoczyć żadnym kordonem sanitarnym i unieważnić tradycyjnymi dla salonowego dyskursu oskarżeniami o antysemityzm, nienawiść czy histerycznym manipulowaniem wyrwanymi z kontekstu cytatami, które mają dowodzić, że jest „moralnie zdyskredytowany" i obcować z nim nie można. Przeciwnie, można – nawet się nie zgadzając – tu, jako przykład siły jego perswazji i argumentacji, wypada odnotować jeden z największych sukcesów Michalkiewicza, którym było dotarcie z tradycyjnym liberalnym dyskursem, bynajmniej bez maskowania go żadnymi słownymi łamańcami, do mediów o. Rydzyka, które u swego zarania „liberalizm" i wolny rynek traktowały jak wcielonego diabła.

Zapewne ma też w tym i innych sukcesach swój udział osobisty urok pisarza, o którym wiele powiedzieć mogą ci, którzy mieli przyjemność z nim współpracować bądź biesiadować – do wszystkich zalet Michalkiewicza dodać trzeba bowiem i to, że jest człowiekiem „złotoustym", który, jak usłyszałem kiedyś w tzw. terenie, „każdego umie uszanować". Połączenie daru wymowy i staroświeckiej uprzejmości z wielką erudycją i biegłością w sztuce inteligentnej konwersacji nadaje mu swoisty, „przedwojenny" polor, który zresztą przenika do jego książek, zwłaszcza gdy przybierają one formę wywiadu rzeki, jak niedawno wydane „Zmora" czy „Alfabet idei". Szczególnie ta pierwsza, opowieść o ostatnich dwóch wiekach polskiej historii, tyleż subiektywna, co przenikliwa i zmuszająca do myślenia, jest idealnym początkiem do zapoznania się ze zjawiskiem „Stanisław Michalkiewicz" dla tych, którzy dotąd osobiście się z nim nie zetknęli, być może zrażeni brutalną i intensywną nagonką, z jaką mierzyć się musi od lat.

A warto. Niekoniecznie po to, żeby się z Michalkiewiczem w każdym punkcie zgadzać. Wartością jest sama w sobie jego pisarska czy może, by sięgnąć po słowo z tradycji polskiej literatury, „życiopisarska" metoda, wyznaczająca bardzo przejrzyście zasadnicze punkty odniesienia, podstawowe wartości i logiczne konsekwencje, które z ich przyjęcia wynikają. Bo właściwie cała, bardzo już obfita, choć niezwykle rozdrobniona twórczość pana Michalkiewicza (jakoś nigdy nie słyszałem, by mówiono o nim inaczej, nawet wśród ludzi, z którymi jest blisko zaprzyjaźniony) to jeden wielki traktat o „życiu poczciwym" czy też, jak ujmował to Rush Limbaugh, o „właściwym porządku rzeczy". Traktat niezwykle potrzebny współczesnym czasom, czego najlepszym dowodem popularność Michalkiewicza, niedająca się zadeptać mimo ciągłych prób, licznych i podejmowanych przez osoby i środowiska naprawdę wpływowe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

40. LECIE

STANU WOJENNEGO W POLSCE OPISANE TWÓRCZOŚCIĄ PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

„BURZA PRZED CISZĄ"

13.XII.21

ZOBACZ NA WWW.GINTROWSKI.PL

MECENASI:

PARTNERZY GŁÓWNI:

PARTNERZY:

eprasa.pl ed1acd778b

Z Piotrem Schrammem, adwokatem
rozmawia Karol Gac

Czuję się siewcą prawdy

FOT. TOMASZ BONIECKI

KAROL GAC: Czuje się pan „siewcą głupoty"?

PIOTR SCHRAMM: Czuję się osobą, która od dwóch lat analizuje fakty, badania naukowe i dane. Na ich podstawie przedstawiam kwestie, które powinniśmy postawić co najmniej w formie pytań. W tym zakresie czuję się siewcą prawdy i wątków, które powinny być podnoszone w debacie publicznej, by rozwiewać fake newsy albo podawać w wątpliwość tezy dotychczas postawione jako ostateczne, które zmieniają się z upływem czasu.

Tymczasem wraz z Bogdanem Rymanowskim, Janem Pospieszalskim i Edytą Górniak znalazł się pan na okładce „Newsweeka" jako ten, który „kwestionuje pandemię, zniechęca do szczepień, miesza prawdę z fake newsami".

Tezy są nieprawdziwe. Prowadzę skomplikowane, wielowątkowe spory sądowe, także te dotyczące błędów medycznych, gdzie weryfikuję dane, badania, ale i przesłuchuję ekspertów. Kompetencja do weryfikacji danych jest immanentną cechą mojej specjalizacji. Jeśli ktoś prezentuje powyższą tezę, to odpowiedziałbym, że abstrakcyjne jest dla mnie podejście, które podważa podstawową zasadę nauki polegającą na kwestionowaniu w sytuacji, w której wszystko jest nowe, a niektóre tezy okazują się być absurdalne. W ciągu dwóch lat zmieniło się wiele i obecnie nie stosuje się już rozwiązań, które w ubiegłym roku były przyjmowane jako dogmat. Eksperci wskazują, że cały czas się uczą i ja to też powtarzam. Sugeruję więc to samo Tomaszowi Lisowi.

To, co się stało, jest jednak najlepszym dowodem na to, że istnieje absolutna blokada na prowadzenie jakiejkolwiek rozmowy, która mogłaby spowodować, że narzucone przez mainstream tezy mogłyby zostać podane w wątpliwość. Jeśli ktoś uważa, że jestem przeciwko systemowi szczepionkowemu, to również jest to głębokie zakłamanie, ponieważ przyjmuję nie tylko wszystkie szczepienia, lecz także te, których nie przyjmują powszechnie inni. Dyskusja dotyczy wyłącznie określonej nowej szczepionki na COVID-19. To szczepionka w trakcie badań, a technologia mRNA jeszcze do grudnia ubiegłego roku nie była nawet dopuszczona do powszechnego stosowania u ludzi.

W artykule „Newsweeka" zacytowano mój wpis, w którym wskazuję, że osoba zaszczepiona może transmitować wirusa i absolutnie bezpodstawne jest wprowadzanie obowiązków tzw. paszportów covidowych. W związku z tym apelowałem o rozpoczęcie debaty na temat polityki szczepień. To wszystko. Dlaczego mainstream nie chce podejmować debaty na temat faktów? Pozostawiam to bez odpowiedzi.

Tomasz Lis napisał na Twitterze, że podważają państwo „skuteczność szczepionek na COVID albo propagują dezinformacje o ich szkodliwości, narażając na śmierć tysiące ludzi". Pan już zapowiedział złożenie aktu oskarżenia w sprawie o zniesławienie.

Mamy sytuację, kiedy doświadczony dziennikarz Tomasz Lis, którego śledzi na Twitterze niemal milion osób, w sposób skandaliczny prezentuje pogląd, de facto wpływając na odbiór innego człowieka. W dodatku zacytowany fragment mojego wpisu nawoływał do debaty, więc jeżeli Tomasz Lis, który jawi się jako wolnościowiec, orędownik linii platformerskiej, za zachęcanie do debaty obraża inną osobą, to znaczy, że istnieje jakaś głęboka kwestia. Trzeba jednak pamiętać, że rozmawiamy o art. 212 k.k., więc jeśli Tomasz Lis czeka na pozew, to się go nie doczeka.

Kiedy widzę, że dane nie potwierdzają tego, co mówią ekspert czy redaktor Lis, to po prostu to wykazuję. Ktoś tę dyskusję musi podsycać, bo bez niej z ludźmi będzie można zrobić wszystko. Mamy art. 31 ust. 3 Konstytucji RP, który mówi, że wszelkie ograniczanie praw i wolności musi następować w drodze ustawy i tylko wtedy, jeśli jest to uzasadnione, m.in. ze względu na kwestie zdrowotne. Zajmowałem się obroną w procesach o charakterze w zasadzie politycznym, w których obecna władza gnębiła osoby za udział w demonstracjach. W 2019 r. otrzymałem za swoją działalność nagrodę RPO Adama Bodnara i robię to dalej.

eprasa.pl ed1acd778b

Tomasz Lis na wieść o pozwie Bogdana Rymanowskiego napisał tak: „Bardzo się cieszę. Niech w tej sprawie i w sprawie antyszczepionkowej propagandy narażającej na śmierć dziesiątki tysięcy ludzi wypowie się niezależny sąd". Jan Pospieszalski przyznał z kolei, że szkoda mu czasu na proces. Panu nie szkoda?

Nie. Na świecie toczy się pewna wojna. Jest ona oczywista dla wielu osób, choć nie wszyscy są w stanie zidentyfikować jej przyczyny i stawkę. O tym, jak wielu ludzi ma absolutnie dość obecnego podejścia, świadczą ogromne demonstracje w poszczególnych krajach europejskich, które nie są pokazywane przez mainstreamowe media. Już z tego powodu powinna nam się zaświecić czerwona lampka. Także mnie próbuje się odebrać prawo do wolności słowa, gwarantowane przez art. 54 Konstytucji RP.

Mamy do czynienia z rządem, który krytykowałem za wiele rzeczy, ale jestem mu publicznie wdzięczny za to, że nie zdecydował się wprowadzić dotychczas powszechnych obowiązkowych tzw. COVID pass. Tymczasem opozycja chciałaby ograniczać prawa Polaków, którzy nie są zaszczepieni. Bardzo mocno uderzam tu w PO, bo rozwiązanie, by zasanitaryzować cały kraj, jest dla mnie błędne. Nie ma głębokiego uzasadnienia, by takie regulacje wprowadzać.

Być może opozycja robi to wyłącznie z powodów politycznych i taktycznych.

Do tego dochodzi jeszcze coś innego. Jesteśmy już dwa lata w sytuacji pandemii, a stosowane są rozwiązania szkodliwe dla ludzi. Nie leczy się ich i zostawia samych sobie, a z mediów płynie jednostronny przekaz. Z badań wiemy, że są dwie najważniejsze przyczyny, które zwiększają śmiertelność na COVID-19 – to otyłość i strach. Nastawienie emocjonalne jest więc jedną z przyczyn śmierci. Występuję w obronie tych ludzi, a za tę obronę jestem atakowany. Próbuje się ograniczyć moją wolność słowa, więc walczę.

Wiele mówi pan o wolności słowa. Tymczasem redaktor naczelny „Rzeczpospolitej" Bogusław Chrabota stwierdził, że „dopuszczanie siewców teorii antyszczepionkowych na tych samych prawach, co specjalistów, jest zbrodnicze", a także, że „szefowie mediów powinni mieć prawo takiego doboru osób występujących na ich antenach czy łamach, żeby misja krzewienia prawdy oraz pewnej odpowiedzialności za bezpieczeństwo i dobrostan społeczeństwa była realizowana". Co pan sądzi o takim postawieniu sprawy?

Mam sentyment i wdzięczność wobec Bogusława Chraboty, ale uważam, że nie oddaje on tu rzeczywistości, w której sądziłem, że żyję. Myślałem, że to widz lub czytelnik decyduje o tym, który pogląd jest właściwy. Ta wypowiedź sugeruje, że może tak nie być, a także, że decyduje się odgórnie poprzez pryzmat oczekiwanego rezultatu. To by oznaczało, że dziennikarze kształtują odbiór społeczeństwa, więc jeżeli to jest misja prasy, to nie oddaje tego obowiązujące prawo prasowe. Jeżeli poszlibyśmy powyższą linią, to goście musieliby być dobierani z góry, poprzez pryzmat efektów społecznych ich poglądów.

Ale właśnie za to atakowany jest redaktor Rymanowski.

Owszem. Mało tego, KRRiT została poinformowana, że redaktor Rymanowski zaprosił do programu dr Katarzynę Ratkowską, ale uznała, że nie ma do tego żadnych uwag. Rozumiem, że ktoś może mieć inne zdanie, ale to nie koreluje z misją prasy. Myślenie, że będzie się dobierać gości w taki sposób, by ci mówili to, czego chcę i czego wymaga linia, nie doprowadzi do niczego.

Tylko czy nie to właśnie funkcjonuje od dwóch lat?

I na tym polega trudność sytuacji. Widzimy, że teraz nikt, kto ma inny pogląd, nie może mieć szansy, by wypowiedzieć się publicznie. Problem w tym, że przez takie podejście sfrustrowani są ludzie. Jednostronność przekazu w mediach jest zła.

Jak zatem oceniać obecny stan debaty dotyczącej pandemii oraz postawę mediów, które nakręcają czasami niezdrowe emocje, wręcz histerię przeciwko ludziom?

Od dwóch lat jestem poruszony postawą mediów i wydawców. Od 15 lat uczestniczę w debacie publicznej i wypowiadałem się wielokrotnie we wszystkich niemal wątkach, gdzie uznawano, że moje wypowiedzi są wartościowe. Mówię o tym dlatego, że gdy tylko zmieniłem przedmiot mojej analizy, to od 2020 r. nie ma żadnej możliwości rozmowy.

Mogłoby się wydawać, że przynajmniej w niektórych aspektach powinno być odwrotnie.

Tylko jeśli przyjmiemy, że chodzi o krytykę obecnego rządu. Jeżeli przyjmiemy zaś założenie, że dzieje się to na całym świecie, to nasuwa się pytanie, czy stawka nie jest już inna. Wydaje się, że w rzeczywistości chodzi o tzw. paszport covidowy. Tu jest sedno sprawy i to to najbardziej zwróciło uwagę „Newsweeka". Celem jest stan, w którym nie wejdzie pan do jakiegoś miejsca, jeśli pana telefon nie będzie „zielony". Później będzie można już do tego dodać wszystko. Media dołożyły ogromnej staranności, by wystraszyć ludzi. Nacisk, by dopiąć system tzw. COVID pass, jest ogromny. Człowiek będzie swoistym niewolnikiem systemu, gdzie jego prawa będą „subskrybowane". Przez wiele lat walczyłem o wolność sądów i praworządność. Dziś nie one są najmocniej zagrożone, ale prawa i wolności obywateli. COVID-19 potrafi być bardzo okrutną chorobą, ale zbyt często człowiek pozostawiony jest sam sobie.

Czemu to wszystko ma służyć pana zdaniem? Chodzi o zwiększenie kontroli nad obywatelami?

To trudne pytanie. Mało co wskazuje, że nadrzędnym celem rządów jest dobro ludzi. Jeśli popatrzymy np. na amantadynę, to wielu pacjentów mówi, że im pomogła, a równocześnie minister zdrowia ogranicza do niej dostęp. Z drugiej strony mamy naukowców, którzy twierdzą, że sposób walki z koronawirusem i proces szczepień są przeprowadzane błędnie. Redaktorowi Rymanowskiemu zarzuca się, że źle selekcjonuje gości, ale jest tu także problem logiczny. Krytykanci uważają, że do szczepień może zachęcać np. aktor Cezary Pazura, ale jeśli weźmiemy do studia prof. Kunę, to nagle jest problem. Człowiek racjonalnie myślący ma w tym świecie pod górę.

Dlaczego tzw. COVID pass ma być przepustką do wolności, skoro człowiek i tak musi robić testy oraz być na kwarantannie? Chodzi o kompletne uzależnienie i sprowadzenie ludzi do roli kontrolowanej populacji. Do tego dochodzi opcja wyłączania praw obywatelskich („COVID pass") w przypadku różnych wariantów. Problem polega na tym, że ludzi okłamano globalnie. Mówiono im, że po zaszczepieniu będą mieli „przywileje". Z jakiego powodu miałyby one jednak mieć miejsce? Okazuje się, że zaszczepieni i tak muszą robić testy, chorują, mogą umrzeć i roznoszą wirusy. Rząd panicznie szuka kozła ofiarnego, by zaszczepieni poczuli się lepiej. Dochodzi do przekierowania nienawiści z rządu na niezaszczepionych. To niedopuszczalne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Zofia Noceti-Klepacka przygotowuje się już do startu w Paryżu

FOT. ARCHIWUM ZOFII NOCETI-KLEPACKIEJ

Wszystko, co najważniejsze

Z Zofią Noceti-Klepacką, mistrzynią świata i Europy, medalistką olimpijską w windsurfingowej klasie RS:X

rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Co jest dla pani źródłem siły w ciężkich momentach nie tylko w sporcie, lecz także w życiu osobistym?

ZOFIA NOCETI-KLEPACKA: Trudne pytanie, ale odpowiedź jest prosta. Rodzina i wiara. To fundament mojego życia obok sportu, który uprawiam, który jest moją wielką pasją. To takie strefy, w których zawsze znajduję spokój i oparcie w ciężkich chwilach.

Igrzyska w Tokio były taką ciężką chwilą? Kiedy rozmawialiśmy rok przed olimpiadą, wiązała pani z tym startem wielkie nadzieje. Na akwenie w Tokio wszystko zaczęło się wspaniale, ale zakończyła pani rywalizację na dziewiątym miejscu. Dla tak utytułowanej sportsmenki musiało to być rozczarowujące...

Na pewno. Pierwsze wyścigi w Tokio były super. W kolejnym wjechała na mnie Francuzka, choć to ja miałam „prawo drogi". Na wodzie to taki sam przywilej jak w normalnym ruchu drogowym. Sprawa była ewidentna, powinnam otrzymać rekompensatę. Odwoływaliśmy się. Niestety, w komisji sędziowskiej nie mieliśmy swojego przedstawiciela. Protest został odrzucony. W sporcie już tak jest, że z sędziami się nie wygra. Do tego miałam problem z deską, w trakcie zawodów pękł w niej statecznik. Suma nieszczęść. Nie mogłam w tych warunkach skutecznie się ścigać. To w ogóle był dla mnie trudny rok. Nie mogłam tak, jak chciałam, przygotować się do igrzysk. Przerwałam przygotowania z powodu ciężkiej choroby mojego ojca. Tata zmarł miesiąc przed olimpiadą. Ciężko przeszłam COVID-19. To wszystko dużo mnie kosztowało.

Po tych trudnych doświadczeniach znajduje pani wciąż motywację do dalszej rywalizacji i wszystkich wyrzeczeń, które wiążą się z uprawianiem tego sportu?

Nie mam z tym problemu. Kocham to, co robię. Poza tym nastawiam się na nowe wyzwania. Klasa RS:X, w której do tej pory startowałam, traci status klasy olimpijskiej. Zastąpi ją nowa klasa iQFoil. Będzie więcej latania, bo dzięki nowym hydroskorzydłom łatwiej jest unosić się nad wodą i wykorzystywać słabsze wiatry. Nie jest to dla mnie jakaś absolutna nowość. Startowałam już w tej formule. Duża frajda.

To w tej klasie wystartuje pani na igrzyskach w Paryżu za niecałe trzy lata?

Tak. To będą moje piąte igrzyska. Olimpiada w Paryżu jest teraz moim sportowym priorytetem.

eprasa.pl ed1acd778b

Nie ukrywa pani swoich poglądów, wypowiadając się wprost w obronie życia dzieci nienarodzonych, rodziny. Dla niektórych przyznawanie się do takich przekonań jest nie do zaakceptowania. Władysław Kozakiewicz, legendarny tyczkarz, podczas igrzysk w Tokio zadeklarował, że nie kibicuje Zofii Noceti-Klepackiej ze względu na poglądy, które ona głosi. Pod pani adresem kieruje się sporo hejtu. Jak sobie pani z tym radzi?

Nie zwracam na to uwagi. W czasie zawodów wyłączam się z tego, co się dzieje wokół, koncentruję się na startach. Na pewno nie zmienię swoich przekonań z powodu inwektyw czy krytyki.

Co do presji, to poczułam dwa lata temu po moich krytycznych wypowiedziach na temat pakietu promującego ideologię LGBT, który wprowadził w Warszawie prezydent Trzaskowski. Zdecydowanie sprzeciwiłam się wtedy wprowadzaniu edukacji seksualnej do szkół. Spotkało się to z falą hejtu. Ci, którym nie spodobały się te wypowiedzi, pisali donosy do moich sponsorów, chcąc ich zmusić do zerwania współpracy. Wtedy rzeczywiście stanęłam wobec sytuacji, w której musiałam zastanowić się, co dalej, kiedy nie będę mogła uprawiać mojego ukochanego sportu.

Moje poglądy są moją prywatną sprawą. Nikomu ich nie narzucam. Ludzie, którzy są w moim sporcie, znają je i respektują to

Tak czy owak poradziłabym sobie, ale na szczęście żaden z moich sponsorów nie wycofał się ze współpracy.

Nie przeszkadza pani, że współczesny sport jest zawładnięty przez lewicowo-liberalną ideologię? Od sportowców coraz częściej nie tylko oczekuje się opowiedzenia się po stronie politycznej poprawności, lecz także się tego wręcz wymaga. Czy ta inwazja nie zabija ducha sportu?

Myślę, że duch sportu poradzi sobie z tą inwazją. Ostatecznie wszystko weryfikuje rywalizacja na stadionie, w hali czy na akwenie. Polityka zawsze była obecna w sporcie. Politycy zawsze posługiwali się sportem do realizacji swoich celów. Kiedy czytam na przykład o igrzyskach w Berlinie w 1936 r., oglądam zdjęcia z tamtej olimpiady, to wszystko wręcz kipi od ideologii. Patrząc na te obrazy, czuje się już całą grozę zbliżającego się koszmaru, który przyniosła druga wojna światowa.

Czy ze względu na swoje poglądy spotyka się pani z jakąś formą ostracyzmu czy bojkotu wśród innych sportowców, z którymi rywalizuje pani na co dzień?

Absolutnie nie. Moje poglądy są moją prywatną sprawą. Nikomu ich nie narzucam. Ludzie, którzy są w moim sporcie, znają je i respektują to. Nie mam na tym tle żadnych problemów.

Co znaczy dla pani reprezentowanie Polski?

Jestem bardzo dumna z tego, że pływam z biało-czerwoną flagą na maszcie, że reprezentuję Polskę. Cieszę się, że mogę być ambasadorem mojego kraju na zawodach, w których startuję. Nie ma lepszego sposobu promocji Polski na świecie niż sport. Dobrze, że ta świadomość dociera do rządzących. To ważne, że państwo angażuje się w finansowanie sportu, że spółki Skarbu Państwa przeznaczają część swoich budżetów na profesjonalne działania wspierające sportowców. To naprawdę trafiona inwestycja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl ed1acd778b

Z dziejów Teatru Wielkiego

Teatr Wielki w Warszawie, ok. 1870 r. FOT. IWO KSIĄŻEK/MNW

Jerzy Miziołek

W listopadzie i grudniu wypadają ważne rocznice w dziejach Teatru Narodowego, który w wyniku represji po powstaniu listopadowym nazwano Teatrem Wielkim i tak zostało do dziś. Ten wspaniały gmach z jego fasadą cudem uratowaną od zagłady w 1944 r. był przez lata zaborów ostoją polskości. Dziś przypomnimy o dniu rozpoczęcia budowy i dekoracji jego monumentalnej fasady

W „Kurierze Warszawskim" z 20 listopada 1825 r. w rubryce „Nowości Warszawskie" czytamy: „Wczoraj (19 listopada) o godzinie 2 z południa odbył się obrzęd złożenia węgielnego kamienia do budowy Teatru Narodowego na placu Marywilskim. Przybył J.O. Xże Namiestnik Królewski, znajdowali się oraz J.O. Xże Drucki Lubecki, Minister Skarbu, JW. Hrabia Sobolewski, Minister Sprawiedliwości, Radcy Stanu Sumiński, Koźmian, Woyda Prezydent M.S. Warszawy, Lubowidzki Vice-Prezydent tudzież wiele urzędników i artyści dramatyczni. Namiestnik królewski Józef książę Zajączek, wobec ministrów, prezesa dyrekcji teatrów i członków tejże, dnia 19 listopada 1825 r. złożył kamień węgielny na budowę Teatru Narodowego w stolicy, kosztem tejże wznoszonego, podług planów Antoniego Corazzi". Do metalowej skrzyneczki wmurowanej w ścianę gmachu włożono m.in. monety i medale bite w Mennicy Warszawy oraz po egzemplarzu w tym dniu opublikowanych gazet „Monitor" i „Kurier Warszawski" oraz drukowany egzemplarz „Historii Teatru Polskiego" wyjętej z dzieł Wojciecha Bogusławskiego. „J.P. Koracy [Corazzi], budowniczy – cytujemy dalej tekst z »Kuriera Warszawskiego« – podał J.O. Xciu Namiestnikowi kielnię srebrną i cegłę, i trzykrotnie uderzywszy w nią młotkiem, oddał J.O. Xciu Ministrowi Skarbu, który położył przy kamiennej skrzyni pierwszą cegłę, następnie wykonali takową pracę Minister Sprawiedliwości, Radcy Stanu, Prezes i Członkowie Dyrekcji, a w imieniu wszystkich artystów Teatru Narodowego położył cegłę L.A. Dmuszewski. Oby szczęśliwie ukończoną została ta budowa, poświęcona kunsztom dla ozdoby stolicy i przyjemnej zabawy jej szanownych mieszkańców".

W Warszawie w latach 1815–1825 obok artystów Teatru Narodowego pojawiła się spora grupa artystów plastyków – rzeźbiarzy i malarzy, profesorów i uczniów Oddziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warszawskiego, utworzonego w latach 1808–1818. To właśnie ci artyści dali wyraz swemu oburzeniu, gdy próbowano ich zupełnie pominąć przy wyborze tych, którzy rzeźbami i malowidłami mieli ozdobić ogromny gmach. Jaki był efekt tego protestu? Warto o nim pamiętać, tym bardziej że ukazuje oblicze rodzącej się świadomości narodowej tej grupy społecznej, która niebawem, zwłaszcza w drugiej połowie XIX w. będzie przypominała światu obrazami i rysunkami Grottgera, Matejki, Rodakowskiego, Maksymiliana Gierymskiego i wielu innych, że w sercu Europy istnieje naród mający własną kulturę, język i wielkie tradycje, naród czekający na odrodzenie, na ponowne pojawienie się Polski na mapie świata.

BATALIA O „ZARÓD PRAWDZIWIE NARODOWEJ SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH"

1 grudnia 1825 r., a więc tuż po położeniu kamienia węgielnego, powstał niezwykły dokument. Jest nim list skierowany do Komisji Rządowej, niemal obecnie zapomniany, pomimo że w okresie międzywojennym został w całości opublikowany przez pierwszego monografistę twórczości Antoniego Brodowskiego. Grupa artystów – profesorów Oddziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warszawskiego – dopomina się w nim zamówień przy dekoracji fasady i wystroju wnętrza teatru. „Świeżo co założony Teatr Narodowy – czytamy w tym liście – otwiera pole dla wielu artystów, dla okazania zdatności swojej i chęci przysłużenia się krajowi dziełem znamienitym. Malowanie plafonów, kurtyn i innych ozdób; wiele ozdób rzeźbiarskich i posągów są godnym przedmiotem emulacji dla artystów krajowych. […] Jakże wiele nastręcza się tedy przedmiotów do współubiegania się artystów? Lecz jakże straconym będzie dla kraju pochop, który by ta sposobność emulowania sztukom pięknym dać nie mogła, jeżeli wszystkie te dzieła przez cudzoziemców umyślnie na to z zagranicy sprowadzonych wykonane zostaną? A jednak podług dochodzących nas wiadomości budowniczy rządowy Corazzi, udaje się do Włoch, ażeby przez [bardzo] korzystny [dla siebie] układ krewnych [lub przyjaciół] swoich do malowań i rzeźby teatralnej sprowadził. Jeżeli rząd powątpiewa o zdolności krajowych artystów, niechajże bądź to na każdy szczególny przedmiot dekoracji malarskiej lub rzeźbiarskiej, bądź też na obrazy i posągi pojedyncze konkurs ogłoszony zostanie, do którego i cudzoziemcy przypuszczeni być mogą, byleby była pewność, że rodak, który lepiej lub równie dobrze przedmiot konkursu jak cudzoziemiec wykona, pierwszeństwo przed nim otrzyma. […] Tym sposobem ukształciłby się może z czasem zaród prawdziwie narodowej szkoły w sztukach pięknych, którą tylko krajowej duchem narodowości przejęci ukształcić mogą".

Odpowiedzi udzielił 29 marca 1826 r. namiestnik, książę Zajączek, odpowiedzialny za wzniesienie Teatru Wielkiego, który zmarł cztery miesiące później. Przychylił się do wniosku artystów „pracujących w Oddziale Sztuk Pięknych tutejszego

eprasa.pl ed1acd778b

Uniwersytetu Królewskiego do współubiegania się w wykonaniu publicznych dzieł przedmiotem tych sztuk będących". Batalia o kontrakty dla artystów profesorów uniwersyteckich i ich uczniów, jak też rzemieślników warszawskich została zatem wygrana, choć tylko połowicznie. Znaczną część zamówień otrzymali właśnie oni, ale w grze pozostali także artyści włoscy.

W DUCHU ANTYKU APOLLIŃSKIEGO I DIONIZYJSKIEGO

W latach 1829–1830 złożono zamówienia u licznych artystów i rzemieślników. 22 grudnia 1829 r. zawarto umowę ze snycerzem Ludwikiem Wąsowiczem, która zobowiązywała go do wykonania gryfów do lóż parterowych, sfinksów do lóż pierwszego, drugiego i trzeciego piętra oraz orła (a więc pamiętano o symbolu Rzeczypospolitej) wraz z rozetami nad lożą główną. Umowa z tego samego dnia ze sztukatorami Czajkowskim i Ferrantem Marconim dotyczyła ozdobienia rzeźbą sześciu kapiteli do filarów między oknami, wykonania 164 i pół łokci bieżących architrawu korynckiego, 200 łokci architrawu nad perystylem i schodami oraz kompletnych modeli kapitela korynckiego. Według dodatkowej umowy z 19 lutego 1830 r. Marconi miał wykonać „80 łokci bieżącego fryzu, ułożonego z festonów i masek rozmaitych pod frontonem, 65 łokci bieżącego fryzu korynckiego ozdobionego arabeskami i 4 płaskorzeźby architektoniczne nad kolumnami jońskimi". Umowa z 20 lutego 1830 r. podobne prace zlecała sztukatorowi Mikołajowi Ninecettiemu. Według umowy ze sprowadzonym z Italii Pawłem Kaufmanem, zawartej 1 lutego 1830 r., miał on wyrzeźbić „2 posągi na akrotery obok frontonu oraz 4 figury do lóż w proscenium, każda według osobnego wzoru". Posągi na akroteriony najprawdopodobniej nie zostały nigdy zrealizowane.

Zamówienie z 18 marca 1830 r. dotyczyło Pawła Malińskiego, profesora rzeźby w Oddziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warszawskiego, i Konstantego Hegla, jednego z rzeźbiarzy wykształconych w tym Oddziale. Pierwszy z nich miał wykonać „płaskorzeźbę na pasie dolnym perystylu w miejscu gzymsu doryckiego nad trzema arkadami od frontu, wyobrażającą powrót Edypa z igrzysk olimpijskich według Sofoklesa". Relief ten ukazywać miał 60 figur. Artysta ten miał też wykonać grupę Apollina na wozie „przez cztery konie ciągnionym"; dzieło miało zostać odlane „w żelazie" i ustawione na piedestale w połowie wysokości gmachu. Umowa z Heglem dotyczyła „4 geniuszów nad bramami wjazdowymi wielkości kolosalnej według dwóch osobnych modelów: dwóch tancerek-bachantek obok perystylu; dwóch oddzielnych modelów sfinksów do odlania w żelazie oraz trzech masek na kluczach kamiennych w arkadach frontowych pod perystylem i dwóch orłów kamiennych także na kluczach arkad bocznych do wjazdu". Wspomniane sfinksy miały być ustawione przed teatrem; być może był to rodzaj nawiązania do historii Edypa lub po prostu dekoracja.

Kolejne umowy podpisano 17 marca i 24 maja; pierwszą zawarto z Jakubem Tatarkiewiczem, drugą z Tomaso Accardim (Acciardim). Włoski rzeźbiarz, który dzięki Corazziemu wygrał konkurs z K. Heglem i Ludwikiem Kaufmanem, zobowiązał się do wykonania „płaskorzeźby na fronton, wystawiającej biust Anakreonta na podstawie ozdobionej festonami, wokoło zgromadzeni pasterze grają i śpiewają wspólnie, a trzy nimfy tańcząc, zawieszają około biustu laury z liści dębowych i oliwnych. Scena ta składać się powinna z 9 figur całkowitych en relief oraz biustu Anakreonta, resztę wypełniają instrumenty i inne stosowne ozdoby". Tatarkiewicz, kolejny obok Hegla absolwent Oddziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warszawskiego, został zamówiony do odkucia: „dwóch posągów według wzorów starożytnych wyobrażających komedię i tragedię, mających stać w niszach dolnych". Ten uczeń Pawła Malińskiego i Antoniego Brodowskiego w latach 1823–1828 studiował w Rzymie u Bertela Thorvaldsena. Zamówienie z Teatru Wielkiego było wielkim wyróżnieniem dla młodego artysty, ale niestety nie zostało zrealizowane, podobnie jak kwadryga Apollina Malińskiego. Apollo znalazł – w 2002 r. – po 177 latach swoje miejsce na platformie ponad perystylem, nisze przeznaczone dla personifikacji tragedii i komedii pozostają do dziś puste. Wszakże tragedia i komedia trafiły do Teatru Wielkiego na jedną z kurtyn, która nie przetrwała, niestety, do naszych czasów. Być może zatem przyszedł czas na odkucie obydwu posągów i ustawienie na przygotowanym od przeszło 180 lat miejscu, tak jak się to stało z kwadrygą Apolla.

Jak już odnotowaliśmy, umowa z Konstantym Heglem dotyczyła geniuszów nad bramami wjazdowymi wielkości kolosalnej, dwóch tancerek-bachantek i trzech masek na kluczach kamiennych w arkadach frontowych pod perystylem. Zamówienie zostało zrealizowane, ale niemal wszystkie wymienione motywy musiały być po drugiej wojnie światowej odkute na nowo. Na szczęście uszkodzone dzieła, wzorowane na malowidłach odkrytych ok. 1750 r. w domu Cycerona w Pompejach, zostały bardzo wiernie powtórzone. Ukazane na bocznych ścianach perystylu tańczące bachantki należały do obowiązkowych postaci orszaku Dionizosa. Obydwie ubrane są w zwiewne szaty i przedstawione w tanecznym szale, z rękoma uniesionymi do góry – jedna trzyma małe czynele, druga gra na tamburynie.

SOFOKLES I EDYP

Po drugiej wojnie światowej na nowo odkuto również relief Acciardiego, ale pod popiersiem, przy którym tańczą nimfy i grają pasterze, pojawiło się nie imię Anakreonta, a Sofoklesa napisane po grecku: ΣΟΦΟΚΛΗΣ. Tę detronizację – nieco zadziwiającą, bo zlekceważono tradycję – tłumaczy fakt, że na długim fryzie ponad wejściem widzimy sceny inspirowane sztukami Sofoklesa opowiadające o tragicznych losach Edypa. Ten wykonany przez Malińskiego długi i tłumny relief, ukazujący „powrót Edypa i ludu z igrzysk", był kilka razy przenoszony podczas kolejnych transformacji Teatru Wielkiego i głównego wejścia do niego. Po drugiej wojnie światowej odkuto go na nowo, a oryginał, mocno nadgryziony zębem czasu, przechowywany jest w Muzeum Warszawy. Czy wróci do Teatru Wielkiego do czegoś w rodzaju lapidarium?

Na pojawienie się w tympanonie Teatru Wielkiego autora „Antygony" pozwala patrzeć łagodnym okiem również wypowiedź wielkiego aktora Teatru Narodowego, wspaniałego mistrza słowa – Gustawa Holoubka. Oto jego myśli: „Powrót do Edypa może objawić ciągłość formuły teatru wymyślonego, jak wiadomo, przez Greków, wymyślonego genialnie, bo przez dwa i pół tysiąca lat nie nastąpiło żadne odstępstwo od zasad budowania dramatu. Schemat dramatu przetrwał do dziś. Dlatego wydaje mi się, że ten tekst Sofoklesa jest wyjątkowo aktualny pośród tego, co się z nami dzieje: chaosu, poszukiwania jakiegoś śladu sensu, możliwości porozumienia się ludzi. Tego typu dzieło daje krótką odpowiedź i wraca do źródeł. Rzecz jest o tym, co było podstawą filozofii Grecji antycznej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Joanna Siedlecka

I nikt, tylko ty

O Jance, Oldze, Mirze, Hemarysi, Kai i Władzie – kobietach Hemara

Jedną z ulubionych audycji Radia Wolna Europa, słuchanych przez Polaków mimo warkotu zagłuszarek, był cotygodniowy kabaret Mariana Hemara, barda emigracji, znakomitego satyryka, psującego szyki komunistom bronią najgroźniejszą – humorem, zjadliwą i ciętą satyrą. Nie było dla niej nic świętego, szarpała wszystko i wszystkich, od Bieruta i „Rokossowszczaka" do Gomułki i Gierka. „Psiarnię krajowych literatów – brytana Iwaszkiewicza i kundla Putramenta".

eprasa.pl ed1acd778b

Próba generalna w teatrze Banda w Warszawie. Narada muzyczna. Od lewej: pianista Karol Gimpel, muzyk Mieczysław Hoherman, kierownik muzyczny Marian Hemar, kompozytor Władysław Dan-Daniłowski, lata 1932–1933 FOT. NAC

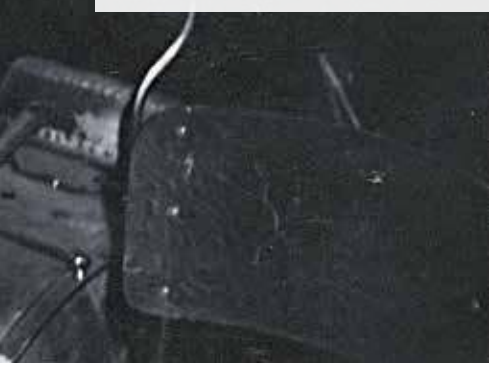

Władze PRL ukarały go za to zapisem cenzury i odebraniem polskiego obywatelstwa, w dobrym towarzystwie, jak podkreślał, generałów Andersa i Maczka.

Był też Hemar znakomitym poetą, tekściarzem, „szlagmacherem", autorem ponad 3 tys. piosenek, z których wiele zostało do dziś ponadczasowymi, chwytającymi za gardło przebojami, literackimi miniaturkami najwyższej próby. Są wśród nich piosenki polityczne, lwowskie, kpiarskie, przede wszystkim jednak miłosne, bo – jak sam przyznawał – był bardzo kochliwy, zakochany od zawsze, często bardzo dramatycznie.

JANKA – „LWOWSKI DRESZCZ WZRUSZENIA"

Hemar to pseudonim. Urodził się w 1901 r. we Lwowie, w żydowskiej, zasymilowanej rodzinie Heschelesów, która dała polskiej kulturze dwóch wybitnych twórców – matka Mariana, Berta Hescheles z domu Lem, była rodzoną siostrą Samuela, ojca Stanisława, brata ciotecznego Hemara. Lwowianką była jego pierwsza, szkolna jeszcze miłość – Janina Romanówna, znana później aktorka.

Już jako gimnazjalista grał na fortepianie, interesował się literaturą i właśnie razem z Janką, córką lwowskiego aktora Władysława Romana, chodził we Lwowie na prywatne kursy aktorskie Wandy Siemaszkowej. „Wyrastała na śliczną, złotowłosą i różową panienkę, geniusz aktorski płynął w jej żyłach" – wspominał ją po latach. To dla Janki napisał kilka swoich pierwszych wielkich szlagierów: „Nikt, tylko ty", „To ta pierwsza miłość, która kończy się albo bardzo dobrze, albo bardzo źle". W ich wypadku bardzo dobrze, bo spotykali się później w przedwojennej Warszawie, do której się przeniosła podobnie jak on. Po wojnie, w 1957 r., po odwilży, zobaczyli się w Londynie, gdzie przyjechała z Teatrem Polskim. „Gdy podniosła się kurtyna i zobaczyłem ją na scenie, złapał mnie za gardło lwowski dreszcz wzruszenia" – przyznawał po jej londyńskich występach.

Emigracja traktowała go już niemal jak czwartego wieszcza, dla Janki natomiast nadal był Maniusiem. Choć największym dowodem jego sympatii były wręczane jej w PRL „kopertówy". Jak pisała w swojej biografii Hemara „Ja, kabareciarz" Anna Mieszkowska, mimo zapisu cenzury Polskie Radio nadawało często jego piosenki, nie wymieniając nazwiska autora, ale tantiemy wędrowały na jego konto, o co dbał odważny, przedwojenny przyjaciel Hemara – Walery Jastrzębiec-Kozłowski, ówczesny prezes ZAiKS. A nie były to sumy małe, gdy np. Mira Zimińska nagrywała z jego piosenkami wysokonakładowe płyty. Upoważnił więc mieszkającego w kraju siostrzeńca, który odbierał tantiemy w złotówkach, wręczając je bliskim Hemara albo tym, których rodziny oddawały mu je w Londynie w funtach.

OLGA – STRZAŁ PROSTO W SERCE

Kolejną, wielką, tym razem dramatyczną miłością Hemara była również lwowianka, pani doktorowa Olga z Aszkenazych Ziemilska, kilka lat od niego starsza, mężatka, żona wojskowego lekarza, matka małego Andrzejka, znanego później dziennikarza. Przepiękna, czarnooka, muzykalna, grała na pianinie, znała języki. Już przed wojną debiutowała jako tłumaczka, po wojnie pracowała w PIW. Szaleńczo się w niej zakochał, zadedykował jej wiersz „Gałązka jabłoni" oraz jeden ze swoich największych szlagierów „Oczy czarne": „Oczy czarne, oczy Twe / wciąż nade mną dawną mają moc / Każdej nocy widzę je / Lśnią nade mną w każdą ciemną noc / daleki sen kołuje niby ćma / wieki trudna noc bezsenna trwa / Żal znów mi duszę mroczy /dal cała ma twe oczy, noc cała oczy Twoje ma".

Nie chciała jednak opuszczać rodziny i razem z nim przenieść się do Warszawy. Zrozpaczony strzelił sobie prosto w serce, na szczęście kula przeszła obok. Odratowano go po ciężkiej operacji. Dzień wcześniej wysłał pożegnalny telegram do Warszawy, do zaprzyjaźnionej z nim Miry Zimińskiej. Bulwarówki uznały ją więc winną jego samobójczej próby. „Pojechałam wtedy do niego do Lwowa, do szpitala, gdzie leżał i gdzie odwiedzała go ta pani" – wspominała Zimińska w swojej książce „Nie żyłam samotnie".

Rany po operacji z czasem się zabliźniły, skutki odczuwał jednak do końca życia. Chorował na serce, przeszedł cztery zawały, miał kategorię „C" i był zwolniony z wojska, a co najważniejsze i co było tajemnicą poliszynela – zaczęły się jego kłopoty z potencją. Dlatego właśnie zdradzała go i opuściła dla innego jego pierwsza żona Maria Modzelewska.

MIRA – „DOBRE I TO, CO BYŁO"

O względy Hemara i teksty jego piosenek walczyło wiele śpiewających aktorek, oprócz Zimińskiej także Modzelewska, która była mężatką, wygrywała więc początkowo Zimińska. Skończyło się jednak na krótkim romansie, bo – jak przyznawał – Mira była zbyt wielką indywidualnością: bystra, złośliwa, inteligentna, otoczona rojem mężczyzn. Napisał dla niej wiele piosenek parodiujących kobiety, m.in. „Taka mała" i „Nie ma mowy". Gdy znalazł się na emigracji, a Zimińska została w kraju, ich „dozgonna przyjaźń" trwała. Korespondowali, zachowały się jej listy do Marianka, m.in. z wizyty we Lwowie, odwiedzin w jego domu i szpitalu, „gdzie leżał raniony w serduszko". Jako szefowa Mazowsza wiele podróżowała. W 1957 r., po Październiku, spotkali się więc w Londynie. Wtedy właśnie udało jej się też nagrać w Polsce płytę z jego piosenkami – była dobrze widziana, wszystko potrafiła sobie załatwić. Na wysłanej mu płycie przy tytułach jego piosenek dopisywała: „»Nikt. Tylko Ty«

eprasa.pl ed1acd778b

Janina Romanówna jako Eliza Doolittle, 1937 r. FOT. NAC

Mira Zimińska, aktorka, piosenkarka, 1935 r. FOT. NAC

– Marianku", „»Bezsenna noc« – była", „»Dobre i to« – co było", „»Nie ma mowy« – żeby można było żyć".

HEMARYSIA – „ZANIM ZDRADZISZ MNIE"

Maria Modzelewska lekceważyła początkowo Hemara, widziała jednak, jak bardzo lansuje Zimińską. Pazerna na karierę odbiła go więc przyjaciółce, cynicznie i na zimno. Choć nie była klasyczną pięknością, to miała urok, wdzięk, temperament i bardzo się mężczyznom podobała, czego dowodem aż pięciu mężów. Pierwszym był zamożny przemysłowiec Aleksander Lipiński. Drugim – malarz Stefan Norblin, trzecim właśnie Hemar, a po nim, już w Ameryce, gdzie zamieszkała – czwarty i piąty.

Hemar szaleńczo się w niej zakochał, lansował tak, że koleżanki zieleniały z zazdrości i nazywały ją złośliwie Hemarysią. Pisał dla niej i „pod nią" wiele szlagierów, m.in. „Wspomnij mnie", „Pensylwanię", „Niech Ci nie będzie żal" i proroczo „Zanim zdradzisz mnie". Obsadzał ją w głównych rolach w specjalnie dla niej założonym teatrze Nowa Komedia. Rozwiódł ją z Norblinem, który, jak narzekała, siedział wiecznie w swojej pracowni w poplamionym farbami fartuchu. I co najważniejsze – żeby ją w 1936 r. poślubić, przyjął chrzest, przeszedł na katolicyzm.

To były chyba jego najlepsze lata. Piosenki Hemara śpiewały nie tylko literackie kabarety, lecz także cała Polska. Znakomicie zarabiał. Brał za swoje teksty ceny horrendalne. Od Hanki Ordonówny np. 500 zł. Mieli wszystko – popularność, pieniądze, willę z ogrodem na Mokotowie, służbę, pieska, najnowsze auta. Bawili się w Adrii i na fajfach u Wieniawy, podróżowali. We wrześniu 1939 r. świat mu się zawalił. I to nie tylko ze względu na pochodzenie. Poszukiwało go gestapo za rewię „Orzeł czy Rzeszka", w której Ludwik Sempoliński parodiował Hitlera, na melodię „Titiny" śpiewając: „Ten wąsik, ach ten wąsik". Ratował się ucieczką do Rumunii, ale już sam. Hemarysia, która zdradzała go już wcześniej ze Stanisławem Karszo-Siedleckim, nazywanym „bubkiem z MSZ-u", adiutantem ministra Becka, razem z nim i rządową świtą opuściła Polskę wcześniej. Zostawiła zdruzgotanego, upokorzonego Hemara ze swoją starą matką, z którą razem mieszkali. Bardzo to przeżywał. „Straciłem wszystko, dom, żonę, majątek, przyjaciół, matkę, rodzinę, pracę" – pisał w swoim wojennym dzienniku.

Zemścił się na niej, nie godząc się przez wiele lat na rozwód, choć błagała go o to w listach z Ameryki. Uniemożliwiał jej tym samym nie tylko kolejne małżeństwo, lecz także status prawny, wyjazdy zagraniczne. „Błagam Cię, wyślij papiery jak najszybciej. Chętnie pokryję koszty, ale nie zostawiaj mnie w beznadziejnej sytuacji" – pisała do niego. Nadal jednak nie odpowiadał, choć sam też wiele ryzykował – w 1946 r. ożenił się ponownie i był bigamistą, licząc, że w powojennym zamieszaniu jakoś mu się upiecze, i faktycznie się upiekło. Skapitulował dopiero w 1956 r., gdy przyjechał do Ameryki na występy i Modzelewska ścigała go razem ze swoim adwokatem. Mógł zostać aresztowany – w Ameryce karano bigamię o wiele surowiej. Dopiero wtedy wyszła po raz czwarty za mąż, ale już nie za adiutanta Becka, który dawno ją opuścił. Za wywiezioną z Polski walizkę biżuterii kupiła kurzą fermę, musiała przecież z czegoś żyć. Dopiero po 55 latach w Ameryce, w wieku 90 lat, gdy została chora i sama, wróciła do Polski, gdzie nadal miała rodzinę. Zmarła w domu aktora w Skolimowie.

KAJA – „LATARNIA HEMARA"

Po wojnie do Polski sowieckiej Hemar wracać nie chciał. Wybrał los wychodźcy, uznając, że w Anglii, wolnym kraju, „bez kagańca na gębie" zrobi dla kraju więcej. Długo był jednak w depresji – współpracę z Radiem Wolna Europa rozpoczął dopiero w 1953 r. Wcześniej zarobkował jedynie na małych scenach polonijnych, w Ognisku Polskim i Klubie Orła Białego. I wtedy właśnie, gdy nie miał już nadziei na nową miłość, poznał kobietę swego życia – Carol Annę Eric, nazywaną Kają, Amerykankę duńskiego pochodzenia, w której z wzajemnością się zakochał. Ożenił się z nią, a ich udane, trwałe małżeństwo było dla wszystkich tajemnicą i zagadką, bo Hemar był już wtedy 46-letni, siwy, niski, przysadzisty, a 35-letnia Kaja nie tyle piękna, ile zjawiskowa. Zgrabna, blondwłosa, z nogami do samej ziemi. Jej posągowa sylwetka w długiej sukni, z pochodnią w ręku, zdobiła

eprasa.pl ed1acd778b

Maria Modzelewska, 1937 r. FOT. NAC

czołówkę wszystkich filmów wytwórni Columbia Pictures.

Ze względu na swój wiek zakończyła już karierę tancerki, nie odnosząc większego sukcesu z powodu swego wzrostu – miała przeszło 180 cm i przewyższała wszystkich swoich zawodowych partnerów. Odstraszała też kandydatów do małżeństwa, z wyjątkiem Hemara, któremu to nie przeszkadzało. Nazywano ją jego latarnią. Okazała się żoną idealną. Zapewniła mu to, czego bardzo już wtedy potrzebował – spokojny, świetnie zorganizowany dom, który przepięknie urządziła – miała gust i smak. Nie rozumiała zupełnie polskich, a tym bardziej lwowskich spraw, nie znała słowa po polsku, a Hemar jej nie uczył. „Po co? – pytał. – Chcę mieć w domu spokój". Gdy napisał nową piosenkę, nie interesowało ją, o czym była. Pytała tylko, ile za nią dostanie. Cenił jej urodę i niezły głos. Nie napisał jednak dla niej żadnej piosenki, trzymał ją w domu, z daleka od artystycznego światka.

Dzięki swojej pracy miała spore oszczędności i podobnie jak Hemar smykałkę do interesów. Świetnie już wtedy zarabiał – w Wolnej Europie i na zagranicznych koncertach – kupił więc z Kają kamienicę do remontu, którą potem wynajmowali, a wkrótce posiadłość, właściwie rezydencję, w lesie pod Londynem, w Dorking, urządzoną z przepychem. Organizowali wystawne przyjęcia dla śmietanki londyńskiej emigracji – Andersów, Wierzyńskich, Terleckich. I to Hemar gotował dla gości, odkrył bowiem swą nową pasję – kuchnię lwowską. Jego daniem popisowym był chłodnik. Należał do nielicznych wychodźców, którym świetnie się powodziło i których ominął los barmana czy portiera. Zawdzięczał to wyłącznie swojej tytanicznej pracy, bo szef Wolnej Europy, Jan Nowak-Jeziorański tłumacząc się trudnym charakterem Hemara, nie dał mu nigdy etatu.

WŁADA – „CHLIB KULIKOWSKI"

Władę Majewską, aktorkę popularnego, przedwojennego programu „Wesoła Lwowska Fala", w którym występowała ze Szczepkiem i z Tońkiem, znał Hemar jeszcze ze Lwowa. Po wojnie spotkali się w Londynie, już jako wychodźcy. „Byłam wtedy na dnie – wspominała. – Opuścił mnie dla innej mój mąż i Hemar pomógł mi się pozbierać. Zrobił ze mnie gwiazdę swego kabaretu, napisał dla mnie przeszło 60 piosenek, głównie o naszym ukochanym Lwowie, m.in. »Rozmowę z księżycem«, »Sen o Lwowie«, ale największym sukcesem był wykonywany wśród płaczu widowni »Chlib kulikowski« – o smaku i zapachu lwowskiego chleba z kminkiem. Denerwowałam się, gdy podejrzewano mnie o romans z Hemarem. Musiało coś między wami być, mówiono, skoro tyle dla ciebie napisał, jeździliście razem na występy. Ale łączyła nas tylko przyjaźń, zawodowa i prywatna. W Anglii do końca lat 60. samotna i tak jak ja rozwiedziona kobieta nie mogła wziąć kredytu i to podobno skąpy Marian zaryzykował, wziął go dla mnie i mogłam kupić dom".

A jego podlondyńska, królewska rezydencja skróciła mu życie – za ciężko dla niej pracował i sam, żeby trochę oszczędzić, karczował drzewa. Nadwerężył swoje słabe serce, przeszedł kilka zawałów, przyplątał się jeszcze nowotwór. Umierał w małym, prowincjonalnym szpitaliku w Dorking. Nie chciał przenieść się do Londynu, gdzie byłby oddalony od Kai. Nie miał etatu, a tym samym ubezpieczenia i szpital pożarł jego oszczędności. Prosił Nowaka-Jeziorańskiego, aby Wolna Europa, dla której tyle lat pracował, pokryła choć częściowo koszty jego leczenia, ale – co bardzo przeżył – Nowak odmówił, jak pisała w biografii Hemara Anna Mieszkowska. Wiedział, że jego słabe, lwowskie serce powie mu niedługo „szlus", chciał więc, aby pochowano go w Dorking na cmentarzu katolickim. Swoje archiwum i prawa autorskie zapisał Władzie. – Będzie wiedziała najlepiej, co z tym zrobić, nie pozwoli o mnie zapomnieć – mówił. I miał rację, nie zawiodła jego zaufania. Żyła 100 lat i wydała wszystkie jego utwory, płyty, albumy, a po 1989 r., w wolnej już Polsce, przekazała jego spuściznę Polskiemu Radiu.

Kilka dni przed śmiercią napisał dla Kai wiersz pt. „Pożegnanie": „Jeśli jakimś sposobem / Jest jakieś życie za grobem / To na moje odjezdne / W podróże pozagwiezdne / Nie płacz u mojej trumny... / Jeśli jest tylko u kogo / To skruchą, miłością, trwogą / Będę za tobą się wstawiał / Na ziemi, na każdym kroku / Będę cię miał na oku / Nie zostawię cię samej / Będziesz pod moją czułą opieką / Aż się znowu spotkamy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Krystmasowa kontrrewolucja

Piotr Gociek

Próżno wśród świątecznych nowości filmowych szukać refleksji religijnej, ale popkulturowe, świeckie „christmas movies" też przypominają o czymś ważnym (i niemile w dzisiejszych czasach widzianym)

Jak wyliczają autorki amerykańskiej edycji pisma „Marie Claire", w tym roku przed Bożym Narodzeniem premierę będzie miało 146 filmów świątecznych i jest to historyczny rekord. Nie mam powodu, by nie wierzyć w te kalkulacje, dodam jednak zastrzeżenie: rzeczywista liczba jest jeszcze większa, bo na razie mowa jedynie o rynku amerykańskim, a on jest co prawda największy, ale świat się na nim nie kończy.

Mnogość tę przypisuję nie tylko rosnącej konkurencji między licznymi kanałami zwykłymi i premium, między serwisami streamingowymi i dystrybutorami telewizyjnymi oraz kinowymi. Jak mniemam, jednym z powodów jest długi, ponury, nieszczęsny pandemiczny rok, który już niemal za nami (pierwszy pełny rok pandemii dla nas, ale Chińczycy mają już za sobą pełne dwa lata). Eskapizm się sprzedaje, eskapizm ciepły i dający nadzieję sprzedaje się szczególnie dobrze. Erzac lekarstwa dla duszy, kiedy bliscy na kwarantannie, przyjaciele w szpitalu, a i na cmentarzach kwater przybyło szybciej, niż się spodziewano.

Okiem nie obejmiesz, życia nie starczy. Przyglądam się jednak owemu cudownemu rozmnożeniu z sympatią i zaciekawieniem, choć – jak wiadomo – 90 proc. tych propozycji okaże się chałą. Nie wińmy jednak świątecznych tematów, 90 proc. wszystkich filmów na świecie to chała (z książkami nie jest lepiej). Wszyscy próbują, nikt nie ma recepty na sukces; na szczęście raz na jakiś czas w tym tłoku pojawia się coś, co prędzej czy później zasłuży na miano „świątecznej klasyki" i dołączy do grona tych tytułów, które przypominamy sobie co roku (czasem rzadziej) w okolicach świąt. Lista ta wcale nie jest taka długa.

ILE „CHRIST" IN „CHRISTMAS"

Oczywiście nie są to filmy o Bożym Narodzeniu. Dawno już minęły czasy, kiedy każda poważna telewizja za punkt honoru stawiała sobie wyemitowanie w świąteczny czas opowieści biblijnych. Czasem jeszcze powstają, ale nie jest łatwo na nie trafić. Kilka lat temu polecałem na przykład na łamach „Do Rzeczy" film „Pierwsza gwiazdka" (2017) – uroczą animację z piosenkami m.in. Mariah Carey o wędrówce zwierzaków ku Betlejem (tak, ostatecznie to one okazały się świadkami tego najważniejszego ze wszystkich wydarzeń w dziejach).

Obowiązujący od lat model filmu świątecznego („christmasowego", a nawet „krystmasowego", żeby podrwić sobie troszkę z tego, jak mało „Christ" in „Christmas") to albo kompletnie zwariowana komedia (jeśli nie „W krzywym zwierciadle: Witaj, Święty Mikołaju" z Chevym Chase'em, to „Elf" z Willem Ferrellem), albo romantyczna komedia w duchu „To właśnie miłość" Richarda Curtisa. Oczywiście pozycją obowiązkową są rozmaite przeróbki świątecznej klasyki, czyli kolejne wersje „Opowieści wigilijnej" inspirowanej Dickensem. Osobny podgatunek to filmy o Świętym Mikołaju (którego trzeba ratować, odchudzać, zastąpić, odnaleźć, wynaleźć, otrzeźwić – wybierajcie sami ulubiony wariant). Najrzadziej trafiają nam się fil-

eprasa.pl ed1acd778b

Mimo zalewu „christmasowych" nowości rok ten nie dostarczy nam zbyt wielu okazji do głębokich wzruszeń FOT. MATERIAŁY PRASOWE

my w duchu klasycznego „To wspaniałe życie" z Jamesem Stewartem w reżyserii Franka Capry. Od 1946 r. nikt nie nakręcił filmu równie świątecznego poprzez swoją mądrą nieświąteczność.

Mimo zalewu „christmasowych" nowości rok ten nie dostarczy nam zbyt wielu okazji do głębokich wzruszeń. Do grona klasyków może doszlusować „Chłopiec zwany Gwiazdką" (Netflix), o którym pisałem osobno dwa tygodnie temu w „Do Rzeczy". Ten sam serwis przynosi nam m.in. tradycyjnie zabawne przygody baranka Shauna, tym razem w wersji świątecznej „Baranek Shaun: Odlotowe święta". A także nieudaną produkcję polską „Dawid i elfy", w której dostajemy zbyt wiele grzybów w barszczu: ni to komedia o elfach i Mikołaju, ni to przypowieść o wierze w cuda; w dodatku konfrontacja pielęgnującej tradycję prowincji z bezduszną Warszawą jest mocno wymuszona (szczególnie że za „prowincję" robi Zakopane, które, jak wiadomo, w sezonie świątecznym jest bardziej warszawskie od stolicy).

W Apple TV+ też najlepiej wypada propozycja dla najmłodszych. Serwis z jabłuszkiem od paru lat z powodzeniem inwestuje w nowe animowane wersje opowieści o Fistaszkach Charlesa Schultza. Z czystym sumieniem polecam „Snoopy przedstawia: Noworoczne postanowienia Lucy". HBO GO zapowiada na 23 grudnia premierę czterech świątecznych produkcji, spośród których dwie najciekawsze to „Nigdy nie całuj faceta w świątecznym swetrze" oraz „Czarowna bransoletka". Nie są to jednak oryginalne produkcje HBO, tylko akwizycja z bibliotek amerykańskiego potentata w dziedzinie telewizyjnych wzruszeń, to znaczy kanału Hallmark. Canal Plus, jak przystało na ulubioną stację premium młodych wykształconych z wielkich miast, oferuje serial z franczyzy „Planeta Singli", i polską komedię świąteczno-romantyczną „Miłość jest wszystkim".

Świąteczna inflacja produkcji telewizyjnych owocuje tym, że znajdą dla siebie coś zwolennicy filmów o pieskach w święta, kotach w święta, pisarkach, kartografach, bogaczach, biedakach, a trzeba też zauważyć, że oczywiście musiała się pojawić również fala LGBTQ+. Zatem opowieści o romansie świątecznym dwóch panów lub dwóch pań, a także historie o tym, jak to powrót do domu na święta oznacza poważny problem – jak powiedzieć rodzicom, że przyjedzie się z partnerem/partnerką tej samej płci.

Nie zawracam jednak czytelnikom głowy całą tą opowieścią po to, by przeglądać i selekcjonować wszystkie te wykwity świątecznej komercji – życia szkoda, zwłaszcza że na cokolwiek bym sobie w tym roku ostrzył zęby, okazuje się rozczarowaniem. (Tak było choćby z produkcją Netflixa „Święta u Christmasów" – trudno było nie oczekiwać wiele po komedii, której gwiazdami są John Cleese i Kelsey Grammer, cóż, oczekiwałem na próżno).

GRUNT TO RODZINA

Wyplątując się jednak z kolorowych łańcuchów, stert świątecznych sweterków i otrzepując ramiona z wątpliwej jakości żartów, chciałem zwrócić uwagę na zjawisko dużo ciekawsze od najciekawszego nawet, pojedynczego tytułu przygotowanego przez konkurujących producentów streamingowych i telewizyjnych. Otóż tak, owszem, religijnych śladów świąt Bożego Narodzenia nie znajdziemy. Otóż tak, wyrosła przez długie dekady świecka tradycja filmów „christmasowych", w których nie o powitanie Zbawiciela chodzi, lecz o to, czy wszyscy w komplecie stawią się przy stole albo czy zmęczony ojciec dorwie w markecie wymarzoną zabawkę dla syna. Warto jednak odnotować, że nawet w tej formie bardziej pasującej do walentynek (ach, ta wszechobecność „świątecznych" komedii romantycznych!) jest coś głęboko tradycyjnego, chciałoby się zawołać – kontrrewolucyjnego, znaczy konserwatywnego.

Jakie jest bowiem dominujące przesłanie wszystkich tych produkcji (pomijając te nieliczne, które stawiają na jawną szydercę)? Ano takie, że rodzina jest ważna, że jest nawet najważniejsza (nie musi to być święta rodzina). Że choć raz w roku, właśnie w ten czas, przychodzi pora, by sobie wybaczyć, by poszukać nadziei na nowe lepsze życie, by znaleźć akceptację, by znaleźć dom. Miłość bezwarunkową. Miłość po prostu. Bezpieczną przystań.

Jest to przesłanie zupełnie niepasujące do tego, czym handel, reklama i w dużym stopniu popkultura karmią nas przez cały rok: „Tylko ty się liczysz!", „Jesteś najważniejsza", „Możesz zrobić wszystko", „Samorealizuj się". Jest to przesłanie nieprzystające nijak do wyścigu szczurów, do świata singli, do świata ponurych zimnych łyżwiarzy z plakatu promującego winter season na zlecenie warszawskiego ratusza. Zauważcie – nawet w tych filmach, które opowiadają o kłopotach ze świątecznym coming outem, co okazuje się najważniejsze? Żeby własna rodzina przyjęła cię takim, jakim jesteś. A więc jednak rodzina się liczy – a nie tylko opinia szefa w korpo i zawartość komentarza koleżanki na Instagramie. Jak śpiewali Starsi Panowie: „Rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest / lecz kiedy jej ni ma / samotnyś jak pies".

POTĘGA NORMALNOŚCI

Powie ktoś: szukanie plusów na siłę. Odpowiem jednak, że wciąż jeszcze potęga tradycji, potęga normalności, nasze wielkie wspólne zbiorowe tęsknoty za ciepłem, rodziną i wspólnotą stanowią coś, czego lekceważyć nie mogą giganci cyfrowej rozrywki. Nawet oni muszą dawać odbiorcom to, czego owi odbiorcy oczekują. A to, że przy okazji często niczym zawodowy oszust lekko popychają języczek wagi – to już temat na osobne rozważania. Tymczasem szczęśliwych, zdrowych, rodzinnych świąt Bożego Narodzenia życzę wszystkim. Niech na świat jak najszybciej znów zstąpi nadzieja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Jest nadzieja

To nie jest rekomendacja, której można oczekiwać na święta, bo nie ma w niej nic z ciepła typowych bożonarodzeniowych filmów czy seriali. Jednak jest to rzecz o głębokim chrześcijańskim przesłaniu, która przypomina nam o tym, o czym i przypomina Boże Narodzenie: że nawet w najmroczniejszy czas jest nadzieja na odrodzenie i odkupienie.

Marc Cobden (Sean Bean), nauczyciel języka angielskiego, usiadł po pijaku za kierownicą i zabił człowieka. Cztery lata ma spędzić w więzieniu. Dręczony jest nie tylko wyrzutami sumienia – świat, do którego trafił, jest brutalny i bezlitosny. Eric McNally (Stephen Graham) jest jednym ze strażników więziennych. Niespodziewanie sam znajdzie się w poważnych tarapatach, kiedy jeden z osadzonych zasugeruje mu: „Będziesz z nami współpracował albo twojemu synowi stanie się krzywda". Tak się bowiem składa, że syn Erica odsiaduje wyrok w innym więzieniu.

Sean Bean i Stephen Graham są fenomenalni, to są role wybitne, podobnie jak scenariusz, który wyszedł spod pióra Jimmy'ego McGoverna, legendy brytyjskiej telewizji (to on napisał m.in. serial „Cracker", który rozsławił Robbiego Coltrane'a). Przed obydwoma bohaterami stoi ten sam wybór: pójść na układ ze złem lub odmówić, ryzykując życie (własne lub najbliższej rodziny). Diabeł zawsze jest blisko, w więzieniu Craigmore manifestuje swą obecność w osobie króla więzienia, przerażającego Jacksona Jonesa (Brian McCardie – to też wybitna rola). Diabeł zawsze gotów jest poklepać cię po plecach i szepnąć: „Pomożesz mi, ja pomogę tobie".

Skoro jest diabeł, to musi być i anioł – siostra zakonna, która służy więźniom duchową pociechą i prowadzi grupę wsparcia: pod jej okiem trudna młodzież spotyka się z wybranymi więźniami, by posłuchać opowieści o tym, jak łatwo można złamać sobie życie. Czy można być lepszym? Nie dowiesz się dopóty, dopóki nie spróbujesz. Ale najważniejsze pytanie to pytanie o przebaczenie i miłosierdzie. Nie możesz pobłażać sobie, wybierając ścieżkę łatwiejszą i bezpieczniejszą. Jeśli jednak zrozumiesz, jakie zło wyrządziłeś, i poświęcisz się dla innych, to możesz liczyć na miłosierdzie, możesz ujrzeć błysk nadziei. Tylko najtrudniejsze drogi dokądś naprawdę prowadzą. ©℗

★★★★★☆

REŻ. LEWIS ARNOLD
„CZAS" („TIME")
WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Sean Bean, Stephen Graham, Siobhan Finneran

NOWE SERIALE: „WIEDŹMIN"

Po dwóch latach od premiery serial według prozy Andrzeja Sapkowskiego powraca do Netflixa. Akcja nowego sezonu rozpoczyna się w miejscu, w którym pozostawiliśmy bohaterów – po bitwie o Sodden. Tytuł pierwszego odcinka (drugi sezon liczy ich osiem) to „Ziarno prawdy", co oczywiście wzbudzać musi zrozumiałą ekscytację fanów opowiadań. W epizodzie drugim trafiamy na dłużej do wiedźmińskiej twierdzy Kaer Morhen. Netflix ogłosił już, że zaczyna produkcję trzeciego sezonu – wygląda na to, że amerykański Geralt, czyli Henry Cavill, zostanie z nami na długo. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 2 „Wiedźmin" („The Witcher"), USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *reż. Marc Munden* ***„Tajemniczy ogród" („Secret Garden")****, Wielka Brytania/Francja 2020* CANAL+

• *sezon 6* ***„The Expanse"****, USA 2021* prime video

• *reż. Will Sharpe* ***„Ogrodnicy" („The Gardeners")****, Wielka Brytania*

eprasa.pl ed1acd778b

Nic nie było?

KINO

Dwa zaprzyjaźnione małżeństwa świętują 10. rocznicę znajomości. Michałowi dobrze idzie w interesach, Bartek brnie od porażki do porażki, może dlatego, że częściej niż o biznesplanie myśli o wakacyjnym wypoczynku. Kasia i Ewa koncentrują się na wypiekach. Nadmiar wypitego alkoholu skutkuje niezręczną sytuacją, ta zaś serią niefortunnych zdarzeń. Po obu stronach ulicy rodzi się straszne podejrzenie, że Ewa z Marcinem mają się ku sobie, a może nawet doszło już do wiarołomstwa. Zwaśnieni sąsiedzi skaczą sobie do oczu, nie zwracając uwagi na dzieci tudzież interweniujących funkcjonariuszy policji.
Bogu dzięki, nie jest to kolejny rom-com à la TVN o pięknym i trosk materialnych pozbawionym pokoleniu budowniczych III RP. Reżyser zapatrzył się raczej na filmową włoszczyznę i stare jak świat komedie omyłek z akcją rozgrywającą się w ograniczonym czasie i przestrzeni. Kto wie, czy „Biały potok" lepiej nie sprawdziłby się na teatralnej scenie, gdyż bohaterowie momentami bardziej niż żywych ludzi przypominają kukiełki, którymi wszechmocny autor zawiaduje ku uciesze własnej oraz publiczności. Siedemdziesiąt pięć minut wystarcza mu, by udowodnić, że homo sapiens egoizm i zawiść ma zapisane w genach. Dodatkowa gwiazdka za jazzowo-klasyczny muzyczny koktajl przyrządzony przez Marcina Mirowskiego. ©℗

Wiesław Chełmniak

★★★★☆☆

REŻ. MICHAŁ GRZYBOWSKI
„BIAŁY POTOK"
POLSKA 2020

wyst. Marcin Dorociński, Julia Wyszyńska, Agnieszka Dulęba-Kasza

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZAWÓD: KAT

cda

20 grudnia to Dzień Czekisty, więc wypada obejrzeć film o XX-wiecznym wcieleniu opryczniny. Masowy terror zarządzony przez bolszewików rodził sytuacje, o których Dostojewskiemu się nie śniło. Komandir Śrubow (z twarzy podobny do młodego Putina) z pochodzenia inteligent, tłumaczy postronnym i samemu sobie, że rewolucję trzeba karmić krwią. Życie ma monotonne: najpierw przesłuchania, z reguły ograniczające się do potwierdzenia personaliów aresztowanego, potem zebranie trojki, zaocznie skazującej wrogów postępu na rozstrzelanie, i egzekucje wykonywane w piwnicach. Rogożkin nie oszczędza wrażliwości widzów. Orgia śmierci zdaje się nie mieć końca, lecz stopniowo w poczynania oprawców wkradają się chaos i obłęd. Scenarzyści optymistycznie ocenili naturę człowieka, sugerując, że nawet w seryjnym mordercy wcześniej czy później budzi się sumienie. Swoją drogą jeden z czekistów jest Polakiem.

★★★★☆☆

REŻ. ALEKSANDR ROGOŻKIN
„CZEKISTA" („CZEKIST")
ROSJA/FRANCJA 1992

wyst. Igor Siergiejew, Michaił Wasserbaum, Aleksandr Karaszkiewicz

KARA I WINA

KINO

Takich filmów już się nigdzie nie kręci. Z wyjątkiem Iranu, gdzie reżyserów i scenarzystów z dziwnych powodów wciąż interesują sprawy podstawowe, takie jak prawda, sprawiedliwość i sumienie. Zdumiony świat bije brawo, nagradza (albo i nie) na prestiżowych festiwalach, po czym z ulgą wraca do oglądania seriali z Netfliksa. Bo cóż to za przyjemność obcować z historią wdowy samotnie wychowującej głuchoniemą córkę po tym, jak jej męża powieszono za zbrodnię, której nie popełnił? „Taka była wola boska" – rozkładają ręce urzędnicy, szwagier radzi, żeby zamiast robić aferę, po prostu przyjąć odszkodowanie. Mina, chociaż ledwo wiąże koniec z końcem, decyduje się na walkę z systemem, uskrzydlona wsparciem, którego udziela jej nowy znajomy, także sponiewierany przez życie. Protest przeciwko karze śmierci? Raczej moralitet z cokolwiek chybionym, ale za to podwójnym zakończeniem. ©℗ ***Wiesław Chełmniak***

★★★★☆☆

REŻ. MARYAM MOGHADAM, BEHTASH SANAEIHA
„BALLADA O BIAŁEJ KROWIE"
IRAN/FRANCJA 2020

wyst. Maryam Moghadam, Alireza Sani Far, Pouria Rahimi Sam

GRA TYGODNIA: ŚWIĘTA UNPLUGGED

Ja wiem, że kupka wstydu duża, nieograniczonych tytułów z tego roku sporo, ale mimo wszystko Boże Narodzenie to nie czas na nadrabianie zaległości przy konsoli. To czas gry unplugged! Święta przy stole będą ciekawsze, gdy miejsce sałatki zajmą ciekawe planszówki. Każdy niech się rozgląda za czymś dla siebie, ja podpowiem dwa tytuły, wydane przez Narodowe Centrum Kultury. Są to planszówki z gatunku „bawiąc, uczyć", czyli najlepsze do podsuwania młodszym członkom rodziny. Gra „Ojczysty", jak sama nazwa wskazuje, służy zabawie językiem polskim. „Czy wiesz, co wiem? Szacun!" odkrywa fakty ze stu lat niepodległości Polski. Nie jest to szkolna wiedza, od której też warto odpocząć, ale pytania (i arch. zdjęcia) w rodzaju: „W którym roku obudzili się z hibernacji bohaterowie »Seksmisji«?", „Ile samolotów miały PLL LOT w 1933 r.?". ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ed1acd778b

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Odczytywanie Hłaski

Stopniowo, krok po kroku, Iskry wydają spuściznę pisarską Marka Hłaski. Po wydobyciu z dna szuflady „Wilka" i przypomnieniu powstałej w kraju prozy autora „Pierwszego kroku w chmurach", po „Szukając gwiazd i innych opowiadaniach", po listach oraz nieśmiertelnych „Pięknych, dwudziestoletnich" przyszła kolej na powieści izraelskie. I oto jeden za drugim ukazały się dwa tomy: pierwszy z najdłuższą powieścią Hłaski „Brudne czyny" i drugi, w którym znaleźli się „Wszyscy byli odwróceni" i „Sowa, córka piekarza".

FOT. ADAM MOTTL/PAP

Jak się czyta te utwory po latach, bez towarzyszącego lekturze wszystkich powstałych i wydanych na emigracji utworów dreszczyku podniecenia? Chyba najbardziej drażni „Sowa…", i to nie tylko przez znane na pamięć hłaskowskie motywy, lecz także zużytą materię języka, powtarzane zwroty. W efekcie wydaje się, że już to wszystko przerabialiśmy, często po wielekroć. I nawet, gdy w pełni zgadzamy się z bohaterem, który retorycznie pyta: „I wy do mnie mówicie o moralności? Szkoda, że nie znacie słów pewnego starego Amerykanina, który powiedział, że osiągnięcie można mierzyć tylko rozmiarem klęski, jaką poniósł człowiek w stosunku do zamierzenia. Jeśli więc wierzyć jego słowom, nie poniesiecie nigdy żadnej klęski. Obiecywaliście ludziom wolność, braterstwo, chleb i wszystko, co było możliwe do obiecania. Lecz kto obiecuje wszystko, nie dotrzymuje niczego. Tak więc jesteście w porządku. Dopóki nie mówicie o moralności". To przecież o komuchach powiedział Hłasko już wcześniej chyba wszystko.

Ciekawe, że pisarz, który w „Pięknych, dwudziestoletnich" o Izraelu wyrażał się z najwyższym uznaniem, w powieści „Wszyscy byli odwróceni" kreuje jego wizję – jak pisze we wstępie Radosław Młynarczyk – „jako miejsca nieprzyjaznego, pozbawionego praw i obowiązków, przypominającego raczej pandemonium niż Ziemię Obiecaną". Ale mieszkańców rzeczywiście piekielnego Ejlatu nie zawodzi pamięć. Jeden z nich powiada: „Przez pięć lat bili mnie po twarzy i przez pięć lat musiałem to znosić, musiałem patrzeć na tych ludzi. Ale nie będę tego znosił tutaj, w Izraelu". A drugi pyta i zaraz sam na to pytanie odpowiada: „Czy myślisz, że ci, którzy byli tutaj przed tobą, dostali ten kraj za darmo? Nikt im go nie dał. Wzięli go przemocą, a najlepsi zginęli przy tym, jak to zwykle bywa".

O innych nacjach też mówi się w tych powieściach. W kontekście izraelskim. W „Brudnych czynach" czytamy: „Ten kraj i ta jego legenda. Tu każdy człowiek jest aktorem. To bardzo dobrze. Nie mają jeszcze wdzięku, ale to przyjdzie. Wdzięk zawsze można dorobić do legendy. Amerykanie to potrafią. Ale to piękny kraj"; „To piękny kraj na suszenie bielizny, ale nie na prowadzenie interesu". Sprawy polskie powracają, na ogół te najbardziej tragiczne: „– Czy powiedziałem ci kiedyś, że mam brata? – zapytał. – Nie – powiedział Ben Dov. – On już nie żyje – powiedział. – Wiesz, on był w czasie wojny w Anglii. A potem wrócił do Polski i posadzili go do więzienia, i skazali go na śmierć, i czekał siedem lat na wykonanie wyroku. A potem go wypuścili. – Wypuścili go. – Tak – powiedział Izrael. – Wypuścili go, ale on już nie wyszedł z tego więzienia. On został tam na zawsze".

A co z Niemcami? „– Niemców można lubić albo nie. Ale Niemcy zawsze płacą. – Jest wielu ludzi w Izraelu, którzy zrzekli się niemieckich odszkodowań – powiedział. – Nikt na świecie dokładnie nie wie, ile powinien otrzymać za zamordowaną matkę. Albo za wybicie oka. Albo za pięć lat obozu koncentracyjnego. Może to właśnie dlatego ludzie nie chcą brać własnych pieniędzy. A może liczą na to, że z czasem ceny pójdą w górę, i boją się powiedzieć zbyt mało". W innym miejscu natrafiamy znów na taki dialog: „– Nienawidzisz Niemców? – Nie – powiedział. – Współczuję im. A to jest gorsze od nienawiści. Czy można naprawdę nienawidzić ludzi, którzy zabijali dzieci? To nie tak. Ja po prostu myślę, że Bóg opuścił Niemców raz i na zawsze. I że nigdy już tam nie wróci; i że nigdy ich nie będzie karać w przyszłości, nawet żeby popełnili tysiąc nowych zbrodni. Ale to nie jest nienawiść".

Może i nie jest. Stosunek Hłaski do Niemców był skomplikowany, do czego na pewno przyczyniło się małżeństwo z Sonią Ziemann. Niemniej powstawanie, akurat w tamtym czasie, muru berlińskiego komentowane jest tak, że „znowu Niemcy stawiają mury. I znowu zaczną strzelać do dzieci".

A z „Brudnych czynów" dowiadujemy się, że „nie ma nic gorszego jak naród, który zmienia się wtedy, kiedy inni tego żądają". I to stwierdzenie jak ulał pasuje do naszej dzisiejszej sytuacji. ©℗

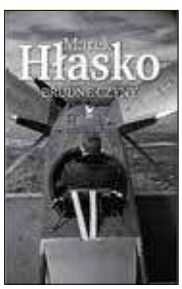

★★★★★★
MAREK HŁASKO
„BRUDNE CZYNY"
WARSZAWA 2021, ISKRY

★★★★★★
MAREK HŁASKO
„WSZYSCY BYLI ODWRÓCENI. SOWA, CÓRKA PIEKARZA"
WARSZAWA 2021, ISKRY

eprasa.pl ed1acd778b

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Przy stole z duchami

Najbardziej znana historia świąteczna? „Kolęda prozą, czyli bożonarodzeniowa opowieść o duchach". W tomie „Najsłynniejsze opowiadania wigilijne" dzieło Dickensa służy jeszcze jednej sprawie – wraz z nią przypomniane zostały dokonania zapomnianego klasyka prozy brytyjskiej, którym jest Anthony Trollope. „Boże Narodzenie w rezydencji Thompsonów" i „Boże Narodzenie na plebanii w Kirkby Cliffe" mogłyby być spokojnie podstawą scenariusza dobrego współczesnego filmu świątecznego. Znajdziemy w nich miłosne manewry, kapitalne obrazki rodzajowe i bohaterów zmagających się z przeciwnościami formułowanymi w kategorii tzw. prawd życiowych: „Nie ma sensu usiłować sprawić, by najubożsi zapomnieli o swojej biedzie" albo „Całe to Boże Narodzenie to jedno wielkie nudziarstwo".

Daleko poza świat salonów wiktoriańskiej Anglii wychodzimy w drugim zbiorze. Antologia „Gwiazdka z duchami" to okazja, by przypomnieć Zygmunta Krasińskiego („Mściwy karzeł i Masław, książę mazowiecki"), nie czekając na oficjalny początek roku 2022 ogłoszonego Rokiem Polskiego Romantyzmu. Ale także, by spojrzeć na zapomniane dokonania Romana Zmorskiego, którego polecam szczególnie. Reprezentowany jest tu trzema opowiadaniami; jego spuścizna jest o wiele obfitsza. To opowiadanie Zmorskiego „Strzyga" było przecież tym, które zainspirowało kiedyś Andrzeja Sapkowskiego do napisania pierwszego opowiadania o Geralcie z Rivii. Mam przeczucie, że gdyby na początku lat 80. XX w. przypomniano polskiemu czytelnikowi najlepsze teksty Zmorskiego (podobnie jak „Baśń nad baśniami" Dzieduszyckiego), to historia polskiej fantasy i weird fiction potoczyłaby się inaczej, ciekawiej i... bardziej swojsko.

Margaret Oliphant – wracamy do Anglii – znana była jako „Mrs. Oliphant". Jej „Ścieżkę Szlachetnej Damy" przypomniano rok temu w antologii „Z duchami przy wigilijnym stole". Teraz w „Gwiazdce z duchami" ukazują się trzy opowiadania (najlepsze to „Drzwi donikąd"). Oliphant pozostawiła po sobie ponad 100 książek, będzie jeszcze z czego wybierać. Domykają tom Ellen Wood (publikowała jako Mrs Henry Wood) i J.H. Riddell (wł. Charlotte Riddell). Uważajcie, by nie podzielić losu bohatera jej opowiadania. To niełatwie zniknąć w Wigilię, zwłaszcza gdy już się nigdy nie wraca. ©℗

★★★★★☆
CHARLES DICKENS, ANTHONY TROLLOPE „NAJSŁYNNIEJSZE OPOWIADANIA WIGILIJNE" ZYSK I S-KA 2021

★★★★☆☆
AUTORZY RÓŻNI „GWIAZDKA Z DUCHAMI" ZYSK I S-KA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

ANDRZEJ NOWAK „DZIEJE POLSKI", TOM 5 BIAŁY KRUK

Nowy tom fundamentalnego dzieła prof. Nowaka obejmuje lata 1572–1632 i nosi tytuł „Imperium Rzeczypospolitej". Czy sarmacka Polska sama przegrała ze swymi słabościami? A może jednak było inaczej? Fascynująca opowieść.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI „POEZJE ZEBRANE" PIW

Pół wieku musiał czekać autor „Czarnego poloneza" (1894–1969) na tak pełne podsumowanie drogi poetyckiej (wiersze i przekłady). Dwutomowe przedsięwzięcie PIW przygotowali Paweł Kądziela i Anna Nasiłowska (wstęp).

EDWARD BROOKE-HITCHING „ATLAS TAMTYCH ŚWIATÓW" REBIS

Niebo, piekło, Hades, Elizjum, Walhalla – długo by wymieniać. Jak je opisywano i malowano? Ciąg dalszy fascynującej podróży, bo ten sam autor dał nam wcześniej „Atlas lądów niebyłych", „Atlas nieba" i „Złoty atlas".

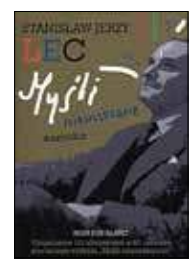

STANISŁAW JERZY LEC „MYŚLI NIEUCZESANE" NOIR SUR BLANC

„Sztuka zaangażowana? Przez kogo?" – kpił Lec. Albo: „Miał lwi pazur, ale brudne pazury". Zamiast się starzeć, jego aforyzmy są tym bardziej aktualne, im bardziej rzeczywistość nas otacza. Posłowie i przypisy: Lidia Kośka. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: „JEZUS MESJASZ"

WILLEM DE VINK „JEZUS MESJASZ" PROMIC 2021

Komiksowa opowieść o narodzinach, życiu i nauczaniu Jezusa – wielki przebój ewangelizacji przy pomocy popkultury. Ukazał się już w ponad 180 językach i w łącznym nakładzie ponad 2 mln egzemplarzy na całym świecie. Polską edycję przygotowało Wydawnictwo Księży Marianów. Willem de Vink, holenderski kaznodzieja, pisarz i rysownik, słynie nie tylko z tego komiksu, lecz także z książek, do których sam tworzy ilustracje, a których designerem jest jego żona Marian. Tak powstały m.in. „Biblia dla nastolatków" oraz książka o wpływie Biblii na Vincenta van Gogha. ©℗

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl ed1acd778b

FOT. EMILIA KRAJEWSKA

Lekcja cierpliwości

Gdy się nagra debiutancką płytę, człowiek „tupta" w miejscu z niecierpliwości, by móc ją już pokazać światu. A to niemożliwe, bo trzeba przygotować jeszcze wiele narzędzi, by ten krążek nie zaginął – mówiła o swoim płytowym debiucie podczas rozmowy w radiowej Czwórce Pola Miko. Kiedy do tego wszystkiego dojdzie niespodziewany wybuch pandemii, „tuptanie" może trochę potrwać. Album „Kalejdoskop" powstawał przez rok. Ale zanim został wydany, minęły kolejne dwa lata. – Sytuacja covidowa, poszukiwanie przeróżnych rozwiązań, to wszystko wymagało czasu i pracy – wyjaśniała w Czwórce.

Pierwsze szlify Paulina zdobywała w poznańskiej grupie Erato. Po maturze wyjechała na studia do Warszawy, a zaraz potem do Danii. Przez dwa lata była solistką w zespole, po jego rozpadzie śpiewała solo i ciągle doskonaliła warsztat. Nauczycieli szukała w Londynie, dokąd wyjeżdżała, i w USA, pobierając lekcje on-line od Grega Enriqueza, trenera wokalnego z Las Vegas. Na powrót do Polski zdecydowała się w roku 2016, a dwa lata później rozpoczęła nagrywanie „Kalejdoskopu", który trafił na półki sklepowe i do serwisów streamingowych 10 grudnia.

Na debiutancki album składa się 10 stworzonych przez Polę piosenek. Teksty wszystkich są w języku polskim. – Nagrywając swój album, dużo czasu poświęcałam liniom melodycznym i jeszcze więcej tekstom. Czasem pisałam prosto, czasem metaforycznie, zawsze szczerze – mówi Pola.

Zaproszenie do współpracy od Poli przyjął pianista, aranżer i kompozytor Michał Bieranowski, współpracujący m.in. z Natalią Kukulską i Łąki Łan. Za miks i mastering odpowiedzialny jest z kolei Mirek Wdowczyk, realizator dźwięku w zespole Lombard. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Widok ze stodoły

Twórczość Neila Younga rozciąga się między czułymi balladami a ostrym rockowym jazgotem, dzięki któremu otrzymał przydomek ojca chrzestnego muzyki grunge. Mocniejsze płyty nagrywa z zespołem Crazy Horse. I choć wielu fanów Younga woli jego rockową duszę, to największy komercyjny sukces Kanadyjczyk odniósł balladowym albumem „Harvest" (7 mln sprzedanych egzemplarzy). Część nagrań na tę płytę zrealizował w stodole na swoim ranczu w Kalifornii. Po 50 latach wrócił do stodoły (barn), gdzie przygotował najnowszy, 41. studyjny album w karierze.

Obecna stodoła Younga, którą odrestaurował z żoną, aktorką Daryl Hannah, leży w Górach Skalistych w Kolorado. Domowe ciepło i szerokie, otwarte przestrzenie niewątpliwie wpłynęły na charakter płyty, która jest znacznie bardziej stonowana niż zazwyczaj albumy Younga z Crazy Horse. Neil żyje chwilą, zastanawia się nad swoimi obywatelskimi obowiązkami (w końcu został Amerykaninem), martwi się o kondycję świata, myśli o przyszłych pokoleniach, które będą żyły na zgliszczach, jakie pozostawi po sobie dzisiejsza populacja, i nigdy nie zapomina o miłości. „Barn" jest rodzajem migawki z życia grupy starych przyjaciół, którzy tworząc z dala od wielkomiejskiego zgiełku, znajdują ukojenie i pocieszenie we wspólnym graniu. ©℗

★★★★☆☆

NEIL YOUNG & CRAZY HORSE „BARN" REPRISE

★★★☆☆☆

ORGANEK „NA RAZIE STOJĘ, NA RAZIE PATRZĘ" MYSTIC

Organek wzmocnił gitarowe riffy wybuchowym retroelektro. W tekstach też powiela klisze – utyskuje nad rzeczywistością, kocha i cierpi, użala się nad swoim losem idola... Słyszeliśmy to już u innych. Bez trzech remiksów piosenek płyta trwałaby zaledwie niecałe 34 minuty. Niemoc twórcza.

★★★★★☆

ART BLAKEY & THE JAZZ MESSENGERS „FIRST FLIGHT TO TOKYO" BLUE NOTE

Niepublikowany koncert z 1961 r. najlepszego składu grupy giganta perkusji. Ognista solówka Arta rozpoczyna 23-minutową wersję „Now's the Time" Charliego Parkera, a potem jest słynne „Moanin'"... Ponad 100 minut jazzowej uczty. ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

Szekspir w karnawale

FOT. MALWINA MAJER

Grzegorz Kondrasiuk

„Wieczór Trzech Króli" w Teatrze Narodowym to odważny eksperyment, skutkujący niezamierzonymi efektami

Wieczór Trzech Króli" to bodaj jedyna sztuka napisana przez Szekspira, którą potrafimy dziś powiązać z konkretną kalendarzową okazją wykonania prapremiery. I stąd teatralna tradycja grywania „Wieczoru…" w okolicach karnawału. Tym tropem poszła dyrekcja Teatru Narodowego. Na początku grudnia mieliśmy premierę w reżyserii Piotra Cieplaka – ale spektakl powracać będzie na scenę TN przez cały karnawał, m.in. w specjalnych sylwestrowych pokazach.

Sporo tu atrakcji i niespodzianek, począwszy od samego pomysłu na wystawienie tego tekstu jako parodii czy też łagodniej, pastiszu teatru muzycznego. Cieplak wraz z kompozytorem Janem Duszyńskim igrają z kulturą popularną, z musicalem, z muzyką pop lat 70., a także z operetką, i to z jej źródłowym Offenbachowskim wzorem, czy wreszcie – z wtrętami operowymi, nawiązaniami do klasyki, do „Don Giovanniego", ale i do nowej opery. Na potrzeby spektaklu powstała oryginalna kompozycja współczesna na kameralny skład: fortepian, wiolonczelę, flet, kontrabas, wibrafon i inne perkusjonalia. „Próbowaliśmy właściwie całe to przedstawienie przetłumaczyć na muzykę" – mówi reżyser. A to oznacza – ni mniej, ni więcej – śpiewających aktorów dramatycznych. I to jest odpowiedź numer dwa na pytanie: „Dlaczego się podobało?". Znani aktorzy w całkowicie nowych rolach – co się wpisuje z kolei w tradycję przedstawień okolicznościowych, również świątecznych. Wiktoria Gorodeckaja (Oliwia), Oskar Hamerski (Książę), Mariusz Benoit (Pan Andrzejek, czyli sir Andrzej Chudogęba), Cezary Kosiński (Błazen), wreszcie – wspaniały Jerzy Radziwiłowicz jako Malvolio. Zobaczyć ich, jak zgrywają się na śpiewaczki i pieśniarzy, a nawet tancerzy (Radziwiłowicz w konwencji Eurowizji, nie będę zdradzał więcej…). Brzmi kusząco.

Zatem: odważny to eksperyment i skutkujący niezamierzonymi efektami. W wymyślaniu nowej formy reżyser dał się uwieść kompozytorowi, a wyszło z tego rzeczywiście dzieło niepodobne do niczego innego. Owszem, powierzanie zespołowi przyzwyczajonemu raczej do mówienia niż do śpiewania kilometrowych partii wokalnych niejednokrotnie kończyło się czymś w rodzaju „Szansy na sukces", ale z tą łatwiejszą taśmą pozwalającą śpiewać „po nutach". Taki to już urok tego przedstawienia – bo nie brakowało w nim i scen niezwykłych, potwierdzających intuicję twórców.

Założenie otwarcia tej niezwykłej komedii Szekspira poprzez muzykę jest zresztą wywiedzione z tekstu, bo to właśnie w „Wieczorze…" najwięcej u Szekspira się gra, śpiewa i mówi o muzyce. „Jeżeli miłość żywi się pokarmem muzyki – to grajcie!" – słowa te i rozpoczynają przedstawienie, i je domykają, blisko finału. Jest jednak nieco inaczej – to nie miłość żywi się muzyką, ale muzyka daje, wiemy to przecież, najpełniej zaistnieć ekspresji uczuć. Gadanie o uczuciach bywa nadmiarem, ale zaśpiewanie ich – już niekoniecznie. Podział na trzy części, za każdym razem kulminacja muzyczna i choreograficzna w finałach – to wyraźne sygnały, jak bardzo logika widowiska muzycznego wzięła górę nad teatrem. Szekspirowskie słowo zeszło zatem na dalszy plan, przy okazji zgubił się także nadrzędny temat przedstawienia. Bo że jest to rzecz o potędze miłosnego zaczarowania, to wiadomo, ale przecież to zaledwie przedsionek do interpretacji.

„Wieczór…" to komedia podszyta goryczą, z drugim dnem, gdzie przemycone są brutalne obserwacje o tym, że nic nie jest tym, czym się wydaje, a już najmniej – osoba, w której się zakochujemy. Ta brutalność gdzieś znikła, przykryta ariami i recytatywami, choć trudno na to wpaść, kiedy czaruje się nas umownością i komiksowością tego świata niewiadomego pochodzenia, wykreowanego z przeskalowanych kostiumów, ruchomych żywopłotów i kosmicznych projekcji na horyzoncie. Dajemy się czarować w lirycznych scenach wyznań, a także, gdy aktorzy kompletnie niekomediowi bawią się przyjętą operetkową i musicalową konwencją. A szczególnie – kiedy po mistrzowskim, precyzyjnym monologu z listem beczułkowaty niezgrabiasz Malvolio (Radziwiłowicz) zmienia się w dyskotekowego lowelasa.

Wystarczy już tej reklamy, bo jeszcze wypadałoby poinformować, czy naprawdę warto. Niech za rekomendację posłuży stwierdzenie prostego faktu: tego wieczoru na tym „Wieczorze…" publiczność była zupełnie zadowolona, dając temu wyraz w ustalony w teatrach sposób. ©℗

TEATR NARODOWY W WARSZAWIE
„WIECZÓR TRZECH KRÓLI ALBO CO CHCECIE"
WILLIAM SZEKSPIR
REŻYSERIA: PIOTR CIEPLAK
MUZYKA: JAN DUSZYŃSKI
PREMIERA: 4 GRUDNIA 2021 R.

eprasa.pl ed1acd778b

Spętana

Wielka Brytania

Éric Zemmour, francuski prawicowy publicysta, spotkał się w Wielkiej Brytanii z tym samym, co Rafał Ziemkiewicz – anulowano rezerwację lokalu wynajętego na spotkanie z nim FOT. SAMUEL BOIVIN/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Olivier Bault

Kraj, w którym narodziła się zachodnioeuropejska liberalna demokracja, przeobraził się w państwo, w którym ta najszybciej w Europie zamienia się w liberalny totalitaryzm

Na początku października ujawniła się swoista brytyjska Policja Myśli – na londyńskim lotnisku Heathrow zatrzymano publicystę „Do Rzeczy" Rafała A. Ziemkiewicza i deportowano go do Polski za poglądy. Wcześniej – w 2018 r. – Ziemkiewicz został zmuszony do odwołania cyklu spotkań z brytyjską Polonią, kiedy na prośbę policji działającej pod presją pewnej deputowanej Partii Pracy i lewicowych mediów, głównie dziennika „The Guardian", właściciele wynajętych lokali postanowili anulować rezerwacje.

Podobny los spotkał w listopadzie francuskiego, prawicowego publicystę Érica Zemmoura. Przygotowujący się do ogłoszenia swojej kandydatury w kwietniowych wyborach prezydenckich we Francji Zemmour chciał udać się do Londynu na spotkanie z bardzo liczną w tym mieście diasporą francuską (ocenia się ją

eprasa.pl ed1acd778b

na 100–200 tys. osób). 19 listopada miał zarezerwowaną w Londynie salę udostępnioną mu przez brytyjskie stowarzyszenie naukowo-edukacyjne The Royal Institution i kilkaset osób zapisanych na spotkanie. Owa instytucja postanowiła jednak odwołać rezerwację dwa dni przed zaplanowanym wydarzeniem.

Nie podano konkretnego powodu anulacji poza tym, że po przeprowadzeniu „due diligence", czyli głębszej weryfikacji, stwierdzono, iż wiekowa instytucja woli jednak nie wynajmować sali „takiemu" mówcy. Według relacji konserwatywnego „The Spectator" Zemmour planował podczas londyńskiego spotkania porozmawiać między innymi o relacjach angielsko-francuskich, o brexicie i o sytuacji na granicy Polski z Białorusią. Dziennikarze tygodnika uznali, że w kraju szczycącym się tym, iż w przeszłości gościł pokolenia francuskich wygnańców od Woltera do de Gaulle'a przez Zolę i Napoleona III, wstydem jest, że „Zemmour wydaje się obrażać czułą wrażliwość współczesnych ludzi".

WYRZUCONY FARAGE, WYKLĘTA ROWLING

W Wielkiej Brytanii od lat obserwuje się narastający problem z wolnością słowa – i pisałem o tym już dwa lata temu na łamach „Do Rzeczy", w tekście pt. „Wajcha Blaira". Zaczęło się od ustaw równościowych (ang. Equality Act) z lat 2006 i 2010, mających na celu ochronę przed dyskryminacją, mobbingiem lub prześladowaniem m.in. ze względu na wiek, niepełnosprawność, rasę, religię, wierzenia, płeć, orientację seksualną czy zmianę płci. Następnie Wielka Brytania poszła o krok dalej, ustanawiając za czasów „konserwatysty" Davida Camerona homomałżeństwa z prawem do adopcji dzieci. Doszło potem do wprowadzenia obowiązkowego promowania homoseksualizmu i ideologii gender we wszystkich szkołach w czasie urzędowania „konserwatywnych" następców Camerona – Theresy May i Borisa Johnsona (a pomyśleć, że do 2003 r. obowiązywał zakaz promowania homoseksualizmu w szkołach!).

Społeczność LGBT+ nie jest jedyną mniejszością pod specjalną ochroną w Wielkiej Brytanii. Pod wpływem amerykańskiego ruchu Black Lives Matter i lewicowej ideologii woke, również importowanej z USA, coraz bardziej ogranicza się wolność wypowiedzi i myśli

Odkąd J.K. Rowling skrytykowała użycie terminu „osoba miesiączkująca" zamiast słowa „kobieta", wylała się na nią fala hejtu

w stosunku do wszelkiego rodzaju grup społecznych uznawanych za mniejszości.

Były lider probrexitowej Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP), Nigel Farage, który przeszedł z polityki do publicystyki i dziennikarstwa, doświadczył na własnej skórze ograniczenia wolności wypowiedzi w swoim kraju, kiedy Radio LBC zdjęło ze skutkiem natychmiastowym jego codzienną wieczorną audycję w czerwcu 2020 r. Powodem zakończenia trzyletniej współpracy i pozbycia się popularnego prezentera było to, że Farage ośmielił się porównać protestujących z ruchu Black Lives Matter, którzy obalali pomniki w Wielkiej Brytanii, do afgańskich talibów. Aby się pokajać, władze radia oznajmiły, że podjęły kroki, by zwiększyć „inkluzywność" stacji nie tylko poprzez wyrzucenie z niej prawicowego, względnie konserwatywnego głosu Farage'a (podczas gdy wszyscy inni dziennikarze tej stacji mają mniej lub bardziej liberalno-lewicowe poglądy), lecz także np. poprzez „utworzenie komisji mniejszości etnicznych". Bijąc się w piersi po wypowiedzi Farage'a, przedstawiciele tej największej w kraju stacji radiowej typu talk-show przyznali, trochę jak na procesie stalinowskim: „Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że wciąż jest wiele do zrobienia. Global [właściciel grupy rozgłośni LBC – przyp. red.] jest zaangażowany w rekrutację na najwyższym poziomie wiedzy i doświadczenia, bez względu na płeć, rasę, orientację seksualną czy niepełnosprawność. [...] Jak wiele firm, jesteśmy na tyle uczciwi, aby powiedzieć, że wciąż próbujemy się odnaleźć i szybko się uczymy". Nigel Farage prowadzi teraz audycję w nowo powstałej telewizji GB News, której zadeklarowanym celem jest stać się ostoją wolnego słowa w brytyjskim krajobrazie medialnym.

Słynna autorka serii o Harrym Potterze, feministka J.K. Rowling, także doświadcza na własnej skórze coraz ciaśniejszych granic wolności słowa w Wielkiej Brytanii. Odkąd w ubiegłym roku skrytykowała na Twitterze użycie terminu „osoba miesiączkująca" zamiast słowa „kobieta", jest uznawana w swoim kraju za osobę „transfobiczną". Wylała się na nią fala hejtu, a ostatnio stwierdziła nawet, że dostaje tyle gróźb śmierci, że mogłaby nimi sobie wytapetować cały dom. Potępiły ją publicznie angielskie gwiazdy, które grały w filmach powstałych na bazie jej powieści – m.in. Rupert Grint, Emma Watson, Daniel Radcliffe i Eddie Redmayne. Gdy amerykańska wytwórnia HBO zebrała w listopadzie całą obsadę serii o Harrym Potterze,, aby zrobić program z okazji 20-lecia powstania pierwszego filmu, sama autorka nie została do niego zaproszona. Jej prywatny adres został ujawniony przez trzech aktywistów transseksualnych, którzy sfotografowali i sfilmowali się na tle obraźliwych tablic przed jej domem w Edynburgu w Szkocji. Po tym wydarzeniu Rowling zwróciła się do części „trans" lobby LGBT, mówiąc: „Najlepszym sposobem na udowodnienie, że wasz ruch nie jest zagrożeniem dla kobiet, jest zaprzestanie prześladowania, nękania i grożenia nam".

SIŁOWE NARZUCANIE POGLĄDÓW

Problem z wolnością słowa zaczynają już dostrzegać nawet niektóre mainstreamowe media. W październiku dziennik „The Times" oraz dwóch dziennikarzy BBC oskarżyło Stonewall, największą organizację LGBT w Wielkiej Brytanii i w Europie, o siłowe narzucanie swoich poglądów zarządom brytyjskich firm. Przykładem takiego wpływu Stonewall jest fakt, że zgodnie z postulatami tej organizacji Financial Conduct Authority (FCA), organ regulujący sektor finansowy, wydał „wytyczne dotyczące różnorodności" w ramach wdrażania ustaw równościowych. Na bazie tych wytycznych każda spółka notowana na giełdzie będzie musiała zadeklarować odsetek kobiet w swoim zarządzie, który będzie liczony na podstawie zadeklarowanej w danym momencie tożsamości płciowej, a nie płci biologicznej. Dyrektor wykonawczy ds. konsumentów i konkurencji FCA jest jednocześnie przewodniczącym rady zarządzającej Stonewall.

Dziennikarze Thompson i Nolan z BBC w swoim podkaście podsumowali z kolei dochodzenie w sprawie ogromnego wpływu Stonewall na instytucje publiczne, takie jak parlament szkocki i walijski, Ofcom (brytyjski regulator mediów)

eprasa.pl ed1acd778b

oraz samą BBC, która odrzuciła prośby obu dziennikarzy o udostępnienie dokumentacji w tej sprawie (Stonewall także odrzuciła wszystkie prośby o przekazanie dokumentów i udzielenie wywiadów). W podkaście skrytykowano to, że publiczne media należące do grupy BBC uznają w komunikacji wewnętrznej działaczy Stonewall za „ekspertów ds. równości w miejscu pracy dla osób LGBTQ+" i nie dopuszczają innych poglądów na te kwestie niż te wyrażane przez wspomnianą organizację LGBT.

UNIWERSYTECKA CENZURA

Miejsca, które powinny być największą ostoją wolności słowa i wymiany myśli – uniwersytety – same stały się awangardą dryfu współczesnych liberalnych demokracji w kierunku miękkiego totalitaryzmu, a zjawisko to jest najbardziej widoczne właśnie w Wielkiej Brytanii.

Już Theresa May dostrzegła problem, gdy skrytykowała w 2016 r. brytyjskie uniwersytety za wymuszanie autocenzury na pracownikach akademickich i studentach oraz za praktykę ustanawiania coraz liczniejszych tzw. bezpiecznych przestrzeni, czyli miejsc i momentów, w których dyskusja jest regulowana w taki sposób, aby nikogo nie urazić, zwłaszcza jeśli chodzi o osoby należące do którejś z mniejszości rasowej, religijnej, seksualnej itp.

Pomimo swoich lewicowo-liberalnych poglądów obecny premier Boris Johnson również zdaje się być świadomy problemu. Dlatego na początku roku jego rząd ogłosił projekt ustawy mającej chronić wolność słowa na uniwersytetach.

– Jestem głęboko zaniepokojony efektem paraliżującym niedopuszczalnego uciszania i cenzurowania w kampusach uniwersyteckich – powiedział wtedy minister edukacji Gavin Williamson.

– Dlatego musimy wzmocnić wolność słowa w szkolnictwie wyższym poprzez wzmocnienie istniejących obowiązków prawnych i zagwarantowanie zdecydowanych działań, jeśli są one naruszane – wtórował mu premier Boris Johnson.

Na razie propozycja ta wciąż jest procedowana w parlamencie i Partia Pracy sprzeciwia się tej „niebezpiecznej" ustawie o wolności słowa, mającej zdaniem laburzystów tak naprawdę chronić „mowę nienawiści". Tymczasem bieżący rok przyniósł kolejne przykłady pokazujące, jak źle jest z wolnością słowa na brytyjskich uniwersytetach.

Uniwersytety stały się awangardą dryfu współczesnych liberalnych demokracji w kierunku miękkiego totalitaryzmu

Wspomnijmy tylko kilka najgłośniejszych z nich.

Na słynnym uniwersytecie Cambridge, pod naciskiem skrajnie lewicowych studentów, władze uczelni wydały w marcu nowe „oświadczenie o wolności słowa", które w rzeczywistości wprowadziło ograniczenia w zakresie tego, co można było mówić, i to pod pretekstem „poszanowania" „rozbieżnych opinii" i „wielości tożsamości". Na szczęście pewien wykładowca wydziału filozofii, będący członkiem Unii na rzecz Wolnego Słowa (FSU), zareagował na regulację serią poprawek, które obejmowały zastąpienie listy okoliczności, z powodu których można byłoby zakazać wystąpień, zobowiązaniem do dopuszczenia wszystkich mówców, o ile nie naruszają obowiązującego prawa i o ile nie są oni winni zniesławienia lub mobbingu. Uniwersytet był zmuszony pogodzić się z głosowaniem, w którym pierwotne oświadczenie ograniczające wolność słowa zyskało poparcie zaledwie 162 pracowników naukowych wobec 1316 głosów za propozycjami wykładowcy Arifa Ahmeda i 200 osób, które wolały nie przyjmować żadnego oświadczenia. Uniwersytet musiał też zamknąć nowo utworzoną stronę internetową do anonimowego zgłaszania przypadków rasizmu wśród pracowników uniwersyteckich i studentów, na której to stronie rasizm był zdefiniowany jako występujący wyłącznie u ludzi białych w stosunku do ludzi należących do mniejszości etnicznych. Jednak jak można było przeczytać w gazecie „The Telegraph" 30 listopada, inicjatywy te niestety właśnie powracają na uniwersytecie Cambridge pod nowymi, lekko zmodyfikowanymi postaciami.

Na uniwersytecie Nottingham wyznaczonemu przez lokalnego biskupa księdzu odmówiono możliwości objęcia stanowiska uniwersyteckiego kapelana z powodu tweetów, w których wypowiadał się negatywnie na temat aborcji i eutanazji. Po protestach biskupa i groźbie procesu ze strony FSU uczelnia pozwoliła kapłanowi objąć to stanowisko, ale na razie tylko na okres próbny i pod groźbą odwołania go ze skutkiem natychmiastowym w razie skarg na jego temat.

Z uniwersytetu Sussex odeszła w październiku – po 18 latach pracy – profesor filozofii Kathleen Stock. Rezygnacja była następstwem brutalnej, dwuletniej nagonki zorganizowanej przez grupę wykładowców i studentów. Nagonce towarzyszył brak wsparcia ze strony władz uniwersytetu i kolegów. Choć niektórzy akademicy popierali ją w prywatnych rozmowach, to nie mieli odwagi zrobić tego publicznie. Również związek zawodowy, do którego należała prof. Stock, miał wydać dwuznaczne oświadczenie, z którego wynikało, że podobnie jak organizatorzy nagonki uważają panią Stock za „transfoba" – za to, że skrytykowała możliwość samookreślenia własnej płci. Stock opisała w rozmowie z BBC ostatnie czasy na uniwersytecie jako „jakiś surrealistyczny, straszny sen pełen niepokoju", w którym widziała swoje „nazwisko przyklejone na każdej ścianie" i w którym „wszystkie oczy patrzą na mnie i wszystkie palce zdają się mnie wytykać. To było jak jakieś średniowieczne doświadczenie".

Profesor Joe Phoenix, wykładowca kryminologii na Open University, największym uniwersytecie brytyjskim pod względem liczby studentów, miała wygłosić wykład na uniwersytecie Sussex o prawach osób „transpłciowych" w brytyjskich więzieniach i o tym, że umieszczanie „transseksualnych kobiet" (czyli mężczyzn w rozumieniu biologicznym) w więzieniach wcześniej zarezerwowanych dla kobiet (także w sensie biologicznym) nie odbywa się bez problemów. Pod presją grupy studentów, którzy twierdzili, że jest ona „transfobem" i że nie będą czuć się „bezpieczni", jeśli prof. Joe Phoenix będzie głosiła swoje „transfobiczne" poglądy na ich uniwersytecie, uczelnia w Essex odwołała przyjazd prof. z Open University.

Można by pomyśleć, że to współczesna Kanada Justina Trudeau jest dzisiaj kwintesencją dyktatury politycznej poprawności, ale pani Phoenix jest innego zdania, gdyż wygłosiła ten sam wykład na Uniwersytecie Nowej Fundlandii w Kanadzie miesiąc wcześniej i nie wywołał on żadnej polemiki. „Wszystkim się podobał. Jest więc coś wyjątkowego w tym, co dzieje się w Wielkiej Brytanii" – stwierdziła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Ekologia i rynek potrzebują równowagi

Nowe trendy w energetyce, które wypierają paliwa kopalne, to nie lada wyzwanie dla firm naftowych. Gospodarka jednak nie może z dnia na dzień stracić dostępu do ropy naftowej, bo nie będzie konkurencyjna. Godziłoby to także w bezpieczeństwo energetyczne Polski. Jako PERN chcemy dobrze przygotować się na nieuchronne zmiany, zapewniając ciągłość dostaw surowca do rafinerii i paliw na stacje benzynowe – mówi Igor Wasilewski, prezes PERN

Panie prezesie, czy zgadza się pan ze twierdzeniem, że zbliża się śmierć ropy naftowej?

To, co widzimy, to głęboka zmiana w systemie energetycznym całego świata, która w perspektywie 10–15 lat stanie się faktem. Do tej zmiany się przygotowujemy. Natomiast pogłoski o śmierci ropy naftowej są zapewne przedwczesne choćby z uwagi na rolę, jaką odgrywa ona w przemyśle petrochemicznym.

Pamiętajmy, że półprodukty pochodzące z przetwórstwa ropy naftowej spotykamy prawie na każdym kroku. Ropa naftowa ma zastosowanie w produkcji kosmetyków i leków, barwników, nawozów, a także tworzyw sztucznych. Dlatego choćby w tej sferze pozostaje duże pole do działania. My chcemy wspierać naszych klientów, którzy rozwijają swoje instalacje petrochemiczne, w szybkiej i efektywnej logistyce oraz magazynowaniu surowca.

Pamiętajmy także, że polska gospodarka nie może z dnia na dzień przestawić się na inne nośniki w energetyce. Transformacja musi potrwać, a w tym czasie polskie firmy będą potrzebowały napędu, który dają paliwa płynne. Przewidujemy, że w średniej perspektywie popyt na nie będzie się utrzymywał na stabilnym poziomie i stąd nasze inwestycje w tym obszarze.

No właśnie, PERN w ostatnich latach stał się wielkim placem budowy...

Tak, to prawda, w ramach programu „Megainwestycje" zbudowaliśmy już 13 nowych zbiorników na paliwa i siedem zbiorników na ropę naftową. Innymi słowy – w ciągu pięciu lat rozbudowaliśmy o prawie jedną piątą nasze dostępne pojemności na paliwa i ropę naftową, bo takie było zapotrzebowanie rynku.

Budujemy także rurociągi, m.in. rurociąg paliwowy Boronów-Trzebinia, który poprawi dostępność paliw dla Aglomeracji Śląskiej. To jest dziś najbardziej ekologiczna forma transportu paliw, bo eliminuje wykorzystanie autocystern. Jeśli popatrzymy tylko na ilość paliwa, która będzie dostarczana przez tę magistralę, to będzie ona odpowiadała 90 cysternom kolejowym lub ponad 150 autocysternom dziennie.

W 2022 r. na inwestycje przeznaczymy ponad 1 mld zł. PERN, dzięki programowi inwestycyjnemu, który realizuje, jest dziś zupełnie inną firmą niż w 2015 r. Chodzi o to, że nasi klienci mają dziś do dyspozycji znacznie więcej możliwości, jeśli chodzi o magazynowanie ropy naftowej i paliw, co umożliwia im np. skuteczną dywersyfikację dostaw, a jest to kluczowe dla naszego bezpieczeństwa energetycznego.

Ropa, paliwa... OZE?

Działamy w obszarze paliw kopalnych, jednak przykładamy coraz większą wagę do racjonalnego wykorzystania zasobów energetycznych, a także wody czy plastiku. Chcemy na większą skalę produkować własną energię elektryczną, by obniżyć koszty prądu związane z tłoczeniem surowca i paliw poprzez rurociągi. Dlatego do 2024 r. zainwestujemy 130 mln zł w farmy fotowoltaiczne, które będą zlokalizowane na terenach baz. Docelowo zamierzamy produkować 10 proc. energii elektrycznej, którą wykorzystamy do tłoczeń surowca i paliw, właśnie z fotowoltaiki.

Czyli PERN chce się zazielenić?

W 2022 r. przeznaczymy prawie 40 mln zł na inwestycje poprawiające bezpieczeństwo ekologiczne i inwestycje w ochronę środowiska. Dlatego chociażby modernizujemy instalacje odzysku par benzyn w naszych czterech bazach, by ograniczyć emisję węglowodorów do atmosfery, a w czterech kolejnych unowocześnimy oczyszczalnie ścieków. Działanie w branży naftowej nie zwalnia nas z troski o środowisko, w którym żyjemy.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl ed1acd778b

Proklamacja Cesarstwa Niemieckiego w styczniu 1871 r. Obraz Antona von Wernera FOT. BISMARCK-MUSEUM FRIEDRICHSRUH

Kto zaczął „politykę spójności”?

Grzegorz Kucharczyk

Pisząc syntezę dziejów Prus, niejednokrotnie przychodziło mi na myśl, że państwo Hohenzollernów może być traktowane jako prekursor UE. Wszak pruska biurokracja to nic innego jak pierwowzór pozbawionej demokratycznej legitymacji, technokratycznej Brukseli, która wie wszystko lepiej

Zróżnicowane terytorialnie Prusy, rozciągające się w XIX w. od Akwizgranu do Kłajpedy, mające w swoich granicach tak zróżnicowane pod względem poziomu rozwoju gospodarczego ziemie jak uprzemysłowione Nadrenia i Westfalia oraz rolnicze Brandenburgia i Pomorze, musiały uprawiać politykę spójności.

I uprawiały. Szerokim strumieniem płynęły „fundusze pomocowe” z Berlina na wschód, „dziki wschód” wymagający ucywilizowania przez sprawną biurokrację. Od 1886 r. przez kolejnych 30 lat zajmowała się dystrybucją tego „funduszu spójności” agencja o nazwie „Komisja Kolonizacyjna”, która dysponując olbrzymim jak na tamte czasy budżetem, dokładała starań, by wyrównywać „szanse rozwojowe” między uprzemysłowionym zachodem monarchii Hohenzollernów a ciągle niedoinwestowanym wschodem, łaknącym nie tylko „funduszy pomocowych”, lecz także uczestnictwa w dobrodziejstwach „wyższej kultury”.

ODZWYCZAJANIE OD „BARBARZYŃSKIEJ WOLNOŚCI”

Zupełnie jak w naszych czasach, gdy Bruksela (albo inna stolica na literę „B”) mówi ustami eurodeputowanych i komisarzy do narodów Europy Środkowej, krnąbrnych Polaków i Węgrów: „Pójdźcie, dzieci, ja was uczyć każę wartości europejskich, a jak uczyć się nie będziecie, to was mama Bruksela i tatko Berlin trochę przegłodzą, aż zrozumiecie, kto wam przynosi kulturę z prawdziwego zdarzenia”. W pruskim oryginale chodziło o etos kulturtregerów, pojętnych uczniów Immanuela Kanta, który po rozbiorach Polski głosił wielkie powołanie Prus jako „państwa – wychowawcy” (Erziehungsstaat) do oduczenia Polaków ich „barbarzyńskiej wolności”, która była przekleństwem tego „nieszczęsnego narodu”. Pruscy kulturtregerzy jako prekursorzy przysposabiania

eprasa.pl ed1acd778b

Polaków – „narodu upadłego" (to Fryderyk Engels z listu do Marksa z 1851 r.) – do uczestnictwa w wartościach europejskich współtworzonych przecież przez takich myślicieli jak Kant zamiast o spójności mówili o konieczności wytworzenia na anektowanych ziemiach polskich „amalgamatu", czyli „stopienia" Polaków z pozostałymi, rdzennie niemieckimi prowincjami Prus.

Osiąganiu spójności poprzez „stopienie" służyć miała germanizacja szkolnictwa i urzędów. O „wspólnej polityce rolnej" w wykonaniu pruskiej Komisji Kolonizacyjnej była już mowa. Ale to nie wszystko. Bywały w różnych europejskich stolicach Otto von Bismarck twierdził nawet, że rozbudowa w Wielkopolsce sieci kolei żelaznych będzie miała walor „spójnościowy" (czytaj: germanizacyjny). Podobnych rezultatów oczekiwano od rozbudowy infrastruktury miejskiej i budynków użyteczności publicznej (muzeów, teatrów, oper) na początku XX w. w Poznaniu oraz w innych miastach zaboru pruskiego pod hasłem „kulturowego podnoszenia Wschodu". Pruskie prekursorstwo w polityce zrównoważonego rozwoju przejawiało się również w specjalnych dodatkach (Ostmarkenzulage – dodatek Marchii Wschodniej") dla urzędników pruskich pracujących na ziemiach polskich, tak aby w ten sposób zachęcić ich do pełnienia zaszczytnej misji „spajania" tych terenów z resztą monarchii.

NIEMIECKI CHADEK O PRUSACH

Takie oto analogie snułem między Prusami a Unią Europejską, ale nie ważyłem się przelewać ich na papier. Oporów pozbyłem się po przeczytaniu opublikowanej w czerwcu tego roku w Niemczech książki pt. „Co nas trzyma razem? Rozwiązania dla społeczeństwa otwartego na migracje". Autor Peter Tauber (rocznik 1974) do niedawna należał do najbliższych współpracowników Angeli Merkel. Tak należy odczytać fakt, że w latach 2013–2018 był sekretarzem generalnym CDU, a w latach 2018–2021 parlamentarnym sekretarzem stanu w niemieckim ministerstwie obrony. Z powodów zdrowotnych Tauber wycofał się z polityki przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi w Niemczech i poświęcił się karierze naukowej.

Tytuł książki chadeckiego polityka jest nieścisły. Myląca jest liczba mnoga w odniesieniu do „rozwiązań" problemów trapiących współczesne Niemcy. Tauber proponuje bowiem tylko jedno rozwiązanie, a nazywa się ono Prusy. Czytając książkę byłego sekretarza generalnego CDU, pozbyłem się obaw, że moje myślenie o Prusach jako prekursorach UE było zbyt odważne. Ważny do niedawna niemiecki polityk pisze przecież o Prusach jako „państwie inkluzywnym", które swoją dewizą uczyniło „gwarancje dla swobodnego rozwoju swoich obywatelek i obywateli", co uprawnia do twierdzenia, że współczesna Bundesrepublika jako „państwo rozsądku" (Vernunftstaat) „jest bardzo podobna do starych Prus, o wiele bardziej podobna, niż nam się zdaje". A poza tym w Prusach „odzwierciedla się różnorodność Europy", a „pruscy królowie myśleli po europejsku znacznie wcześniej, zanim zaczęli myśleć po niemiecku". Polacy, Austriacy, Duńczycy czy Francuzi mogliby coś o tym „europejskim myśleniu" Hohenzollernów powiedzieć.

PETER TAUBER „WAS HÄLT UNS ZUSAMMEN?" WYDAWNICTWO HERDER 2021

PRZYKŁAD CNÓT WSZELAKICH

Zanim o tych „szczegółach" w dziejach Prus, o których autor półgębkiem wspomina jako o „pewnych ciemnych stronach pruskiej historii", przybliżmy sposób uzasadniania przez chadeckiego polityka roli państwa Hohenzollernów jako uniwersalnego wzorca dla problemów politycznych, gospodarczych i migracyjnych współczesnych Niemiec. Tauber zaczyna od apologii Kanta i Hegla jako filozofów, którzy „wymyślili" Prusy, właściwie opisali ich raison d'être, nie tylko dali filozoficzne podstawy pod pruską obowiązkowość (kantowski imperatyw kategoryczny i heglowska apologia „państwa rozsądnego"), lecz także obok Adenauera i Erhardta mogą być traktowani jako ojcowie założyciele Bundesrepubliki. Bez Kanta i Hegla – pisze chadecki polityk – „jest nie do pomyślenia pruskie poczucie obowiązku oraz wnikliwość jako elementy niemieckiego charakteru narodowego".

Książka Petera Taubera jest okraszona cytatami z Fryderyka II, Bismarcka i feldmarszałka Moltkego, przytaczanymi w jak najbardziej afirmatywnym tonie. Prusy dla byłego sekretarza generalnego CDU jawią się jako krynica wszelkiego dobra. „Jakie Prusy mogą być dla nas dzisiaj wzorem?" – pyta Tauber. I zaraz odpowiada: „Wiele z tego, co dzisiaj nas kształtuje, mamy do zawdzięczenia Prusom". Nie tylko filozofię Kanta i Hegla, lecz także samorząd miejski, wolność gospodarczą i rozsądny system podatkowy. Prusy to klucz uniwersalny dla wszystkich państw (społeczeństw), które chciały i chcą podążać drogą modernizacji: „Państwo to, opierając się na oświeceniu i jasnych regułach dla administracji, wymiaru sprawiedliwości oraz wojska, było skonstruowane w taki sposób, że kierujące nim zasady można było wykorzystywać wszędzie".

Można było kiedyś. Można, a nawet należy, także teraz czerpać pełną garścią z pruskich doświadczeń. W tym kontekście Tauber wskazuje na monarchię Hohenzollernów jako prototyp państwa i społeczeństwa otwartego na imigrantów (Einwanderungsgesellschaft). Z uznaniem przypomina w tym kontekście otwarcie pruskich granic przez Wielkiego Elektora (1640–1688) przed hugenotami po odwołaniu edyktu nantejskiego przez Ludwika XIV (1685) oraz przyjęcie przez Fryderyka Wilhelma I protestantów wygnanych z Salzburga. Zaleca naśladowanie pomysłu Fryderyka II, który otwierał swego rodzaju pruskie „biura migracyjne" na zachodzie Europy w celu pozyskania nowych poddanych.

POLSKA? JAKA POLSKA?

Półgębkiem wspomina Tauber w tym kontekście, że za każdym razem chodziło Hohenzollernom o pozyskanie nowych podatników i nowych rekrutów (oraz rodziców przyszłych rekrutów). Całkiem mocno akcentuje natomiast opinię, wedle której Prusy „były do tego stopnia mądrym państwem, że zaprowadziły w możliwie największym zakresie tolerancję wobec różnych religii. W tamtych czasach był to niesłychany i sięgający daleko krok. […] W ten sposób Prusy w XVIII-wiecznej Europie były rzecznikiem wolności wyznania i sumienia obywatelek i obywateli – z jednej strony, a z drugiej strony – zasługującej na dostrzeżenie państwowej tolerancji [wyznaniowej]".

Co prawda, ktoś mógłby powiedzieć, że już od XVI w. to Rzeczpospolita była „państwem bez stosu", że w XVII w., gdy kraje niemieckie pustoszyła wyrosła na tle waśni religijnych wojna trzydziestoletnia (1618–1648), w Polsce odbywały się protestancko-katolickie „colloquia charitativa" (braterskie rozmowy) – np. w Toruniu w 1645 r.; że w XVIII w. bez żadnych problemów zezwalano Tatarom

eprasa.pl ed1acd778b

Mapa Prus w 1877 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

mieszkającym w Rzeczypospolitej na budowę nowych meczetów. Peter Tauber na początku swojej książki podkreśla, że „jedynie oświecone i liberalne Prusy" traktuje jako ważną inspirację dla współczesnej polityki niemieckiej. Czytając jednak tę publikację, nie sposób nie odnieść wrażenia, że Prusy są dla niego tylko takie – „oświecone" i „liberalne".

Apologię monarchii Hohenzollernów tym łatwiej podejmować, jeśli jej historię zna się bardzo powierzchownie. Jak Peter Tauber, któremu plączą się Hohenzollernowie. Nie za bardzo wie, kto był czyim synem, ale z całą pewnością wie, że „pruskiemu państwu całkowicie obojętna była kulturowa tożsamość jego mieszkańców", a „Polacy, którzy w wyniku rozbiorów Polski weszli w jego granice, pozostali Polakami". Tak jakoś im się udało. Mieli przecież łatwo, bo dostali się pod rządy najbardziej tolerancyjnego państwa w całej XVIII-wiecznej Europie (por. wyżej), „a polityczny cel germanizacji Polaków pochodzi z nacjonalistycznych idei cesarskiej Rzeszy".

Tauber nic nie wie o sporządzaniu przez władze pruskie po 1795 r. „amalgamatu prusko-polskiego" na naszych ziemiach. Nie słyszał o Theodorze von Schönie, szefie pruskiej administracji na polskim Pomorzu po 1815 r., który miał ambicje uczynienia „ze Słowian i niewolników ludzi wolnych i Niemców". Zapomniał o Eduardzie Flottwellu, szefie pruskiej administracji w Wielkopolsce (1830–1840) germanizującym urzędy i usuwającym ostatnich Polaków z administracji Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Nie doczytał o ochoczym głosowaniu pruskich liberałów w czasie Wiosny Ludów za zasadą „zdrowego egoizmu narodowego", która nakazała parlamentowi frankfurckiemu (1848) podjęcie uchwały o włączeniu ziem polskich w obręb przyszłej, „oddolnie" (nie przez pruski militaryzm) zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej.

Rozdział poświęcony wyzwaniom współczesnej niemieckiej polityki migracyjnej Tauber otwiera cytatem z króla Fryderyka II o tym, że „wzbogacenie kraju o jednego mieszkańca jest więcej warte niż rozszerzenie jego granic". Tak się jednak złożyło, że w całym długim panowaniu tego Hohenzollerna (1740–1786) jedno z drugim szło w parze. Wzrost liczby poddanych Fryderyk II osiągnął nie dzięki pracy swoich „biur migracyjnych" w Amsterdamie czy Londynie, ale dzięki zdobyczom terytorialnym (Śląsk, ziemie polskie) dokonanym w wyniku agresji ukierunkowanej na państwa sąsiadujące z Prusami. Tego P. Tauber zdaje się zupełnie nie widzieć.

W ŚLADY BISMARCKA I RATHENAUA

To oczywiście budzi zdziwienie i niepokój. Ten ostatni radykalnie zwiększa się po lekturze fragmentów książki poświęconych polityce zagranicznej współczesnych Niemiec. W tym zakresie chadecki polityk domaga się wzięcia przez Niemcy „większej odpowiedzialności za Europę". Jak wiemy, wszyscy Hohenzollernowie myśleli według niego „po europejsku". Podobnie jak wierny sługa pruskiej monarchii, Otto von Bismarck. Parokrotnie Tauber cytuje słowa „żelaznego kanclerza" opisującego swoją rolę w Europie jako „uczciwego maklera". W ten sposób Bismarck określał siebie w przededniu kongresu berlińskiego w 1878 r. obradującego po niedawnej wojnie rosyjsko-tureckiej; kongresu, na którym obowiązywała zasada „wszystko o was bez was" (na berlińskim kongresie w ogóle nie była obecna sprawa polska; tego nie obejmowało portfolio „uczciwych maklerów").

Najlepiej zrobią dążący do „wzięcia większej odpowiedzialności za Europę" niemieccy politycy, gdy wzorować się będą na utworzonej przez Bismarcka w 1871 r. Rzeszy Niemieckiej. Nie chodzi o to, by Niemcy dominowały w Europie na podobieństwo dominacji pruskiej w tamtej cesarskiej Rzeszy, ale przecież – pisze Tauber – „podobnie jak wtedy wielu ludzi w Niemczech – nie tylko elity – godziło się na przewodnią rolę Prus, a nawet chciało im ją narzucić, tak i dzisiaj stawia się w Europie pytanie: »Co powiedzą Niemcy?«. Czy chcemy tego czy nie, inni w Europie oczekują od nas większej odpowiedzialności, a nawet można powiedzieć – przywództwa".

Nie wiem, czy Peter Tauber odsłuchał „berliński hołd" ministra Radka Sikorskiego, ale powoływanie się w tonie afirmatywnym na bismarckowską Rzeszę (skądinąd potępianą przez autora za wzniecenie nacjonalistycznych idei popychających tak tolerancyjne Prusy do germanizowania Polaków) jest samo w sobie bardzo znamienne. Podobnie jak znamienne jest odwoływanie się przez Taubera do postaci Walthera Rathenaua, nazywanego przezeń „ostatnim Prusakiem, który występował przeciw nacjonalistycznej »niemieckiej« Europie i który apelował do europejskiej tożsamości Niemców". Chodzi o tego samego Rathenaua, który jako szef dyplomacji republikańskiej Rzeszy Niemieckiej zawierał w Rapallo w 1922 r. pakt z Sowietami, który poza swoimi oficjalnymi celami (nawiązanie stosunków dyplomatycznych, współpraca gospodarcza) miał na celu – jak mówili niemieccy politycy – „wykończyć Polskę".

OD SPINELLEGO DO BISMARCKA

Swoją książkę Peter Tauber kończy słowami: „W tych [współczesnych] Niemczech tkwi jeszcze cała masa Prus. I dobrze!". Jak dla kogo. Głos byłego sekretarza generalnego CDU jest ważny, ponieważ stanowi jeden z elementów odbrązawiania Prus we współczesnych Niemczech. Ostatnim akordem tej polityki było oddanie w tym roku do użytku w centrum Berlina odbudowanego od fundamentów zamku królewskiego Hohenzollernów jako Humboldt Forum, pomyślanego – pisze Tauber – jako „okno wystawowe światowej nauki i światowej kultury". Jak widać, dla Prus „sky is the limit". Może więc to nie Schuman czy Spinelli są tak naprawdę ojcami założycielami zjednoczonej Europy, ale Fryderyk II i Bismarck?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

ŁAZIENKI
KRÓLEWSKIE

Ursula von Rydingsvard

Tylko sztuka
Nothing but Art

05.10.2021–13.02.2022
Muzeum Łazienki Królewskie
The Royal Łazienki Museum

Współorganizatorzy
Co-organizers

CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Wystawa realizowana dzięki uprzejmości Ursuli von Rydingsvard i Galerie Lelong & Co., Nowy Jork.
Exhibition courtesy of Ursula von Rydingsvard and Galerie Lelong & Co., New York

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu w ramach zadania: Organizacja wystawy Ursuli von Rydingsvard w Polsce
Funded by the Ministry of Culture, National Heritage and Sports. Covering the costs of organizing an Ursula van Rydingsvard's exhibition in Poland

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Mecenas Muzeum
Patron of the Museum

PZU

eprasa.pl ed1acd778b

FOT. ADOBE STOCK

Tyrania ekspertów

Łukasz Warzecha

„Nie dyskutuj z nauką!" – to jedno z najczęściej powtarzanych w ostatnich latach zdań. „Nauka" ma uzasadniać podejmowane przez decydentów decyzje, przyjmowane strategie i forsowane – często wbrew woli obywateli – rozwiązania. Nie godzisz się na nie? Jesteś ciemniakiem, foliarzem, antynaukowym oszołomem

Tak więc „nauka" ma nam mówić, że musimy błyskawicznie zmienić nasz styl życia, radykalnie się ograniczyć, przestać jeździć samochodami na benzynę i przestać jeść mięso, bo w przeciwnym wypadku nasza planeta zginie w męczarniach, a my razem z nią. Ma tłumaczyć, dlaczego trzeba odebrać pełnię praw obywatelskich niezaszczepionym na COVID, dlaczego trzeba się zgodzić na niekończący się korowód kolejnych dawek szczepionki i na to, że paszport szczepionkowy pozostanie z nami na zawsze. Ma tłumaczyć, dlaczego powinniśmy przebudować nasze miasta tak, żeby zaczęły przypominać wieś, a ulice miały najwyżej po dwa pasy. I tak dalej, i tak dalej.

PLAGA EKSPERTOZY

Tak działa ekspertoza – jedna z największych plag dotykających Zachód pierwszej połowy XXI w. Czym jest ekspertoza? To choroba polegająca na – paradoksalnie – zabobonnej wierze w „naukę" i ekspertów, mającej stanowić podstawy do w istocie czysto ideologicznej ekspansji określonych poglądów.

Dlaczego „nauka" można w tym kontekście pisać wyłącznie w cudzysłowie? Otóż nie ma czegoś takiego jak „stanowisko nauki" i nie ma czegoś takiego jak jedna „nauka". Nauka nie jest jakimś jednolitym, wielkim bytem, który wyraża zunifikowany pogląd na każdą sprawę. Nauka to w istocie miliony naukowców, którzy prowadzą własne badania, wyciągają wnioski, mają swoje opinie, poglądy, a także sympatie i antypatie. Również czysto polityczne. Badania mogą wychodzić z różnych założeń, mogą osiągać podobne, ale jednak nieidentyczne rezultaty, a wreszcie ich wyniki mogą zostać ostatecznie obalone przez naukowców, którzy wcześniej pozostawali na marginesie i stanowili głos dysydencki, przytłoczony przez większość. Dlatego też tak modna dzisiaj wiara w tzw. konsensus naukowy jest z gruntu antynaukowa. W nauce nie ustala się prawdy poprzez głosowanie.

Wyrażane przez naukowców opinie – które należy zdecydowanie odróżnić od rezultatów badań – bywają wręcz radykalnie odmienne. To widzimy właśnie w przypadku pandemii. Wiele zależy od tego, czy dany ekspert patrzy jedynie przez pryzmat swojej wąskiej dziedziny czy też umie uwzględnić inne aspekty sytuacji. To drugie zdarza się zdecydowanie rzadziej.

Amerykański guru sanitarystów, Anthony Fauci, był łaskaw stwierdzić swego czasu, że kto nie zgadza się z nim, ten w zasadzie zaprzecza nauce. Problem w tym, że dr Fauci nie ma prawa mówić o sobie niczym Ludwik XIV: „Nauka to ja". Jego radykalnie sanitarystyczne poglądy spotykają poglądy strony przeciwnej, np. wyrażane przez prof. François Balloux, dyrektora Instytutu Genetyki w University College London, który sam określa się na Twitterze jako „wojujący koronacentryk" i daleki jest od bezkrytycznego akceptowania sanitarystycznych rozwiązań. W „Do Rzeczy" przywoływałem też głośny list prof. Güntera Kampfa z Uniwersytetu Medycznego w Greifswaldzie,

eprasa.pl ed1acd778b

który zdecydowanie sprzeciwiał się stygmatyzowaniu niezaszczepionych. Dlaczego opinia prof. Kampfa miałaby być mniej warta niż opinia dr. Fauciego?

NIEBEZPIECZEŃSTWO WYNOSZENIA NA PIEDESTAŁ

W Polsce, jak wiadomo, również ścierają się poglądy teoretyków i praktyków w dziedzinie medycyny. I nie ma znaczenia, że jedni mają oficjalny glejt, a inni funkcjonują bardziej jako dysydenci. Fakt, że ktoś obciążony zresztą konfliktem interesów, zasiada w radzie medycznej przy premierze, nijak nie wpływa na wagę jego poglądów, jeśli zestawi się je z poglądami innego lekarza, cytującego konkretne badania i opierającego się na własnych doświadczeniach.

Wnioski mogą się też mocno różnić na poziomie konkretnych zaleceń lub metod osiągnięcia celów. Tak jest w przypadku zmian klimatu, gdzie mamy do czynienia z jeszcze jedną manipulacją: politycy i aktywiści stwierdzają, iż „nauka mówi nam, że musimy zrobić to i tamto", podczas gdy „nauka" nie tylko nie ma jednolitego stanowiska, lecz także nie formułuje nakazów, bo to rola polityków. Czynią to również media.

To druga ogromna manipulacja, na której zasadza się ekspertoza: tworzenie mylnego przeświadczenia, że z opinii specjalistów wynikają automatycznie zalecenia, jak powinniśmy postępować. Na tym fałszu bazują ludzie chcący za wszelką cenę forsować własne poglądy. W istocie eksperci mogą nam jedynie dostarczyć danych i przesłanek do podjęcia takiej czy innej decyzji, wskazując konsekwencje tej czy innej drogi postępowania. Jednak wybór kursu to już kwestia decyzji politycznej w takim sensie tego słowa, w jakim pojęcia polityki używał Arystoteles.

Weźmy przykład polityki miejskiej. Zwolennicy robienia z miasta wsi będą nam mówić, że jest to jedyna możliwa droga, bo „tak mówią eksperci". Jednak eksperci nie mogą nam wskazać, co jest „właściwe" i czego chcą ludzie. Dlaczego na przykład mielibyśmy uznać, że jedyną możliwą drogą jest wyrzucenie samochodów z miast? Owszem, jednym będzie to odpowiadać, ale innym nie. Wiele osób ceni sobie bardziej możliwość dojazdu na miejsce własnym autem i jest gotowych ponieść koszt w postaci stania w korkach oraz emisji spalin. Którą drogę się ostatecznie wybierze – to już polityka, a nie „wiedza ekspercka".

Warsaw Enterprise Institute wydał właśnie książkę amerykańskiego ekonomisty Williama Easterly'ego „Tyrania ekspertów". Easterly opisuje w niej między innymi, jak w 1974 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii odbierali dwaj ekonomiści o bardzo różnych poglądach na to, którędy narody powinny zdążać do dobrobytu. Byli to Austriak, od lat mieszkający głównie w Wielkiej Brytanii, dokąd wyemigrował po Anschlussie, Fryderyk von Hayek, ikona wolnościowego myślenia, oraz Szwed o mocno etatystycznych poglądach, Gunnar Myrdal. Hayek był zdania, że kluczem do dobrobytu jest pozostawienie ludziom swobody decydowania o sobie. Myrdal przeciwnie – flirtował z myślą o państwowym przymusie, był bowiem zdania, że jest konieczny do budowania narodowej pomyślności.

Jak pisze Easterly: „Jeśli nie da się pogodzić narodowego celu rozwoju z celami wybranymi przez jednostki, to trzeba dokonać wyboru. Jasne było, że Myrdal i Hayek dokonają przeciwnych wyborów. Dla Hayeka […] niedopuszczalne było to, że »jednostka jest jedynie środkiem służącym celom wyższego podmiotu zwanego […] narodem«. […] Różnica między Myrdalem a Hayekiem polegała na tym, że Myrdal uważał, iż tak szeroka władza państwa narodowego i jego nacjonalistycznego przywódcy była czymś dobrym. Rozwój według myśli Myrdala mógł nastąpić tylko dzięki egzekwowaniu przez przywódców takich narodowych celów rozwojowych przy zastosowaniu w razie potrzeby przymusu wobec jednostek".

Tu widzimy, na czym polega niebezpieczeństwo wynoszenia na piedestał ekspertów. Myrdal uznał, że posiadł wiedzę o tym, co prowadzi do – jego zdaniem – dobrych skutków, ale był pewien, że aby te skutki osiągnąć, trzeba ludzi zmusić do określonego zachowania. A więc odebrać im wolność. To kwintesencja każdego systemu totalnego.

Dziś widzimy coś bardzo podobnego i w przypadku walki z pandemią, i w przypadku walki ze zmianami klimatu: część ekspertów – bo przecież nie wszyscy, jako że opinie i poglądy są, jako się rzekło, różne – została uznana za uprawnionych do wytyczania nam drogi, a nie jedynie informowania o danych czy wynikach analiz, bez ich wartościowania. Sprzedaje się to jako jakąś „obiektywną prawdę", podczas gdy jest to tylko zdanie niektórych osób, często wynikające z ich poglądów politycznych.

Opinie odrębne i krytyczne, wyrażane przez obywateli, komentatorów czy część polityków, są wyciszane pod pretekstem tego, że od ekspertów nie pochodzą. To kolejny groźny mit: twierdzenie, że w danej sprawie mogą się wypowiadać jedynie eksperci. Tak, wiedza specjalistyczna jest konieczna, żeby zrozumieć bardziej skomplikowane mechanizmy. Jednak zwykle nie jest potrzebna, żeby dojrzeć szerszy obraz, pojąć konsekwencje danego sposobu postępowania i zobaczyć ich wielowymiarowość. Ba, w tych sprawach typowe dla ekspertów skupienie na własnej dziedzinie może wręcz przeszkadzać zgodnie z zasadą, że jeśli ktoś ma w ręku młotek, to wszędzie będzie widział gwoździe.

Spójrzmy na lekarzy szczególnie chętnie brylujących w mediach od początku trwania epidemii. Wypowiadają się tak, jakby całe państwo było jednym wielkim szpitalem. Nie są w stanie zrozumieć ani dostrzec wszystkich skutków metod, które zalecają, sięgających daleko poza medycynę. Nie rozumieją konsekwencji dla edukacji, stanu psychicznego ludzi, ekonomii, a już z całą pewnością nie rozumieją ich znaczenia dla sfery metapolitycznej, obejmującej sprawy takie jak wolność wyboru.

INFLACJA ZAUFANIA

Najgorszym możliwym rozwiązaniem byłoby pozostawić zarządzanie całością polityki państwa w sytuacji takiej jak obecna właśnie „ekspertom", przez co na ogół rozumie się lekarzy. Wówczas Polska zmieniłaby się w jeden wielki szpital covidowy. Owszem, mogłoby to oznaczać mniej zakażeń i mniej zgonów – tyle że ogromnym kosztem w innych dziedzinach. Tego kosztu jednak eksperci lekarze już by nie zauważali.

Bardzo modnie jest dzisiaj pisać, że ogromnym problemem jest „brak zaufania do nauki". To całkowita bzdura. Problemem nie jest nieufność wobec jakiejś wyimaginowanej „nauki", ale to, że politycy i aktywiści wyspecjalizowali się w narzucaniu ludziom swojej ideologicznej agendy, podpierając się eksperckimi opiniami (właśnie: opiniami, bo nawet niekoniecznie rezultatami badań). To wzmaga nieufność wobec naukowców i sprzyja inflacji zaufania do nich. Ludzie nie są bowiem głupi i wiedzą, a przynajmniej czują, że ekspertoza to tak naprawdę narzędzie przymusu i odbierania im swobody decyzji. Jeśli się na to nie godzą, to grozi im etykietka ciemniaków. Albo wzięcie pod but.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

FOT. BEATA ZAWRZEL / REPORTER

PiS i Unia – miłość nieodwzajemniona

Jan Fiedorczuk

Wbrew swej buńczucznej retoryce PiS jest najbardziej prounijną ekipą, która rządziła w III RP. To paradoks polskiej polityki, ale żaden inny rząd dotąd nie zrobił tyle dla integracji europejskiej

Nie mam wątpliwości, że dla Jarosława Kaczyńskiego wyjście z Unii Europejskiej jest częścią jego strategicznego myślenia – przekonywał niedawno Donald Tusk. Podobnych wypowiedzi po stronie opozycji były w ostatnich latach setki. Warto przypomnieć, że do opuszczenia unijnych struktur nie są potrzebne żadne referendum ani nawet szczególna większość parlamentarna. Do przeprowadzenia polexitu wystarczy zwykła większość w Sejmie, a następnie notyfikacja prezydenta. PiS miał sześć długich lat na przeprowadzenie tej procedury. Skoro się na nią nie zdecydował, skoro zaprzecza takim pomysłom na każdym kroku, to należy założyć, że do żadnego polexitu nikt nie dąży.

W rzeczywistości Jarosław Kaczyński zawsze rękoma i nogami bronił się przed skojarzeniem go z polskimi eurosceptykami. Jeżeli przyjrzymy się suchym faktom i oderwiemy je od emocji towarzyszących bieżącej polityce, to okaże się, że żadna ekipa w historii III RP nie może się pochwalić tak prounijnymi dokonaniami, jak właśnie Prawo i Sprawiedliwość.

PARTIA PROUNIJNA

Już przy samym wejściu Polski do Unii Europejskiej, mimo głośno formułowanych zastrzeżeń i wątpliwości, gdy przyszedł czas decyzji, bracia Kaczyńscy poparli akces Polski. Nie inaczej sprawa wyglądała kilka lat później przy traktacie z Lizbony reformującym Unię Europejską. Traktat przyznawał Unii wiele nowych kompetencji i drastycznie posuwał do przodu proces integracji. Nowe porozumienie było de facto powtórzeniem, odrzuconej dzięki oporowi Francuzów i Holendrów, tzw. konstytucji dla Europy, z której wykreślono zapis wprost mówiący o nadrzędności prawa unijnego nad krajowym. Również wtedy PiS podnosił wiele zastrzeżeń względem nowego porozumienia, aby ostatecznie poprzeć kontrowersyjne rozwiązania. Przypomnijmy, że dokument był ratyfikowany już za rządów koalicji PO-PSL, ale to od PiS zależały jego dalsze losy, gdyż do przyjęcia przez parlament ustawy zezwalającej na ratyfikację traktatu wymagana była większość dwóch trzecich głosów. Posłowie PiS tych brakujących głosów dostarczyli.

Trzeci wielki krok w kierunku integracji europejskiej PiS wykonał w grudniu 2020 r., gdy premier Morawiecki zgodził się na ustalenia europejskiego szczytu dotyczącego Funduszu Odbudowy. Wówczas polski rząd nie tylko dał zielone światło dla tzw. mechanizmu warunkowości (pieniądze powiązane z postulatem „praworządności"), lecz także jednocze-

eprasa.pl ed1acd778b

śnie wyraził zgodę na uwspólnotowienie długu, z którego mają być pokryte europejskie fundusze, jak również na nakładanie przez Unię podatków na obywateli państw członkowskich. Jednocześnie polski premier zaakceptował unijną politykę klimatyczną, której naczelnym postulatem jest osiągnięcie neutralności klimatycznej. Tyle dla idei zjednoczonej Europy nie zrobił ani Donald Tusk, ani Aleksander Kwaśniewski, ani Leszek Miller.

Premier Morawiecki przekonany wówczas, że osiągnął historyczny sukces, zapewniał, że nie ma mowy o powiązaniu funduszy z praworządnością, powołując się na ustalenia Rady Europejskiej. Problem w tym, że TSUE w przeszłości już wskazywał, że tego typu ustalenia nie są wiążące. Obecna przeprawa Polski z KPO jedynie to potwierdza. Nic dziwnego, że zwolennicy likwidacji suwerennych państw narodowych chwalili premiera, jednocześnie ganiąc Solidarną Polskę, która od początku wskazywała na zagrożenia związane z Funduszem Odbudowy. – Pan minister Ziobro mówi, że będzie głosować przeciwko, bo Fundusz to jest federalizacja Europy, krok w stronę europejskiego superpaństwa. Odpowiadam panu Ziobrze: Nie myli się pan, panie ministrze. To jest pogłębienie integracji europejskiej – przemawiał w Sejmie poseł Lewicy Adrian Zandberg podczas debaty na temat KPO.

Jeżeli chodzi o realne decyzje podejmowane przez rządzących, to trudno nie przyznać racji Markowi Sawickiemu z PSL, który stwierdził, że „PiS jest najbardziej prounijną ekipą na przestrzeni ostatnich 30 lat".

Jeżeli prześledzimy wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, to bez trudu dostrzeżemy, że od lat opowiadał się on za pogłębioną integracją kontynentu, czego przejawem jest choćby jego entuzjastyczne nastawienie do idei międzynarodowej podmiotowości Unii oraz powołania europejskiej armii.

– Uważam, że należy dążyć do tego, by Unia Europejska stała się realnym podmiotem polityki międzynarodowej również w sferze militarnej – mówił lider PiS w 2016 r. w rozmowie z „Rzeczpospolitą". Kaczyński przekonywał wówczas, że kraje członkowskie powinny wydawać 2 proc. PKB na europejską armię, którą dysponowałby unijny prezydent wybierany na „długą kadencję". – Taki prezydent powinien mieć ściśle określone, ale jednak mocne uprawnienia, na przykład prowadzić politykę zagraniczną UE wobec tych wielkich podmiotów jak Rosja, Chiny, Stany Zjednoczone, Indie, oczywiście przy zachowaniu polityki zagranicznej poszczególnych krajów – mówił, dodając, że „Europa powinna być supermocarstwem".

PiS chętnie wchodzi w spory z Brukselą, aby grać emocjami wyborców. Sam Kaczyński jednak nigdy nie był eurosceptykiem

Kaczyński opowiada się od lat za Europą Ojczyzn, której imperialne ambicje ograniczałyby się z grubsza do wyzwań geopolitycznych. Problem w tym, że Unii proponowanej przez PiS nikt w Europie nie chce. Dla eurosceptyków ta wizja nadal oznacza uzurpację Brukseli, z kolei dla federalistów jest to postulat niewystarczający – ich marzeniem jest budowa jednolitego imperium, a propozycja Kaczyńskiego oznaczałaby de facto krok wstecz.

OTRZEŹWIENIE?

Od 2015 r. rządzący tylko raz dali skuteczny odpór unijnemu naporowi – zaraz na początku swych rządów, gdy na wokandzie pojawiła się sprawa przyjęcia imigrantów. Premier Beata Szydło postawiła twarde weto w tej sprawie i faktycznie nie dała się złamać. Od tamtej pory PiS regularnie ustępuje Brukseli pola, co jedynie rozzuchwala unijne elity. Wszczynając spór, a następnie ustępując, polski rząd daje Unii pole manewru do poszerzania swych pozatraktatowych uprawnień. Tak było w sprawie Sądu Najwyższego, tak było podczas zeszłorocznego grudniowego szczytu, gdy grożono wetem, tak jest teraz z Izbą Dyscyplinarną. Logiczne byłoby albo nie rozpoczynać kolejnych konfliktów (jeżeli uznano, że Polska nie ma siły ich wygrać) i nie dawać Brukseli pretekstu do ingerencji w polską politykę, albo wprost przeciwnie – otwarcie postawić się unijnym imperialistom, nie ulegać finansowym szantażom i bronić polskiej suwerenności. PiS tymczasem, umyślnie czy też nie, zaprasza Unię do ingerencji w polską politykę wewnętrzną. Dla unijnych elit to gratka, bo taktyką faktów dokonanych mogą przypieczętować swoje pozatraktatowe uprawnienia.

PiS chętnie wchodzi w spory z Brukselą, aby grać emocjami wyborców. Sam Kaczyński jednak nigdy nie był eurosceptykiem. Jego prounijne nastawienie wydaje się uwarunkowane pokoleniowo. Dążenie do Zachodu było dla pokolenia Solidarności aksjomatem politycznym, dlatego też w wypowiedziach rządzących pobrzmiewa autentyczna prounijna nuta. Problem w tym, że jest to uczucie jednostronne i nieodwzajemnione – Unia nie chce Polski Kaczyńskiego, gdyż jedyna Polska, którą akceptuje, to taka, która jest powolna jej imperialnym rojeniom.

Arogancja i buta unijnych elit przez lata nie zachwiały prounijną polityką PiS, jednakże w ostatnich tygodniach, kiedy całe KPO stanęło pod znakiem zapytania, możemy zaobserwować ewidentne zaostrzenie kursu. W wypowiedziach polityków PiS i środowisk okołopisowskich ewidentnie zaczęły pojawiać się eurosceptyczne nuty, których dotąd nie słyszeliśmy. „To jest wojna" – napisał Jacek Saryusz-Wolski na Twitterze, gdy europarlament przyjął kolejną rezolucję przeciwko Polsce. W podobne tony uderzał premier Morawiecki, gdy w rozmowie z „Financial Times" wskazywał, że Komisja Europejska linczując Polskę, może wywołać „trzecią wojnę światową". Z kolei kilka tygodni wcześniej Marek Suski zapewniał, że Polska poradzi sobie z „okupantem brukselskim", a niewiele mniej ostro wypowiadał się wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki, wskazując, że „Brytyjczycy pokazali, że dyktatura brukselskiej demokracji im nie odpowiada. Odwrócili się i wyszli".

W PiS oczywiście nikt nie mówi o powtórzeniu manewru Brytyjczyków, zapewniając, że polexit to wyłącznie kłamstwo opozycji, ale przecież między opuszczeniem struktur UE a dalszym brnięciem w pogłębioną integrację i budowę paneuropejskiego imperium, czego byliśmy świadkami w ostatnich latach, jest cała gama stanowisk mniej lub bardziej prounijnych. Niedawne zaostrzenie kursu być może świadczy o pewnym otrzeźwieniu w szeregach rządzących, którzy do tej pory dość bezrefleksyjnie płynęli w głównym nurcie europejskiej integracji. Podstawowe pytanie brzmi: Czy rzeczone otrzeźwienie jest autentyczne i jesteśmy świadkami narodzin PiS-owskiego eurorealizmu czy też to jedynie kolejna odsłona gry na eurosceptycznych emocjach? Dynamika sporu z Unią już wkrótce zmusi rządzących, by sami dowiedli swych intencji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Samoobrona wileńska: Wigilia z bolszewikami

Jacek Komuda

W grudniu 1918 r. na Wileńszczyźnie zamiast Świętego Mikołaja pojawili się bolszewicy, przynosząc wór niechcianych prezentów: gwałty, rabunki, czerwone komitety oraz komunizm

Koniec roku oznaczał dla Polaków na północno-wschodnich Kresach groźbę przejścia od okupacji niemieckiej do o wiele groźniejszej sowieckiej. Oddziały zajmujące Ober-Ost, czyli tereny odstąpione przez Sowietów na mocy pokoju w Brześciu, miały zostać wycofane. Jednak Niemcy, którzy według postanowień rozejmu w Compiègne pozostali, aby ochraniać Europę Wschodnią przed bolszewikami, prowadzili własną politykę, dążąc do skłócenia zamieszkujących tam narodów – przede wszystkim Ukraińców i Litwinów z Polakami. Tymczasem sowiecka Armia Zachodnia już 17 listopada przekroczyła linię demarkacyjną, aby poprzez opanowanie terenów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego ponieść rewolucję na zachód.

Polacy na Kresach nie mogli liczyć na Wojsko Polskie, nieliczne jesienią 1918 r. i uwikłane w wojnę z Ukraińcami w dawnej Galicji Wschodniej. Dlatego już od kilku miesięcy przygotowywali się do walki prowadzonej własnymi siłami, tworząc oddziały ochotnicze. Na czele Samoobrony Wileńskiej sformowanej rozkazem Naczelnika Państwa, marszałka Józefa Piłsudskiego, 8 grudnia stanął gen. Władysław Wejtko z byłej armii rosyjskiej.

Plany dowództwa na terenie Wileńszczyzny były śmiałe – zorganizować miano 12 oddziałów jazdy broniących regionu przed postępującymi w ślad za armią niemiecką bolszewikami. Ostatecznie udało się utworzyć jedynie cztery, i to cierpiące na braki w zaopatrzeniu. 22 grudnia wszystkie połączyły się w majątku Pośpieszka pod Wilnem, przyjmując nazwę 1. Pułku Ułanów Wileńskich.

Obawiając się, aby Niemcy nie wydali miasta bolszewikom, postanowiono wcześniej przejąć władzę. 28 grudnia pułk przeszedł do koszar na Antokolu i został wzmocniony przez ochotników z powiatu oszmiańskiego. Liczył 25 oficerów, 22 ułanów w trzech szwadronach i cztery ciężkie karabiny maszynowe. Dowódcą mianowano rtm. Władysława Dąmbrowskiego, a zastępcą – jego starszego brata, Jerzego.

Jak podaje Tomasz Strzembosz, oddział składał się z ochotników, głównie synów drobnej szlachty z terenu Wileńszczyzny, chłopów, ziemian i miejscowej inteligencji. Jego tworzenie przypomi-

eprasa.pl ed1acd778b

Wilno, pl. Łukiski, 19 kwietnia 1919 r. Przegląd oddziałów Wojska Polskiego po zajęciu miasta. Za Józefem Piłsudskim idą generałowie: Edward Śmigły-Rydz, Stanisław Szeptycki i Kazimierz Sosnkowski FOT. NAC

nało chorągwie jazdy dawnej Rzeczypospolitej, ponieważ ochotnicy przybywali z własnymi końmi, rzędami i w mundurach dawnej armii rosyjskiej.

Jednak jak czas pokazał, chociaż brutalni i niesubordynowani, okazali się świetnie zaprawieni do podjazdowej wojny prowadzonej na wielkich przestrzeniach Kresów, pozbawionych dróg i mostów. Na koniec szkolenia ułani odbyli uroczystą defiladę na placu Łukiskim. Ksiądz Walerian Meysztowicz, który służył u Dąmbrowskiego, pisał o niej tak: „Na dzielnym kasztanie, przed front jako tako wyrównanej konnej zbieraniny wysadził się Jerzy Dąmbrowski. Chudy, świetnie wrośnięty w siodło na tańczącym kasztanie, z wydatnym nosem, krzywą głową, sterczącymi uszami, z wysadzonymi uszami – wysoko podniósł szablę, osadził konia i palnął niezapomnianą przemowę z trzech słów: »Chłopcy – Ojczyzna – Bolszewicy! Bladź ich mać!«". To zawołanie przeszło do kanonu współczesnej polskiej kawalerii ochotniczej.

WYRĄBAĆ BOLSZEWIKÓW!

Sytuacja w Wilnie przypominała beczkę prochu. Ciągle okupowali je Niemcy, którzy jednak unikali starć, mijając się codziennie z oddziałami samoobrony. Jednocześnie próbowali rozbrajać mniejsze siły polskie w terenie. Nasilała się komunistyczna agitacja i Polacy obawiali się, że wybuchnie rewolucja, gdyż od wschodu zbliżała się Armia Czerwona. 31 grudnia, kiedy siły okupacyjne wycofały się z miasta, rozpoczęły się komunistyczne rozruchy, wzniecane przez miejscowych Żydów, kilkunastu Niemców, wspartych dodatkowo przez przerzuconych do miasta, poprzebieranych żołnierzy i komisarzy z armii bolszewickiej.

Dąmbrowski, dowodzący ułanami i oddaną do jego dyspozycji Legią Oficerską, uprzedził ich jednak. Po całonocnej walce opanował miasto. Komuniści wycofali się na ul. Wronią, gdzie zabarykadowali się w jednym z domów. Po dwudniowym oblężeniu poddali się 2 stycznia; 76 wzięto do niewoli, pięciu popełniło samobójstwo, zginęło trzech. W nocy oddziały POW, skautów i kolejarzy opanowały dworzec kolejowy; w czasie walk Dąmbrowski został lekko ranny.

Niestety, Polacy nie nacieszyli się długo wolnością. Już 3 stycznia nadeszły oddziały Armii Czerwonej. 1. Pułk Ułanów stoczył pierwszą walkę pod Nową Wilejką. Przewaga wroga była tak duża, że oddziały samoobrony wycofały się do miasta, a wieczorem 5 stycznia do Białej Waki. Wokół Wilna panował chaos, gdyż przebywały tu jeszcze oddziały niemieckie, które skrycie sprzyjały bolszewikom i zmuszały do kapitulacji polskie oddziały samoobrony.

Jak podaje Lech Wyszczelski, równocześnie ze starciami z Armią Czerwoną doszło do walk z Niemcami na Wielkiej Pohulance. Wycofujący się z Wilna dowódcy samoobrony – gen. Wejtko i kpt. Zygmunt Klinger – wpadli w Wace Tyszkiewiczowskiej w ręce Niemców i zostali zmuszeni do podpisania kapitulacji. Otóż wszystkie siły miały złożyć broń, którą miano przewieźć do Łap i dopiero tam oddać Polakom. Kapitan Klinger wydał wówczas rozkaz, aby oddziały samoobrony stawiły się w Wace, skąd miały zostać zabrane pociągiem w okolice Białegostoku. Tymczasem Niemcy zaczęli rozbrajać nadciągających Polaków, pakować ich do pociągu i wywozić, jednocześnie wcale nie zamierzali oddawać im broni.

Wieści o takim postępowaniu wzburzyły ułanów 1. Pułku. Podrotmistrz Jerzy Dąmbrowski w porozumieniu ze swoim bratem postanowił zatem, że nie podporządkuje się rozkazom i nie rozbroi oddziału, kontynuując walkę podjazdową przeciwko dwóm wrogom – bolszewikom i Niemcom.

RAJD BRACI DĄMBROWSKICH

6 stycznia oddział wyruszył z Białej Waki przez Puszczę Rudnicką, Ejszyszki, Zabłocie do Jezior. Składał się z 1. Pułku Ułanów, oddziału Legii Oficerskiej, trzech kompanii strzeleckich i jednej kompanii karabinów maszynowych, w sumie ok. 500 piechurów i 200 konnych. Stanisław Cat-Mackiewicz, który służył wówczas pod Dąmbrowskimi, pisał o tych siłach: „Był to oddziałek przypominający archaiczne pospolite ruszenie. W kawalerii byli wyłącznie ziemianie i szlachta zaściankowa na własnych koniach o najrozmaitszych siodłach i najrozmaitszej broni; było tam około siedmiu typów karabinów i wydawano siedem typów ładunków. Piechota składała się z uczniów gimnazjalnych i z robotników wileńskich". Tak rozpoczęła się zimowa epopeja Polaków, w czasie której Jerzy Dąmbrowski wykazał się nie lada pomysłowością, tworząc poprzednik dzisiejszej piechoty zmotoryzowanej. Wsadził bowiem pieszych na zarekwirowane sanie, aby w marszu nie odrywali się od kawalerii.

Tereny przemarszu tylko teoretycznie podlegały władzy Niemców lub bolszewików. W praktyce rządził na nich ten, kto mocniej trzymał szablę i karabin w garści. Oddział będący cały czas w marszu, w środku prawdziwej, a nie dzisiejszej zimy, z temperaturami dochodzącymi do –30 st. C, przez cały czas toczył walki z bandami dezerterów i rabusiów, z komunistycznymi partyzantami. Władysław Dąmbrowski mianował się dowódcą Wileńskiego Oddziału Wojsk Polskich i po drodze przyłączał do niego napotkane siły Samoobrony – jak w Ejszyszkach. W Szczuczynie dołączyły doń dwie formacje – Szczuczyńska i Lidzka. 19 stycznia oddział dotarł do Orla nad Niemnem, gdzie do kompanii Dąmbrowskich przyłączył się Walerian Meysztowicz z Poniewieża, który szedł po tropach oddziału na czele 12 konnych.

Nie wszyscy jednak popierali partyzanckie metody walki dowódców

eprasa.pl ed1acd778b

– 25 stycznia część oficerów z Legii odłączyła się, wyjeżdżając przez Mosty do Łap. Z pozostałymi Dąmbrowscy dzień później przekroczyli Niemen po lodzie i już następnego dnia w Jeziornicy napotkali czerwonych. Pierwszy szwadron Jerzego z zaskoczenia otoczył miasteczko i wziął ich do niewoli. Następnie w ciężkich warunkach i przy tęgich mrozach Polacy uderzyli na Mierzewicze, gdzie wzięto do niewoli 50 Rosjan. Kolejny opór napotkano w Różanach. Ułani Jerzego Dąmbrowskiego przełamali bolszewików, szarżując na rozstawiony na środku miejscowości karabin maszynowy. Wzięto 30 jeńców, cztery konie i całą kancelarię sowiecką. 29 stycznia oddział stanął w Prużanach, odpoczywając po morderczym marszu, przechodząc w czasie trzech dni 175 km – przy ciężkim mrozie – i staczając boje z przeważającym przeciwnikiem.

Jednocześnie cały czas zgłaszali się ochotnicy; największy problem stanowił brak dobrych kulbak, siodeł i rzędów końskich. Częściowo kłopoty te rozwiązał 3 lutego Władysław Dąmbrowski, awansowany już do stopnia majora, który z powodu choroby musiał na jakiś czas odłączyć się od oddziału. Jego wyprawa sama w sobie była awanturniczym rajdem – przebył w dwa konie, razem z luzakiem, drogę z Grodna do Prużan, pędząc przez tereny zajęte przez bolszewików i bandy, wioząc pieniądze dla oddziału. Jak podaje „Zarys historii wojennej 13. pułku", przybył w nowym polskim mundurze wojskowym.

Jednocześnie przyjechały delegacje – niemiecka i ukraińska – z którymi podpisano zawieszenia broni, niedotrzymane jednak wkrótce przez wszystkich. Pertraktacje przypominały bowiem równie niestałe układy z Kozakami i Tatarami w XVII w. Podpisywano je, a jednocześnie cały czas oczekiwano napadu Niemców na Prużany. Rozejm z Ukraińcami złamali sami Polacy – 5 lutego wojsko ruszyło do Linowa i rozbiło stojącą tam kompanię wroga. Na stacji w Linówce zdobyto skład techniczny – park pontonowy, tabory, materiały wybuchowe, skład pocisków, wart 15 mln marek. 8 lutego 3. szwadron zajął Żabinkę, gdzie znajdowały się jeszcze większe magazyny materiałów wojennych. Wkrótce po sukcesie oddział wyruszył w stronę Brześcia na Bugiem, próbując połączyć się z innymi nadciągającymi na Kresy oddziałami Wojska Polskiego. Tuż pod miastem nastąpiło spotkanie ze szwadronami 2. i 5. pułku ułanów. Jednak pomimo radości wojenna epopeja żołnierzy Władysława i Jerzego Dąmbrowskich dopiero się zaczynała.

ZDOBYCIE BRZEŚCIA

W mieście trwało zamieszanie – cytadela była już w rękach polskich, poza nią jednak szalały zdemoralizowane wojska niemieckie – płonęły składy materiałów i żywności. Jednocześnie nadchodzące od zachodu oddziały polskie nie mogły uderzyć, bo dowodzący nimi gen. Listowski zawarł z Niemcami umowę przewidującą oddanie miasta dopiero po 7 lutego i wstrzymał działania wojenne. Panowała obawa, że okupanci wydadzą Brześć Ukraińcom albo pozostawią na łup bolszewikom. Dąmbrowski, zawiadomiony o sytuacji, zachował się jak typowy zagończyk. Ponieważ jego oddział nie zawierał żadnych umów, 9 lutego zaatakował zdemoralizowane wojska Ober-Ostu, wypierając je do stacji kolejowej. W walce zginął kpt. Witold Steckiewicz, wzięto 40 jeńców, zdobyto trzy karabiny maszynowe, samochody, działa i wiele koni.

Po zajęciu Brześcia oddział Dąmbrowskich został zreorganizowany i odtąd działać miał pod nazwą „Dywizjonu Jazdy Wileńskiej". Otrzymał też dwa rosyjskie działa górskie, z których sformowano półbaterię artylerii konnej. Była to kolejna wesoła, kresowa improwizacja. Armaty bowiem pozbawione były przyrządów celowniczych, jednak dzięki czterokonnym zaprzęgom mogły bez trudu towarzyszyć w marszu ułanom. Jednocześnie staraniem Komitetu Obrony Kresów ułani otrzymali częściowo regularne umundurowanie. Legenda zagończyków dotarła wreszcie do Warszawy, dokąd udał się ppor. Józef Fiedorowicz. Wzbudziła entuzjazm posłów sejmowych, kiedy doszły do nich wieści o zajęciu Prużany i Brześcia.

ZAGON NA BARANOWICZE

Wkrótce walki z bolszewikami rozgorzały na całym froncie białoruskim. 25 lutego pod Iwacewiczami dąmbrowszczycy wzięli do niewoli cały szwadron ułanów z sowieckiego Czerwonego Pułku Mazowieckiego. Następnie Dywizja Podlaska, w której składzie działały dawne oddziały Samoobrony, uderzyła na wschód. Jednym z większych sukcesów był zagon i zdobycie Berezy Kartuskiej, którą zajął oddział Dąmbrowskiego, biorąc 80 jeńców, dwa karabiny maszynowe i kuchnię polową. Kolejnym celem stało się zdobycie Pińska. Była to mordercza operacja przeprowadzona w ciężkim terenie Polesia i przy jeszcze gorszej pogodzie. Zaczęła się w trakcie mrozów i zamieci śnieżnych, skończyła w ulewnym deszczu. Ułani razem z piechotą uderzyli na miasto bronione przez artylerię; przez cztery godziny toczyli ciężkie walki, atakując na bagnety. Na stacji spieszona kawaleria polska uderzyła na czerwonoarmistów z szablami, w walce wręcz zdobyła improwizowany pociąg wroga, 200 wagonów i 50 jeńców. Ułani wkrótce dokonali wypadu na stację Leśną, zaskakując wroga, który porzucił kolejny pociąg.

To wszystko było jednak tylko elementem kolejnej operacji – zagonu na Baranowicze, który zaczął się 10 marca. Wojska bolszewickie zagroziły bowiem Dywizji Litewsko-Białoruskiej pod Słonimiem. Zadanie dywizjonu polegało na odciążeniu tych oddziałów poprzez wyprowadzenie uderzenia na tyły wroga. 13 marca dywizjon przełamał front pod Byteniem; 19 marca ułani zajęli Sieniawkę i zdobyli na stacji pociąg wroga. Potem urządzili zasadzkę na kolejny skład wycofujący się z frontu i wykoleili go, niszcząc wcześniej tory. Wysadzono mosty na odcinku Baranowicze – Łuniniec. 15 marca osiągnięto linię Baranowicze – Mińsk i przecięto ruch pod stacją Horodziej. 17 marca dywizjon zajął Nową Mysz na zachód od Baranowicz, następnie wpadł w szyku konnym do miasta, zdobył obydwie stacje kolejowe. Oznaczało to wielkie wsparcie dla pozostałych wojsk polskich, ponieważ już 16 marca pod Słonimiem bolszewicy wpadli w panikę.

Po postoju w Baranowiczach Dywizjon odszedł do Prużan, zluzowany przez 10. pułk ułanów, który jednak oddał miasto bolszewikom. 19 kwietnia, po uzupełnieniach, odbił Baranowicze, a 26 maja przeszedł do Lidy, gdzie został przeformowany. Z kawalerii utworzono regularny 13. Pułk Ułanów Wileńskich, którego dowódcą został Władysław Dąmbrowski, a jego zastępcą Jerzy. Tak zakończyła się wojenna epopeja zagończyków z kresów, rozpoczęła zaś wojenna służba regularnej jednostki, która po wojnie stacjonowała w Nowej Wilejce, stając się jedną z lepszych jednostek Wojska Polskiego. Przeglądając jej wojenne dzieje, należy pamiętać, że nie powstałaby, gdyby nie ofiarność polskich organizacji, takich jak Komitet Obrony Kresów, Polskiej Organizacji Wojskowej, miejscowej ludności, ziemian, kupców, robotników, gimnazjalistów. Wszystkich tych, których organiczna praca i poświęcenie pozwoliły obronić kresy przed bolszewicką nawałą; odzyskać je na prawie 20 lat dla II Rzeczypospolitej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Kardynał Stefan Wyszyński i papież Jan Paweł II
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Czasy przełomu wciąż mają znaczenie

Tomasz Rowiński

To, że książka zawierająca korespondencję papieża Jana Pawła II i prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego, nie wybrzmiała w publicznej debacie, jest świadectwem tego, iż pewne elementy historii Polski tracą znaczenie, niestety także dla części inteligencji

eprasa.pl ed1acd778b

Korpus książki „Czasy przełomu” stanowi 45 listów wymienionych przez Jana Pawła II i kard. Stefana Wyszyńskiego w czasie pomiędzy wyborem papieża z Krakowa a śmiercią Prymasa Tysiąclecia. Od razu dodajmy, że książka ma charakter opracowania naukowego, o co zadbali dr hab. Paweł Skibiński i Rafał Kowalczyk. To oznacza, że pozycja zaopatrzona została zarówno w indeks, jak i noty biograficzne wszystkich postaci. Nie brakuje także uwag redakcyjnych do listów, w których czytelnik znajdzie krótkie opisy poszczególnych dokumentów źródłowych, mówiące o formie powstania poszczególnych tekstów (np. maszynopis), odręcznych notatkach na marginesach itp. Redaktorzy naukowi przygotowali też osobny tekst o zasadach opracowania materiału, co zapewne zainteresuje mniejsze grono czytelników, ale jest jednocześnie przykładem wzorcowej pracy na historycznym materiale źródłowym.

OKRES NIEZWYKŁY

Warto zatrzymać się jednak na drugim z tekstów redakcji naukowej, który nosi tytuł „Ogólna ocena zawartości merytorycznej korespondencji Jana Pawła II i prymasa Wyszyńskiego”. Chciałbym zwrócić uwagę na dwa znajdujące się tam cytaty, które każdemu czytelnikowi powinny dać właściwe spojrzenie na tę książkę. „Nie tylko zawodowy historyk, ale każdy interesujący się losami Polski i świata człowiek musi uznać ten okres [lata 1978–1981 – przyp. T.R.] za niezwykły, a obraz tego czasu, wyłaniający się z treści korespondencji między dwoma wielkimi ludźmi polskiego Kościoła – za istotny” – piszą Skibiński i Kowalczyk. Obaj zwracają także uwagę na inny aspekt korespondencji: „[...] znaczna część listów dotyka bezpośrednio relacji osobistych między Janem Pawłem II a jego wieloletnim mentorem – prymasem Wyszyńskim. Prymas, będący dla Karola Wojtyły ważnym autorytetem, w październiku 1978 r. – z dnia na dzień – stał się jego podwładnym, starał się jednak w jak najlepszy sposób wypełnić zadanie wspierania nowo wybranego papieża, rozpoczynającego właśnie swą niezwykle ciężką posługę”.

Ten osobisty aspekt korespondencji każe nam zwrócić uwagę na jeden z dwóch otwierających książkę tekstów. W krótkim wprowadzeniu prof. Olafa Żylicza zatytułowanym „Okiem psychologa” autor zwraca uwagę, że pewnego rodzaju niedopracowanie językowe listów wskazuje, że ani Jan Paweł II, ani kard. Wyszyński nie brali pod uwagę tego, że korespondencja ta może być kiedyś opublikowana. Pomimo pewnej chropowatości tekstu ma to swoje oczywiste zalety, ponieważ daje nam zarówno wgląd w język, którym prywatnie myśleli obaj duchowni, jak i w łączące ich relacje, przecież także pozaurzędowe.

„W wielu miejscach listy wyrażają wszechogarniającą religijność i pobożność Papieża i Prymasa – tę drugą w bardzo silnie maryjnych tonacjach, która jawi się jako dla obydwu wyjątkowo ważna i bliska, ale też jako przestrzeń ich wspólnego duchowego doświadczenia i języka. Gdy autorzy listów dzielą się swoim życiem duchowym, często opisują je językiem, który obecnie, zwłaszcza dla młodego czytelnika, nawet tego, dla którego religia stanowi centrum życia, zdawać się może miejscami barokowy, nadmiarowy” – pisze prof. Żylicz. Jednocześnie trafnie dodaje, przypisując obu autorom swego rodzaju kryptocytat: „Tacy byliśmy, taka była nasza żarliwa i prosta religijność w fundamentalnym oddaniu misji realizowania dzieł Bożych, z Maryją jako nieustającą orędowniczką w sprawach, któreśmy Jej przedkładali”. Osobista religijność obu świętych ujawnia się zatem jako bardzo bezpośrednia, bezpretensjonalna i niezapośredniczona w nazbyt intelektualnym czy filozoficznym języku, co można uznać za miarę ich osobistego zaangażowanie w wiarę.

„WIELKIE SŁOWA”

Trzeba zwrócić wreszcie uwagę na obszerny tekst byłej premier Polski, a także niegdysiejszej ambasador naszego kraju przy Stolicy Apostolskiej, Hanny Suchockiej, zatytułowany „Wielki przełom, wielkie słowa”. To główny i bardzo interesujący tekst wstępny do zbioru korespondencji. Jest on bezpośrednio poświęcony kwestii przełomu politycznego, który nie został sprowadzony jedynie do dość dobrze znanych wydarzeń, takich jak pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski czy niezwykły impet społeczny, który, także dzięki polskiemu pontyfikatowi, otrzymała rodząca się Solidarność. Suchocka opisuje m.in. zmierzch watykańskiej „Ostpolitik”, która w rzeczywistości osłabiała pozycję Kościoła w Polsce i podważała pozycję kard. Wyszyńskiego w kraju. W znacznej mierze, zdaniem Suchockiej, polityka ta wynikała z ignorancji Stolicy Apostolskiej co do rzeczywistej sytuacji w naszym kraju. Jednak także – moim zdaniem – wskazuje to na pewną tradycyjną orientację Watykanu na uprawomocnione ośrodki władzy politycznej, a nie na – nawet moralnie uzasadnione – ruchy opozycyjne, które często bywały źle kojarzone z rewolucją przeciw stabilności ładu międzynarodowego.

„»Ostpolitik« obejmowała między innymi niedrażnienie władz komunistycznych i w konsekwencji ograniczanie ostrej publicznej krytyki systemu komunistycznego. Konsekwencją »Ostpolitik« były decyzje, które wywoływały kontrowersje, jak na przykład cofnięcie przez Stolicę Apostolską uznania dla istnienia Ambasady RP przy Stolicy Apostolskiej, która reprezentowała rząd londyński” – pisze Suchocka. I dodaje: „W taki sposób pojmowana polityka wschodnia de facto pozwalała na większą ingerencję władz komunistycznych w sprawy Kościoła pod hasłem rzekomej normalizacji stosunków z Watykanem. Powszechne stało się zjawisko infiltracji przez służby wywiadowcze delegacji biskupów na Sobór Watykański II. To pozwala ocenić, że w dużym stopniu zawodziły metody dyplomatyczne stosowane przez Stolicę Apostolską”.

Tekst Hanny Suchockiej jest bez wątpienia najważniejszym kontekstem dla listów Jana Pawła II i kard. Wyszyńskiego, ponieważ pozwala je umiejscowić we właściwym kontekście. Dzięki niemu widzimy szerszą perspektywę napięć pomiędzy Stolicą Apostolską a Polską Ludową w sprawie pierwszej pielgrzymki czy poszukiwanie przez papieża i prymasa najlepszej drogi do przemodelowania relacji Kościoła i państwa w nowych warunkach. Bez kontekstu, który daje ten wstępny esej, nie dałoby się wychwycić różnych kwestii, jak choćby różnicy zdań, która pojawiła się pomiędzy Janem Pawłem II i kard. Wyszyńskim w sprawie konferencji helsińskiej i procesu kształtowania się Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej (OBWE). Kardynał widział dołączenie Watykanu do tego formatu jako ciąg dalszy „Ostpolitik”, która jego zdaniem – jak można sądzić – uwierzytelniała rządy

eprasa.pl ed1acd778b

komunistyczne w Europie. Tymczasem Jan Paweł II widział w siódmej zasadzie Aktu końcowego konferencji helsińskiej, mówiącej o prawie do wolności religijnej, narzędzie nacisku mogące służyć wywieraniu presji w kierunku poprawy sytuacji Kościołów bloku socjalistycznego.

DZIEDZICTWO JANA PAWŁA II

Wróćmy do kwestii przemilczenia książki, która ukazała się dzięki kard. Kazimierzowi Nyczowi – przekazał on archiwum z korespondencją do opracowania i publikacji – a także dzięki wysiłkowi warszawskiego Centrum Myśli Jana Pawła II i wydawnictwa WAM. Dlaczego tak interesująca książka spotkała się w zasadzie z obojętnością publicystyczną?

Z jednej strony jest to zapewne sprawa pokoleniowa – zarówno doświadczenie wyboru kard. Karola Wojtyły na papieża, jak i następujący niedługo potem karnawał Solidarności oddziela od naszych dni wciąż rosnąca przepaść czasu, z drugiej strony oba te tematy-wydarzenia zostały w naszej kulturze dość intensywnie wyeksploatowane i być może z tego powodu nie budzą już takiego zainteresowania.

Warto też zwrócić uwagę, że pewien rodzaj symbolicznej jedności narodowej, który próbowano stworzyć w oparciu o wydarzenia z lat 1978–1981, rozpadł się i jest dziś często odbierany jako nieaktualny. Ostatecznie przecież głęboki podział polityczny, który dziś oglądamy w Polsce, został sprowokowany przez partie – środowiska – które same wywodzą się z tych niezwykłych wydarzeń, które zmieniły Polskę na przełomie lat 70. i 80. Marginalizacja postkomunistów ujawniła głębokie różnice w interpretacji „czasów przełomu”.

Podobnie zarówno dziedzictwo Jana Pawła II, jak i obecność Kościoła katolickiego w polskim życiu publicznym przestały być oczywistością. Słusznie czy nie – wciąż postsolidarnościowa – Polska podzieliła się w ocenie znaczenia – szczególnie moralnego – nauczania katolickiego i publicznej obecności kościelnej hierarchii. Dziś sprawy takie jak prawna ochrona życia, brak rozliczenia się Kościoła z rzeczywistością współpracy części duchownych ze służbami komunistycznymi czy najpierw niechęć, a potem opieszałość instytucji kościelnych wobec przypadków przestępstw seksualnych duchownych, czy wreszcie kwestia tego, czy Kościół we właściwy sposób angażuje się w sprawy publiczne, znajdują się – jeśli tak można powiedzieć – na barykadzie polskich sporów. Sam Jan Paweł II jest w tych sprawach pod ostrzałem i można wręcz powiedzieć, że zarówno w polskim życiu publicznym, jak i w Kościele powszechnym widoczny jest proces „dewojtylizacji”.

Paradoksalnie w obu przypadkach powody usuwania znaczenia Jana Pawła II z życia Kościoła powszechnego i życia polskiego są podobne. Rośnie sprzeciw wobec Dekalogu, które to prawo papież postawił Polakom przed oczyma w roku 1991, podczas trzeciej pielgrzymki do ojczyzny. Uczynił z niego punkt odniesienia do budowania polskiego ładu publicznego. Podobnie zresztą w samym katolickim Rzymie, przy wsparciu papieża Franciszka i jego wewnętrznego kręgu współpracowników, podjęto znaczny wysiłek, by osłabić jednoznaczność kościelnego zaangażowania na rzecz obrony rodziny, nierozerwalności małżeństwa czy małżeńskiej moralności. A przecież papież z Wadowic w swoich sędziwych latach, a także po śmierci był nazywany papieżem rodziny. Ponieważ żyjemy w czasach „cancel culture” przeciwników, głos strony katolickiej z jednej strony przemilcza się, a z drugiej może zbyt prędko uważa się za oczywisty.

Sytuacja kard. Stefana Wyszyńskiego w pamięci publicznej jest w pewnej mierze jeszcze gorsza. Jest czymś oczywistym, że nie byłoby pontyfikatu Jana Pawła II bez doświadczenia powojennego Kościoła w Polsce, któremu przewodził Prymas Tysiąclecia. Wyszyński potrafił z jednej strony dać Kościołowi wiele społecznej niezależności, z drugiej strony – gdy patrzymy na jego rządy z coraz większego dystansu – dostrzegamy, jak sprawnym był politykiem, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jego koncepcje narodu i Kościoła, które formułował w swoich pismach, przełożyły się na niezwykłą formę koegzystencji z państwem komunistycznym, która jednocześnie była nacechowana asertywnością i oporem, często przyjmowanym bez zrozumienia przez Stolicę Apostolską.

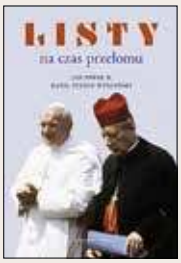

JAN PAWEŁ II, KARD. STEFAN WYSZYŃSKI „LISTY NA CZAS PRZEŁOMU” WYDAWNICTWO WAM 2021

Wyszyński wydaje się dziś, owszem, historyczną ikoną, ale jednocześnie postacią praktycznie nieznaną. To nie przypadek. Obrządek intelektualnego życia katolickiego w Polsce w latach powojennych został uformowany przez lewicujące – szczególnie od lat 50. – środowiska katolickiej inteligencji, które grupowały się wokół pism takich jak „Tygodnik Powszechny”, „Znak” czy potem „Więź”. Środowiska te pozostawały z Wyszyńskim w niemal stałym sporze – czy to jeśli chodziło o stosunek do Soboru Watykańskiego II, czy polityki. Gdy prymas zawsze podkreślał, że np. poselskie koło Znak powinno działać w oparciu o ideową podstawę katolickiej nauki społecznej, inteligenci stali na potencjalnie sekularnym stanowisku przykrajania stanowiska katolickiego do ram „praw człowieka”. Ten spór okazał się z czasem zasadniczy. Lewa nawa katolicyzmu do tego stopnia utożsamiła się z prawami człowieka, że dziś, gdy obserwujemy swoistą rewolucję tych praw, gdy przestają mieć one związek z tym, co zostało wyrażone w Powszechnej deklaracji praw człowieka z 1949 r., przedstawiciele tej nawy po prostu porzucają naukę katolicką. Dzieje się tak nie tylko w obszarze polityki, lecz także przenika do życia kościelnego. Krótko tu można wskazać na takie kwestie jak ochrona życia czy stosunek do homoseksualizmu.

Tak jak pisma Jana Pawła II były nieustannie popularyzowane przez mające znaczące oddziaływanie wydawnictwa środowisk inteligencji katolickiej, tak Wyszyński był spychany w cień. Można dziś zapytać: Czy gdyby solidaryzm rozwijany przez kard. Wyszyńskiego był obecny w publicznym krwiobiegu po roku 1989, nie ustrzegłby katolików przed zbytnim zachłyśnięciem się liberalizmem, który narracyjnie został wtedy powiązany z „religią” praw człowieka?

„Listy na czas przełomu” wciągają. Wciągają w wir pytań o współczesną Polskę, o jej założycielskie opowieści, które powstały po roku 1989. Świetnie opracowana książka z korespondencją Jana Pawła II i kard. Wyszyńskiego pokazuje złożoną ciągłość pomiędzy „wtedy” a „dziś” i może też pomóc czytelnikowi w uzyskaniu lepszego oglądu własnego stosunku do katolickości i Polskości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Teresa Torańska była mistrzynią rozmów politycznych, autorką wyjątkowej książki „Oni”

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

eprasa.pl ed1acd778b

Grupa krwi Teresy Torańskiej

Krzysztof Masłoń

Torańska, która odsłoniła przemyślenia starych komunistów, żałowała, że nie zrobiła szczerego wywiadu z Donaldem Tuskiem. Wśród najlepszych rozmówców wymieniała Jarosława Kaczyńskiego, choć go nie lubiła

Przy okazji pokazanego tuż przed rocznicą wprowadzenia w Polsce stanu wojennego fragmentu filmu z wdzięczącym się do Wojciecha Jaruzelskiego Adamem Michnikiem przywołane zostało nazwisko Teresy Torańskiej, która 20 lat temu przeprowadzała z generałem rozmowę, do której ochoczo – co możemy stwierdzić naocznie – włączył się redaktor „Gazety Wyborczej”. Warto przypomnieć sylwetkę tej dziennikarki uznanej za mistrzynię rozmów politycznych, autorkę zupełnie wyjątkowej książki „Oni”.

Pisała ją od jesieni 1980 do końca 1984 r.; pierwsze wydanie ukazało się w podziemnym Przedświcie. To był największy bestseller tej oficyny, więcej – jeden z największych czytelniczych przebojów „drugiego obiegu”. A wywiady te, z działaczami komunistycznymi – Jakubem Bermanem, Wiktorem Kłosiewiczem, Edwardem Ochabem, Stefanem Staszewskim, Romanem Werflem oraz Julią Mincową i Leonem Chajnem – po edycji emigracyjnego „Aneksu” przetłumaczone zostały na kilkanaście języków, trafiły do bibliotek publicznych i do programów studiów na wyższych uczelniach.

Co złożyło się na gigantyczny sukces książki? Po pierwsze, Torańska wywołała duchy czy – jak kto woli – demony przeszłości, skłaniając do rozmów ludzi, niegdyś z pierwszych stron gazet, potem jednak bezapelacyjnie – zdawałoby się – skazanych na milczenie, wykreślonych z pamięci narodowej, w której jeśli się zapisali, to wyjątkowo złą sławą. Komuchów z żelazobetonu, stalinowskich zombi, zaprzańców. „Wcześniej ICH nie znałam – wspominała Torańska. – W mojej rodzinie nie było ani jednego komunisty, nikt nie należał do partii, a do mojego rodzinnego domu przychodzili wyłącznie kresowiacy z Wileńszczyzny, Wołynia czy z Odessy, którzy system sowiecki poznali w łagrach, na zesłankach i podczas przesiedleń”. Jej rodzice byli nauczycielami. Matka, Eleonora Bernatowicz, uczyła języka francuskiego. Ojciec, Longin, w czasie drugiej wojny światowej został przez Sowietów zesłany na Syberię do gułagu w Mołotowsku, skąd zwolniono go w 1948 r. Jej dziadka, carskiego oficera, zastrzelili bolszewicy, wuja zamordowali w Charkowie. Dom, o którym opowiada, był już w granicach powojennej Polski, w Białymstoku. Ona zdążyła się jeszcze urodzić w Wołkowysku, na dzisiejszej Białorusi – 1 stycznia 1944 r.

Czym „Oni” wyróżniali się jeszcze? Otóż, autorka tych rozmów (nie lubiła słowa „wywiad”) nie kryła wcale swojego negatywnego stosunku do komunizmu, nie łasiła się do swych interlokutorów, przeciwnie – skakała im do oczu, choć umiejętnie potrafiła rozładowywać napięcia i gdy już nadmiernie w trakcie spotkania iskrzyło, zmieniała temat, ocieplała atmosferę pytaniem mniej zasadniczym, a bardziej osobistym. Po części też udawała swoją niewiedzę w poszczególnych kwestiach, a po części – nie można tego wykluczyć – rzeczywiście o wielu sprawach nie wiedziała. W efekcie grała trochę przed rozmówcami rolę pierwszej naiwnej, co oni łykali z poczuciem wyższości charakterystycznym dla wszystkich, ale to wszystkich, wtajemniczonych, tworzących kastę tych, którzy wiedzą więcej.

Wreszcie, co nie bez znaczenia, pozwalała Teresa Torańska tym wszystkim Bermanom i Werflom wygadać się; znosiła najbardziej piramidalne głupstwa płynące z ich ust, świadoma tego, że z każdym zdaniem pogrążają się bardziej i bardziej.

SPOJRZEĆ W OCZY TUSKOWI

„Oni” mają wyraźną cezurę czasową, zamkniętą rokiem 1956. Autorce pozostały wywiady przeprowadzone z upadłymi politycznymi „gwiazdami” lat późniejszych: z Arturem Starewiczem, Jerzym Morawskim, Walentym Titkowem. Wraz z rozmowami, z relacjami, z późniejszymi spotkaniami – z Arturem Hajniczem, Jerzym Pomianowskim i Samuelem Sandlerem – złożyły się na wydany już po śmierci Teresy Torańskiej tom pt. „Aneks”. Nieporównywalny z „Onymi”, zawierający jednak ciekawe fragmenty, choćby ustęp o edukacji Sandlera, przyszłego profesora slawistyki w Tel Awiwie i Chicago, który karierę naukową rozpoczął od pracy w bezpiece, a dokładnie w cenzurze wojennej Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

A Torańska rozgadała się na dobre. Powstały takie jej książki jak: „My” (Most, 1994) [rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim, Piotrem Szczepanikiem, Jackiem Merklem, Wiktorem Kulerskim, Janem Rulewskim, Leszkiem Balcerowiczem, Janem Krzysztofem Bieleckim], „Byli” (Bertelsmann Media, 2006) [rozmowy z Jerzym Urbanem, Józefem Tejchmą, Kazimierzem Kąkolem, Wojciechem Jaruzelskim], „Są. Rozmowy o dobrych uczuciach” (Świat Książki,

eprasa.pl ed1acd778b

Kadr z filmu Torańskiej „Noc z generałem”
FOT. TVP

2007), „Jesteśmy. Rozstania ’68” (Świat Książki, 2008), „Śmierć spóźnia się o minutę. Trzy rozmowy Teresy Torańskiej: Bristiger, Głowiński, Rotfeld” (Agora, 2010). W telewizyjnej Dwójce prowadziła talk-show „Teraz Wy”.

Po katastrofie smoleńskiej postanowiła zmierzyć się także z tym palącym tematem, przeprowadziła w tym celu wiele rozmów, wywołujących już jednak polemiki i protesty, kwestionowano bowiem obiektywizm autorki, wyraźnie opowiadającej się po antypisowskiej stronie sporu dzielącego Polskę. W rocznicę katastrofy przeprowadziła wywiad z Bronisławem i Anną Komorowskimi, a niedokończony „Smoleńsk” wydał w końcu Paweł Szwed w swoim wydawnictwie Wielka Litera we wrześniu 2013 r. Autorka nie żyła od dziewięciu miesięcy, zmarła w Warszawie 2 stycznia 2013 r., dzień po swoich 69. urodzinach. Dwa lata wcześniej zdiagnozowano u niej raka płuc.

W grudniu 2012 r. przeprowadzający z nią bodaj ostatni wywiad Remigiusz Grzela spytał, z kim chciałaby porozmawiać, komu chciałaby spojrzeć w oczy, jak przed laty starym komunistom w „Onych”.

– Oj, wielu osobom – odpowiedziała. – Bardzo bym chciała spojrzeć w oczy Tuskowi. Patrzę na niego i widzę, jak się zmienia. Tusk to był fantastyczny chłopak, wesoły, dowcipny, to był taki facet obok polityki, w dżinsach. Nawet kiedy był wicemarszałkiem Senatu, chodził w dżinsach. Miał coś jasnego w sobie, patrzył prosto w oczy. Od dwóch, trzech lat widzę, jak zaczyna patrzeć spode łba, z niepokojem, czy coś nie spadnie mu na głowę. Ma w sobie coś czujnego i z taką czujnością spogląda na świat, jak gdyby się go bał. Takie mam przeczucie. Bardzo chciałabym zrobić z nim długą rozmowę.

Do rozmowy takiej nie doszło. Trochę szkoda, chociaż… od dłuższego już czasu ten człowiek – cytując „Misia” Barei – nie powiedział słowa prawdy.

CO U TOWARZYSZA SŁYCHAĆ?

„Dziennikarstwo to moja potrzeba życia, moja grupa krwi. Codziennie mnie pobudza. Od nowa” – mówiła. A początki jej drogi dziennikarskiej wcale nie wskazywały na to, że kiedyś nazywana będzie „polską Fallaci”. Zawodu uczyła się w „Argumentach”, a było to wyjątkowo wredne piśmidło Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, taki polski „Bezbożnik”, który wspominała jednak nie najgorzej, a to ze względu na osobę Jerzego Ambroziewicza. Ten późniejszy redaktor naczelny „Dziennika Telewizyjnego” i korespondent radia i telewizji we Włoszech po tym, jak papieżem został Karol Wojtyła, ale wcześniej współautor sławnego artykułu „Po Prostu” – „Na spotkanie ludziom z AK”, był rzeczywiście, niezależnie od swych partyjnych koneksji, wytrawnym redaktorem i mógł imponować młodym adeptom sztuki dziennikarskiej.

Następnie pracowała w miesięczniku „Światowid”, wydając przewodniki po NRD. W połowie gierkowskiej dekady dostała etat w „Kulturze” (oczywiście warszawskiej), gdzie zasiliła mocny wtedy dział reportażu. Zatrudniona była tam do stanu wojennego, weryfikacji bowiem nie przeszła, ba, nawet się na nią nie zgłosiła. I wtedy, mając raptem sporo wolnego czasu, wpadła na pomysł, by odwiedzić starych komunistów i zadać im to samo pytanie, które kilka lat wcześniej postawił hitlerowskim zbrodniarzom Krzysztof Kąkolewski: „Co u pana słychać?”. Nie wiedziała jeszcze, że zostanie pouczona – przez Julię Minc – iż prominenci z epoki żelaza i marmuru to nie żadni „panowie”, tylko „towarzysze”.

Po napisaniu „Onych” wyjechała do Paryża, po czym wyniosła się za wielką wodę, gdzie była stypendystką Cambridge, a jej partner życiowy, ekonomista Leszek Sankowski, pracował w Funduszu Walutowym. Wzięli ślub w roku 1988. Do Polski tak już na złe i dobre, na stałe powrócili dopiero 10 lat później. Ale obecni byli przez cały czas, a Torańska pisała i do nowojorskiego „Dziennika”, i do paryskiej „Kultury”, i do „L’Osservatore Romano”, by w końcu usytuować się w „Gazecie Wyborczej”, a w ostatnim czasie publikować w „Newsweeku”, już Lisowym. Do zamieszkania na osiedlu domków jednorodzinnych na Zaciszu namówił ją ponoć przyszły sąsiad, Leszek Balcerowicz.

Była współautorką filmów dokumentalnych: „Noc z generałem” (2004), „Dworzec Gdański” (2007) – oba w reżyserii Marii Zmarz-Koczanowicz; „Było i już” (2002) w reżyserii Feliksa Falka oraz filmu dla BBC „Changing the guard” (1990) w reżyserii Petera Bate’a, o początkach demokracji w Polsce.

Spotykała się z dowodami uznania. Za książkę „Oni” dostała Nagrodę Solidarności w 1986 r. i Nagrodę im. Ksawerego Pruszyńskiego przyznawaną przez Polski PEN Club (2000). W 2005 r. otrzymała Nagrodę im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad prasowy, a była nim rozmowa z gen. Wojciechem Jaruzelskim opublikowana 13 grudnia 2004 r. W 2001 r. odznaczona została Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, po śmierci Bronisław Komorowski przyznał jej Krzyż Komandorski OOP.

TRZYMAJĄC SIĘ ZA RĘCE

Po śmierci Teresy Torańskiej jej archiwa – zapiski, notatki, taśmy magnetofo-

eprasa.pl ed1acd778b

nowe i filmy VHS – miały trafić do USA, do Instytutu Hoovera (dodam: jak prawie wszystko, co jest ważne dla naszej historii najnowszej). Jednak tym razem służba celna zatrzymała je na lotnisku Okęcie w 2020 r. i powiadomiła Instytut Pamięci Narodowej o ich zabezpieczeniu. IPN zgłosił się po nie.

To właśnie wśród tych materiałów były fragmenty filmu pokazanego 9 grudnia w TVP1 w „Magazynie śledczym Anity Gargas". Ujęcia te powstały w trakcie realizacji „Nocy z generałem", dokonanej przez Teresę Torańską i Marię Zmarz-Koczanowicz 21 lat temu w domu Wojciecha Jaruzelskiego. Podczas gdy Torańska rozmawiała z generałem, a Zmarz-Koczanowicz to kręciła, w domu przy ul. Ikara 5 pojawił się (naturalnie przypadkiem przechodzący – z tragarzami) Adam Michnik, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej". Jak mogliśmy zobaczyć, obejmował Jaruzelskiego, trzymał go za rękę, zapewniając: „Ja go kocham" oraz „Dla mnie generał jest polskim patriotą i zawsze nim był".

Do filmu, pokazywanego w swoim czasie w TVP i istniejącym na YouTube, akurat ten fragment (no jasne, tak się złożyło) nie wszedł. Teraz redakcja „Wyborczej" użala się, że IPN – bezprawnie – przekazał te materiały do TVP i dzięki temu Gargas mogła zrobić swój program, w którym oskarża Michnika o „zdradę elit". Zdaniem redakcji „Gazety" IPN powinien oddać zbiory Torańskiej Leszkowi Sankowskiemu (a dlaczego nie od razu Adamowi Michnikowi, kryształowemu wzorcowi moralności publicznej, etyki zawodowej, słowem: mężowi nieograniczonego niczym zaufania?).

Reżyserka materiału z 2001 r. Zmarz-Koczanowicz także uważa, że TVP wykorzystała jej pracę bez jej zgody. A powszechnie postponowanego za uściski z generałem Michnika postanowił wesprzeć niezawodny w takich wypadkach Tomasz Lis.

Najbardziej zabawne jest to, że na publikację materiału stawiającego niegdysiejszą ikonę Solidarności w jak najgorszym świetle najgłośniej oburzają się ci, którzy na co dzień wolnością słowa szermują bez opamiętania. Przy tym dobrze wiedzą, co robią. W końcu po ujawnieniu sławnych nagrań z restauracji Sowa i Przyjaciele karę ponieśli nagrywający – nikt inny. Na polski wymiar sprawiedliwości kto jak kto, ale tacy jak szef „Wyborczej" czy gaduły ze sławnej restauracji zawsze mogą liczyć.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

Torańska twierdziła, że jej najlepszymi rozmówcami byli Stefan Staszewski i… Jarosław Kaczyński. „Byłam z nim na strajku w Stoczni Gdańskiej w 1988 r. – wspominała. – Kierownictwo strajku spało w oddzielnej sali. Wałęsa na swoim styropianie blisko okna, a bracia Kaczyńscy pod stołem. Rano przychodzili do nas do stołówki i opowiadali anegdoty. Bardzo byli zabawni. Jarek bardziej. Umiał powiedzieć anegdotę, był złośliwy, błyskotliwy. Replikował, wdawał się w spory, ironizował. Zaciekawiał sobą. A ponadto rozumiał, że rozmowa musi mieć dramaturgię, że nie może być po prostu ciągiem pytań i odpowiedzi, lecz zamkniętą całością, posiadającą wewnętrzną konstrukcję. Spotykałam się z nim kilkanaście razy.

Wśród materiałów zatrzymanych przez IPN na lotnisku były fragmenty nagrań, które nie weszły do „Nocy z generałem"

Pamiętam, kiedy kończyliśmy autoryzację, było już po północy. Przyszedł Lech Kaczyński i mówi: »Jarek, co ty wyprawiasz, przecież ona cię zrobi w konia?«. Na co Jarosław odparł: »Daj spokój, poradzę sobie«. Ale potem chyba ktoś mu powiedział, że za bardzo się odsłonił, za dużo powiedział, i się na mnie obraził. I uznał, że jestem jego wrogiem".

No, przyjaciółką jego nie była. Porównywała rządy PiS do władzy Gomułki w 1968 r., a Kaczyńskiemu osobiście zarzucała nienawiść i zaciekłość. Po tym, gdy zgłosił pretensje odnośnie do sposobu autoryzowania przez nią wywiadu, napisała: „Zgadzam się, że gdyby przeprowadzał pan wywiad sam z sobą, to byłby to inny wywiad i Torańska byłaby niepotrzebna. Wystarczyłby Piotr Zaremba".

Chodziło o wypowiedź prezesa PiS, który zarzucił dziennikarce, że zmanipulowała wywiad z nim opublikowany w książce „My". Wśród rozmówców – działaczy opozycji, którzy przejęli władzę po 1989 r. – był też Jarosław Kaczyński, który w toku rozmowy powiedział o sobie m.in., że chciałby zostać „emerytowanym zbawcą narodu". Na zarzuty o manipulację i brak autoryzacji Torańska odpowiedziała listem otwartym i pokazała film, na którym Kaczyński autoryzuje wywiad i nawet wybiera swoje zdjęcia do książki. Materiał, który wyniósł i rozpowszechnił ściśle związany z SLD redaktor Jan Ordyński, dostępny jest na YouTube i każdy, kogo polska polityka obchodzi, dawno go obejrzał. Obecnie przypominany jest tylko dlatego, by odwrócić uwagę od zupełnie innej rozmowy również przeprowadzonej przez Teresę Torańską. Tej z gen. Jaruzelskim.

Dziennikarka w lutym 2012 r. zwróciła się do Jarosława Kaczyńskiego w pełnych emfazy słowach: „Wybaczam Panu wszystkie nieprawdziwe słowa, które wypowiedział Pan pod moim adresem. Tłumaczę to sobie Pana intelektualną potrzebą ciągłej reinterpretacji przeszłości wedle orwellowskiej zasady: »Kto rządzi przeszłością, w jego rękach jest przyszłość«".

Cała sprawa, w której odmieniano „prokuraturę" przez wszystkie przypadki, skończyła się – oczywiście – niczym. „Koleżanki z podziemia" o nic w efekcie nie oskarżono, co powtórzyło się zresztą później, gdy wywiad z Adamem Bielanem, który wszedł następnie do „Smoleńska", ukazał się nie na tych łamach, na których spodziewał się go zobaczyć bezpośrednio zainteresowany. A niby gdzie miał zostać opublikowany? Teresa Torańska ze środowiskiem Adama Michnika zrośnięta była wyjątkowo mocno.

W 2008 r. wydała sążniste tomiszcze o emigrantach z 1968 r.: „Jesteśmy. Rozstania '68". W tych rozmowach nie znajdziemy nawet mikroskopijnego śladu tego dziennikarskiego pazura, który pamiętaliśmy z „Onych". Torańska przeprasza tu, że jest Polką, roni łzy nad „wypędzonymi", dzieli ich racje. Czy brało się to z tego, że – jak utrzymuje Anna Bikont – była ona „szalenie emocjonalną osobą"? W każdym razie dość powszechne było zadowolenie, że nie napisała książki o Irenie Sendlerowej, do której się przymierzała, bo wtedy to, że ratująca dzieci bohaterka po wojnie wprowadzała w życie różne stalinowskie zarządzenia, zostałoby przemilczane. Dla dobra sprawy… Tak jak zdarzało się Torańskiej kłamać, że jest Żydówką. Bo pianistką chciała być naprawdę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wyklęci kontra ubecy

4 sierpnia 1945 r. W zachodniej Europie od kilku miesięcy panuje pokój. Ale nie w Polsce. Ulice pogrążonych w ciemności Kielc przemierza grupa żołnierzy w rogatywkach. Są uzbrojeni w broń maszynową i granaty. Zdeterminowani. O godz. 23.45 podchodzą pod gmach więzienia.

– Zdjąć wartowników! – pada krótki rozkaz.

Partyzanci otwierają ogień. Kule zasypują dwóch stojących przed bramą ubeków. W ślad za pociskami sypią się granaty. Ale potężne, metalowe drzwi nie ustępują. Rozpoczyna się zażarta bitwa. Inna grupa partyzantów trzyma w szachu stacjonującą w pobliżu jednostkę Armii Czerwonej, ostrzeliwując koszary. Bolszewicy nie mogą przyjść na odsiecz oblężonemu więzieniu.

Wreszcie kolejny granat robi wyłom w bramie. Partyzanci wdzierają się do środka. Wbiegają na korytarze więzienne, ale okazuje się, że cele są zamknięte klucz. Kluczy nie ma. Wysadzają więc zamki trotylem. Udaje im się wyzwolić niemal wszystkich osadzonych. 354 więźniów. Kolumna bezpiecznie opuszcza Kielce.

To najbardziej spektakularna scena nowego komiksu z IPN-owskiej serii „Wilcze tropy" Sławomira Zajączkowskiego i Krzysztofa Wyrzykowskiego. To duet znakomicie znany czytelnikom „Historii Do Rzeczy". Krzysztof Wyrzykowski jest autorem wszystkich okładek naszego miesięcznika.

Nowy komiks dotyczy niesamowitych przygód Antoniego Hedy „Szarego". Jednego z najbardziej bojowych dowódców żołnierzy wyklętych. Rozbicie więzienia w Kielcach było jego najsłynniejszą akcją. I jednym z największych sukcesów powojennego podziemia antykomunistycznego.

Jak zwykle w przypadku Zajączkowskiego i Wyrzykowskiego komiks doskonale oddaje realia epoki. Odrapane ściany kamienic, ponure ubeckie kazamaty i leśne partyzanckie obozowiska. Cała galeria niesamowitych typów: z jednej strony wyklęci, z drugiej ubecy, sowieciarze, a nawet wyuzdana komunistka alkoholiczka z wyeksponowanym biustem.

Przemoc, wódka i wielkie ludzkie tragedie. Heroizm i podłość. Wierna służba ojczyźnie i zdrada na rzecz czerwonego okupanta. Kolejny odcinek „Wilczych tropów" zawiera w sobie wszystko, co powinna zawierać dobra opowieść. Na tej serii jeszcze nigdy się nie zawiodłem. ©℗

★★★★★★

SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI, KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
„WILCZE TROPY", T. 6 – „ANTONI HEBA »SZARY«"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dlaczego 25 grudnia?

Niewiele osób wie, że data dzienna Bożego Narodzenia została przyjęta przez Kościół dopiero 300 lat po śmierci Chrystusa. Ewangeliści nie podali dnia, w którym Jezus się narodził (data roczna też jest sporna), zatem początkowo obchodzono Boże Narodzenie 6 stycznia, 19 kwietnia, 20 maja czy 17 listopada. Pierwsi chrześcijanie dużo większą rolę przykładali bowiem do męczeńskiej śmierci i zmartwychwstania Zbawiciela niż do jego narodzin.

25 grudnia był zaś uważany za dzień urodzin Mitry, indoirańskiego bóstwa słońca, którego kult w II w. n.e. rozpowszechnił się w basenie Morza Śródziemnego. Rzymianie przejawiali synkretyzm religijny, adaptowali lokalne kulty do swoich potrzeb, w efekcie wschodnia religia stopiła się z kultem Apollona i Heliosa. Dzięki temu powstało nowe bóstwo, Słońce Niezwyciężone (Sol Invictus), a jego czcicielami stali się niebawem rzymscy władcy. Pierwszym znanym cesarzem, który stał się wyznawcą bóstwa, był znany z „Gladiatora" Kommodus, a kult osiągnął takie znaczenie, że w 274 r. Aurelian oficjalnie ustanowił święto narodzin bóstwa na 25 grudnia i rzymskim obyczajem zarządził, by tego dnia odbywały się igrzyska. Kult Słońca Niezwyciężonego był silny zwłaszcza w szeregach armii, a jego wyznawcą przez długie lata był także Konstantyn Wielki. To na jego polecenie w 321 r. wprowadzono Dzień Słońca, czyli dzisiejszą niedzielę, a pozostałości cesarskiego ustawodawstwa są do dziś widoczne w wielu językach europejskich (niemieckie Sonntag, angielskie Sunday).

Mitraizm i chrześcijaństwo rywalizowały o wpływy na terenie imperium, jednak z czasem zwycięstwo zaczęło przechylać się na stronę wyznawców Jezusa. Dlatego władze kościelne wykorzystały to, że 25 grudnia był od wielu lat uważany za dzień świąteczny, i ogłosiły go datą narodzin Chrystusa. Oficjalnie włączono ten dzień do kalendarza liturgicznego, a konkurencja ze strony czcicieli Słońca Niezwyciężonego stosunkowo szybko zniknęła, szczególnie że za panowania cesarza Teodozjusza (392 r.) chrześcijaństwo stało się religią państwową. ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD WTORKU W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO!

Andrzej Brzeziecki – **Żychoń: superszpieg II RP**
Tomasz Stańczyk – **Tragedia majora Sosnowskiego**
Arkadiusz Karbowiak – **Inwazja w Zatoce Świń**
Sławomir Cenckiewicz – **LWP przeciwko narodowi**
Mikołaj Iwanow – **Feliks Kon: czerwony renegat**
Piotr Zychowicz – **Zbrodnia US Navy na Pacyfiku**
Sławomir Koper – **Tajemnica DNA Śmigłego-Rydza**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ed1acd778b

Search
HAARETZ
'Israel Was Born in Sin. I'm Collaborating With a Criminal Country,' Says Former PM's Son
Scion to an iconic Zionist family and former member of the Shin Bet, Yaakov Sharett, 95, has become an anti-Zionist who encourages people to leave Israel
Save
Zen Read
Ofer Aderet
Follow
Sep. 19, 2021
At the end of a series of meetings with Yaakov "Kobi" Sharett, af
a total of about ten hours of interviews, with some chutzpah I asl

Wolta Jakowa Szareta

Piotr Zychowicz

95-letni syn izraelskiego bohatera narodowego uderzył w samo serce syjonizmu. Według niego Izrael jest zbrodniczym państwem, które nie ma przyszłości

Państwo Izrael i cały projekt syjonistyczny narodziły się w grzechu. Taka jest prawda. Ten grzech pierworodny nawiedza nas i będzie nas nawiedzał w przyszłości. On wisi nad nami. Staramy się go usprawiedliwiać, ale stał się naszym wewnętrznym, egzystencjalnym strachem, który wychodzi na wierzch na rozmaite sposoby. Pod powierzchnią wody szaleje sztorm".

I dalej: „Czuję się kolaborantem mimo woli. Jestem zmuszony do kolaborowania ze zbrodniczym państwem. Jestem tutaj i nie mam dokąd pójść. Z powodu mojego wieku jestem przygwożdżony do tego miejsca. To nie daje mi spokoju. Codziennie.

Izrael jest krajem okupującym i prześladującym inny naród. Świadomość tego spędza mi sen z powiek".

Izraelczycy są przyzwyczajeni do ostrej krytyki i powyższe słowa pewnie nie zrobiłyby na nich większego wrażenia. Wywołały one jednak w państwie żydowskim szok i niedowierzanie. Prawdziwe trzęsienie ziemi. Dlaczego? Bo padły z ust 95-letniego Jakowa Szareta, pseudonim konspiracyjny Kobi.

ŻYDZI, WYJEŻDŻAJCIE!

Nazwisko Szaret ma w Izraelu wydźwięk taki jak w Polsce nazwiska Piłsudski, Dmowski, Witos czy Studnicki. Mosze Szaret – ojciec Jakowa – był bowiem legendą ruchu syjonistycznego i w Izraelu ma status bohatera narodowego. Na jego cześć nazwane zostały ulice i place. W samym Tel Awiwie jest pięć szkół jego imienia. Uznawany jest za jednego z ojców założycieli państwa żydowskiego.

Podpis – urodzonego w Chersoniu – Mosze Szareta znalazł się pod ogłoszoną w 1948 r. Deklaracją niepodległości Izraela. Wymienienie wszystkich zaszczytnych funkcji, które piastował, przekroczyłoby ramy tego artykułu. Oto niektóre z nich: premier, minister spraw zagranicznych, poseł do Knesetu, przewodniczący Światowej Organizacji Żydowskiej i Agencji Żydowskiej.

Szaret był jednym z najbardziej prominentnych i zagorzałych syjonistów. Przez pewien czas odpowiadał za pozyskiwanie palestyńskiej ziemi dla Żydów. Przyznawał wówczas, że wiązało się to

eprasa.pl ed1acd778b

z „transferem ludności”, który miał „zredukować liczbę Arabów w Palestynie”. Zachęcał Żydów z całego świata, aby przyjeżdżali na Bliski Wschód, osiedlali się na terytoriach ogołoconych z ludności arabskiej i realizowali na pustyniach Palestyny syjonistyczny sen.

Rodzina Szaretów, jak określił to dziennikarz „Haarec”, należała do śmietanki żydowskiej społeczności w Palestynie. Bohater tego tekstu – Jakow Szaret – na początku szedł śladami ojca. Był członkiem syjonistycznej podziemnej organizacji zbrojnej Palmach. W trakcie drugiej wojny światowej walczył w szeregach Brygady Żydowskiej utworzonej przy armii brytyjskiej.

Po powstaniu Izraela służył w kontrwywiadzie Szin Bet. Jego specjalnością był Związek Sowiecki. Przez pewien czas pracował nawet pod przykrywką dyplomaty w „ojczyźnie światowego proletariatu”. Podczas pobytu w Rydze został jednak zdemaskowany, aresztowany przez KGB i wyrzucony z kraju za szpiegostwo. Jako młody człowiek Jakow był wierzącym syjonistą.

Minęło jednak kilkadziesiąt lat i Jakow Szaret, zbliżając się do końca swych dni, zmienił zdanie. I to diametralnie. W obszernym wywiadzie udzielonym gazecie „Haarec” wystąpił z niezwykle ostrą krytyką Izraela i samej idei syjonistycznej. Ideę tę uważa za grzeszną i wysoce niemoralną.

„Jeżeli Izrael nie jest OK, to ja też nie jestem OK – przekonuje. – Płacę tu w końcu podatki. Przez pewien czas istniała wielka nadzieja, że stworzono tutaj coś nowego. Ja sam byłem tego częścią. Ale dziś syjonizm, z mojego punktu widzenia, jest martwy. Wszystkie obietnice, które złożyliśmy, wyparowały. Nie czuję się z tym dobrze. Naszą narodową agendą stały się krew, śmierć i przemoc. Izrael żyje mieczem i cały czas go ostrzy. To mnie odpycha”.

Według Jakowa Szareta Żydzi z całego świata nie powinni już więcej przyjeżdżać na Bliski Wschód. Mało tego, 95-letni weteran zachęca Izraelczyków do „jeridy”, czyli opuszczenia państwa żydowskiego. „Jerida” to odwrotność „aliji”, czyli emigracji do „ziemi obiecanej”. To, co mówi Szaret, jest więc uderzeniem w samą istotę, w najważniejszy dogmat i rdzeń syjonizmu.

„Izrael jest jedynym krajem, który stara się zwiększyć swoją populację – powiedział Jakow Szaret. – Kto słyszał o czymś podobnym?! Emisariusze Izraela przekonują ludzi, żeby tu przyjeżdżali i się osiedlali. Tak, jakbyśmy nie mieli wystarczającej liczby ludzi i korków samochodowych na naszych drogach. […] Ja dożyłem do sędziwego wieku w spokoju. Ale boję się o przyszłość i o los moich wnuków i prawnuków”.

Część młodszego pokolenia rodziny Szaretów już opuściła Izrael i zamieszkała w znacznie bezpieczniejszym Nowym Jorku. Ujawnienie tej informacji wywołało wśród Izraelczyków zdumienie. Potomkowie legendarnego Mosze Szareta opuszczają Izrael! Ojciec założyciel państwa żydowskiego musi przewracać się w grobie! Jakow Szaret nie przejmuje się jednak taką krytyką.

„Powtarza się u nas jak mantrę, że nie ma innego kraju dla Żydów – mówi. – To nieprawda. Fakty wskazują, że są inne kraje. Że na świecie jest więcej państw niż to jedno. Ponad milion Izraelczyków już żyje za granicą. Ideologiczne zaangażowanie w syjonizm wyparowuje wraz z przemijaniem pokoleń. Ludzie rozumieją, że są lepsze miejsca na ziemi, gdzie można wychowywać dzieci i żyć. Oczywiście wszędzie są problemy, samo życie jest problemem, ale w Izraelu problemy są naprawdę egzystencjalne”.

IZRAEL JEST SKAZANY NA WOJNĘ

Jakow Szaret nie ma wątpliwości, że Izrael czeka niewesoła przyszłość. Że nad państwem żydowskim zbierają się ciemne, burzowe chmury. Z jego słów wynika, że niegodne postępowanie wobec Palestyńczyków prędzej czy później zemści się na Żydach.

Szaret ma przede wszystkim na myśli Nakbę, jak Palestyńczycy określają wielkie wypędzenie arabskiej ludności z terytoriów dzisiejszego państwa żydowskiego. Doszło do niego w roku 1948, gdy powstał Izrael. Założenie syjonistów było proste: palestyńska ludność autochtoniczna musi ustąpić miejsca Żydom przybywającym statkami z Europy, Ameryki i innych odległych zakątków świata.

Aby osiągnąć ten cel, Żydzi zmusili Arabów do masowej ucieczki na teren krajów ościennych. Używano przy tym niezwykle brutalnych metod. Część Arabów w pośpiechu i przerażeniu opuściła swoje domy sama, gdy żydowskie organizacje militarne dopuściły się serii krwawych masakr. Do najgłośniejszej z nich doszło 9 kwietnia w wiosce Dajr Jasin. Mordowano kobiety i dzieci.

Tragiczny exodus objął ok. 700 tys. Arabów. Ich domy i własność zostały skonfiskowane. Meczety zniszczone. W opustoszałych wioskach osiedlono żydowskich osadników. Do dzisiaj potomkom wypędzonych Izrael odmawia prawa do powrotu na ziemię przodków oraz odszkodowania. Mimo że od Nakby minęło blisko 75 lat, wielu z tych ludzi wegetuje w obozach dla uchodźców na Zachodnim Brzegu Jordanu, w Strefie Gazy, Jordanii, Syrii czy Libanie.

„Życie narodu żydowskiego jest naznaczone tragedią – przekonywał Jakow Szaret w rozmowie z dziennikarzem »Haarec«. – W momencie, w którym syjonizm wezwał Żydów do emigracji do Izraela, narodził się konflikt. Syjonistyczna idea zakładała bowiem przybycie do kraju, w którym mieszkał inny lud. W którym mieszkali ludzie innej

eprasa.pl ed1acd778b

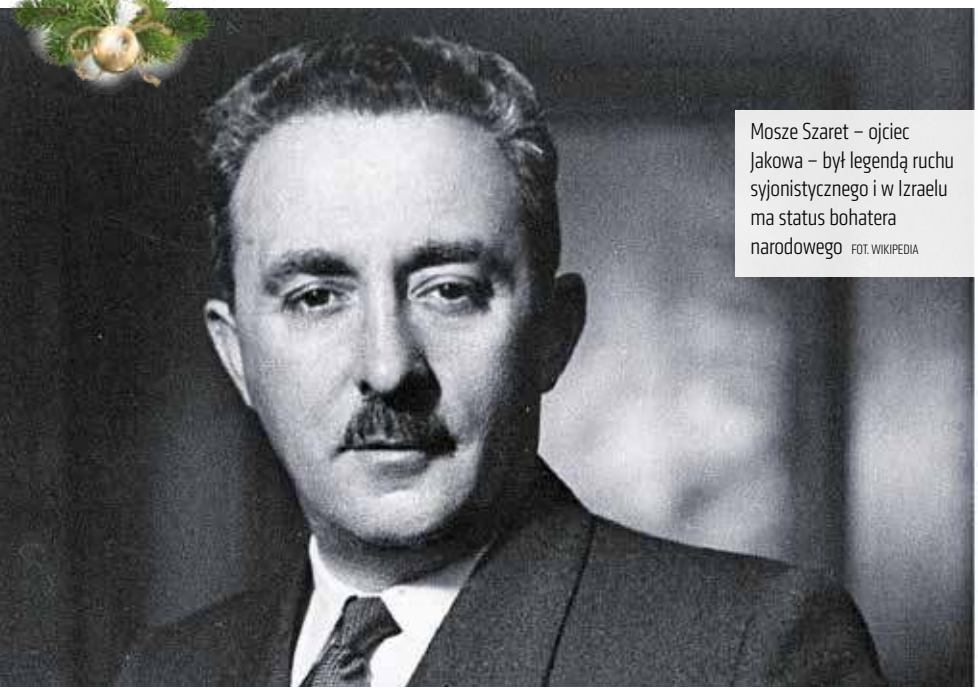

Mosze Szaret – ojciec Jakowa – był legendą ruchu syjonistycznego i w Izraelu ma status bohatera narodowego FOT. WIKIPEDIA

narodowości i innej religii. Zupełnie inni niż my. Czy widział pan gdziekolwiek na świecie sytuację, żeby lud stanowiący większość dobrowolnie zgodził się podporządkować najeźdźcom z odległych krajów? Najeźdźcom, którzy mówią: »Tu kiedyś żyli nasi przodkowie«. I na podstawie tego twierdzenia próbującym przejąć kontrolę nad państwem”.

Według Szareta takie było podłoże konfliktu, który rozpoczął się w Palestynie w latach 20. XX w. – gdy doszło do pierwszych zamieszek, walk żydowsko-arabskich i krwawych pogromów – i trwa do dzisiaj. Jego kolejną eskalację obserwowaliśmy w tym roku, gdy Hamas ostrzeliwał Tel Awiw rakietami. A izraelska armia w odwecie bombardowała Strefę Gazy.

Idea syjonistyczna – jak przekonuje Szaret – zrodziła jeden z najbardziej krwawych, najdłuższych konfliktów w historii ludzkości. Od jego rozpoczęcia minęło właśnie sto lat i nic nie zapowiada, żeby się szybko skończył. Po wojnie 1948 r. przyszły kolejne wojny z Arabami. W latach: 1956, 1967, 1973, 1982.

Potem nastąpiły kolejne palestyńskie intifady i kolejne boje z Hezbollahem na skalistym pograniczu z Libanem. Kolejne zamachy terrorystyczne w izraelskich autobusach i kolejne akcje odwetowe. Izraelczycy i Palestyńczycy od samego początku, aż do dzisiaj, żyją w cieniu zaciętego konfliktu. Poziom nienawiści zamiast się obniżać – narasta.

„Wielu ludzi sądzi, że ta ziemia się nam po prostu »należy« – mówi Jakow Szaret. – Bo przecież Arabowie mogli nas przyjąć z otwartymi ramionami i wtedy wszystko byłoby w porządku. Zamiast tego zaczęli z nami wojnę. A skoro tak, to nie powinni teraz narzekać. Ja jednak uważam, że transformacja arabskiej większości w mniejszość, a żydowskiej mniejszości w większość była wysoce niemoralna”.

HITLER I STALIN ZROBILI, CO SWOJE

Jakow Szaret uważa, że nie można się dziwić Arabom, iż nie chcieli się podporządkować Żydom i stawili opór. Według niego – co w uszach wielu Izraelczyków uchodzi za prawdziwe bluźnierstwo – Iran powinien mieć prawo do rozwijania swojego programu nuklearnego. Bo skoro Izrael ma swoje głowice nuklearne, to dlaczego nie miałby mieć ich Iran? Wszyscy muszą mieć przecież równe prawa. Żydzi, Arabowie i Persowie.

Według Szareta historia narodu żydowskiego potoczyła się w złym kierunku. A stało się tak w wyniku zbrodniczych działań XX-wiecznych totalitaryzmów. Narodowego socjalizmu i komunizmu.

„Naród żydowski miał dwóch wielkich wrogów – uważa Szaret. – Hitlera i Stalina. Oprawcę żydowskiej kultury, który ją wydrążył i zniszczył – zarówno w Polsce, jak i w Sowietach”.

Ten pierwszy miał niszczyć Żydów fizycznie, ten drugi duchowo. W efekcie naród żydowski został zdekapitowany. Utracił swoje elity i swoją tradycyjną moralność. Efekty, zdaniem Szareta, można oglądać we współczesnym Izraelu, zdominowanym przez religijnych ekstremistów i nacjonalistów. To, że premier Izraela występuje publicznie w kipie na głowie, dla Szareta, zwolennika świeckiego, liberalnego państwa, jest nie do pomyślenia.

Odpowiedzialność za ten izraelski zwrot ku fundamentalizmowi ponoszą jego zdaniem m.in. Żydzi wywodzący się z krajów arabskich i muzułmańskich. Ludzie wychowani w kulturach afrykańskiej i azjatyckiej. A więc diametralnie innych niż liberalna, tolerancyjna kultura Żydów z Polski i innych krajów Europy. Swoje dołożyli też Żydzi sowieccy, którzy napłynęli do Izraela po 1991 r. Oni również głosują w większości na narodowców.

Wszystko to sprawia, że Szaret swoje ostatnie lata spędza w nastroju ponurym i wisielczym. „Wiem, że moje dni są policzone. Nie boję się śmierci. Boję się tylko oblicza, jakie ta śmierć może przybrać” – przekonuje. I zapowiada, że jeżeli stanie się „żywym trupem i ciężarem dla rodziny” – sam odbierze sobie życie. A swoje doczesne szczątki przeznaczy na eksperymenty naukowe.

„Nie potrzebuję grobu – stwierdził. – Sam nie odwiedzam grobów członków mojej rodziny. Nie sądzę, żeby ludzka świadomość i dusza były powiązane z jego kośćmi czy miejscem, w którym je pochowano. Nie chcę, żeby moje ciało zajmowało miejsce w takim malutkim kraju, jakim jest Izrael. To nie ma sensu. Nagrobki i tak – po upływie jednego pokolenia lub dwóch – są zapominane i porzucone”.

Wszystkie cytaty z wypowiedzi Jakowa Szareta, które znalazły się w tym artykule, pochodzą z wywiadu, który przeprowadził z nim dziennik „Haarec”. Autor wywiadu Ofer Aderet, który spędził na rozmowach z Szaretem 10 godzin, na koniec zadał mu fundamentalne pytanie: Czy to, co mówi, na pewno jest dogłębnie przemyślane? Czy jego 95-letni umysł zachował jasność i klarowność myślenia?

„Szaret uśmiechnął się i skinął głową na znak potwierdzenia – napisał Ofer Aderet. – Jakow Szaret, syn pierwszego ministra spraw zagranicznych i drugiego premiera Izraela, nie ma powodu, by przebierać w słowach. Jest bystry, przenikliwy i precyzyjny. Chce przekazać czytelnikom przekaz, który będzie dla nich trudny do strawienia”.

To ostatnie bez wątpienia mu się udało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

FOT. ADOBE STOCK

290 ANTYSEMICKICH PATRONÓW BERLINA

W Berlinie jest komisarz ds. antysemityzmu – Samuel Salzborn. Właśnie opublikował raport ze swojego badania dotyczącego antysemickich patronów ulic. Z opracowania wynika, że w stolicy Niemiec jest 290 patronów ulic, którzy – według komisarza – byli antysemitami lub dopuścili się antysemickich wypowiedzi i zachowań. Komisarz zaproponował zmianę – na razie – 101 patronów ulic. Wśród tych do wymiany znaleźli się m.in.: Marcin Luter, Ryszard Wagner, bracia Grimm oraz kanclerz Konrad Adenauer.

10 SZCZEPIONEK JEDNEGO DNIA

Jeden mężczyzna z Nowej Zelandii wpadł na nietypowy sposób na zarobek. Od tych, którzy nie chcieli się szczepić, brał pieniądze i w punktach szczepień podawał się za nich. Wiadomo, że tylko jednego dnia przyjął 10 dawek szczepionki przeciw COVID-19. Sprawą zajęło się tamtejsze ministerstwo zdrowia – do tej pory w Nowej Zelandii nie trzeba było przedstawiać dokumentów podczas szczepienia.

PROHIBICJĄ W PANDEMIĘ

W Norwegii zaczęto rejestrować rekordowe wzrosty zakażeń koronawirusem. Rząd uznał, że wariant Omikron sprawia, iż „zmieniają się zasady gry". Zatem premier kraju Jonas Gahr Støre ogłosił wprowadzenie nowych restrykcji. W prywatnych domach będzie można przyjmować teraz nie więcej niż 10 gości, a w święta do 20. Wprowadzono też zakaz sprzedaży napojów alkoholowych w lokalach gastronomicznych.

DWA NOWE TRANSREKORDY

22-letnia Lia Thomas z USA urodziła się jako mężczyzna. Przez ostatnie trzy lata rywalizowała w szkolnych zawodach w męskiej drużynie w pływaniu. W tym roku startowała już w żeńskiej drużynie. I właśnie pobiła dwa żeńskie rekordy w pływaniu podczas zawodów w Ohio. Jej koleżanka z drużyny w wyścigu na 1650 jardów stylem dowolnym dopłynęła do mety aż 38 sekund później.

MARIHUANA LEGALNA W EUROPIE

Malta staje się pierwszym krajem w Europie, który legalizuje posiadanie marihuany. Zgodnie z ustawą zaakceptowaną przez parlament każdy pełnoletni mieszkaniec Malty będzie mógł uprawiać w domu do czterech roślin i przechowywać do 50 g suszu. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Prezent dla Putina

Joe Biden zawodzi w tak wielu dziedzinach, że nie tylko sondaże lecą na łeb na szyję, lecz także nawet CNN zaproponowała już 11 kandydatów, którzy mogliby go zastąpić w najbliższych wyborach. Lewicowy obóz jest już bowiem przekonany, że Bidena zastąpić trzeba. Szkoda, że dopiero teraz.

Demokraci boją się powrotu Donalda Trumpa. Czasy słabego przywódcy Ameryki śmiało wykorzystują zaś liderzy Chin oraz Rosji. Kreml książkowo rozgrywa kryzys na Ukrainie, dzięki czemu Władimir Putin łatwo zyskuje polityczne punkty na krajowej i międzynarodowej scenie, zdobywa zgodę USA na realizację niebezpiecznego dla sojuszników Ameryki gazociągu Nord Stream 2 i jednocześnie słyszy jasną deklarację, że mimo zawartych w memorandum budapeszteńskim piekielnie jasnych amerykańskich gwarancji dla integralności terytorialnej Ukrainy Rosja nie musi się liczyć z żadnym ryzykiem interwencji wojsk USA, nawet gdyby rosyjskie kolumny wojskowe zmierzały w kierunku Kijowa.

Anulując gotowe już zapisy o nowych sankcjach wobec Rosji, Biden nie uzyskał w zamian wycofania rosyjskich oddziałów znad granicy Ukrainy. Jednocześnie Biały Dom grzecznie wstrzymał pomoc wojskową dla Kijowa, pokazując kolejny raz w historii, w jak głębokim poważaniu Ameryka ma jakiekolwiek gwarancje pomocy komukolwiek. To wartościowy prezent dla Moskwy i dla Pekinu, którym dużo łatwiej będzie przekonywać przywódców na Bliskim Wschodzie i w innych regionach świata, by nigdy nie ufać słowom Waszyngtonu.

„Kto nie pamięta historii, ten skazany jest na jej ponowne przeżycie" – ostrzegał George Santayana, cytowany w 1948 r. przez Winstona Churchilla. Szkoda, że cenę za ignorancję Bidena znów będzie musiała zapłacić Europa Wschodnia. ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

Niemiecka hipokryzja

FOT. JANINE SCHMITZ/PHOTOTHEK/GETTY IMAGES

Cezary Gmyz z Berlina

Stephan Harbarth, szef Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Niemczech, sam został wybrany przez polityków i wciąż nosi partyjną legitymację. Tymczasem utyskuje na... upolitycznienie sądów w Polsce

Nein – warknął krótko w kierunku dziennikarza „Die Welt" Tima Röhna prezes Federalnego Trybunału Konstytucyjnego Stephan Harbarth. Szef najważniejszego niemieckiego sądu miał powody do zdenerwowania. Kilka tygodni wcześniej Röhn ujawnił, że na kolacji wydanej 30 czerwca dla członków obydwu Izb Trybunału Konstytucyjnego przez kanclerz Angelę Merkel nie prawiono sobie wyłącznie duserów i nie tylko delektowano się jedzeniem. Wręcz przeciwnie – tematem rozmów przy stole było orzecznictwo Trybunału w sprawach bezpośrednio interesujących szefową niemieckiego rządu. A konkretnie chodziło o wyrok w sprawie euroobligacji, który uznał w tej kwestii prymat prawa niemieckiego nad unijnym oraz wciąż czekającą na rozstrzygnięcie sprawę tzw. koronowego hamulca bezpieczeństwa [chodziło o pakiet rozwiązań legislacyjnych dających rządowi uprawnienia do wdrażania obostrzeń na terenie całej republiki – trybunał uznał już, że jest to zgodne z niemiecką konstytucją].

Gdybyśmy chcieli porównać to do zwykłego procesu karnego, to musielibyśmy sobie wyobrazić sytuację, w której to sędzia, biesiadując z oskarżonym, omawiają wyrok, który ma dopiero zapaść. Z potencjalnie wybuchowego charakteru przebiegu tego spotkania doskonale zdawano sobie sprawę. Z notatki, do której dotarł Röhn jednoznacznie wynikało, że urzędnicy Kanzleramtu spodziewali się burzy medialnej, gdyby treść rozmów została ujawniona publicznie. Nie mylił się – ujawnienie istnienia notatki rzeczywiście wywołało poruszenie i postawiło na porządku dziennym pytania o niezawisłość niemieckiego Trybunału. Dziennikarz skierował więc na ręce Harbartha dodatkowe pytania, a ponieważ nie dostał na nie odpowiedzi, postanowił udać się na inną kolację wydaną na cześć Harbartha i zadać je osobiście. Kiedy Harbarth skończył się delektować skorupiakami i filetem z turbota, zanim podano na deser mus z szampana, dziennikarz podszedł do prezesa Trybunału z prośbą o wywiad teraz lub w późniejszym terminie. To właśnie wtedy trzykrotnie usłyszał „nein". Harbarth odwrócił się na pięcie i odszedł. Podczas przemówienia dla zgromadzonych polityków i biznesmenów nie omieszkał po raz kolejny zaatakować rzekomego upolitycznienia wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Jeśli to nie jest hipokryzja, to co nią zatem jest?

Dziennikarz „Die Welt", relacjonując spotkanie, odnotował: „Harbarth, były parlamentarzysta CDU, brzmiał jak polityk chadecji. Miły wygląd, elegancki, przystępny, elokwentny, otwarty na pytania gości.

eprasa.pl ed1acd778b

Zarzuty stronniczości w sprawie polityki koronowej [czyli reakcji na pandemię – red.] tego wieczoru były na dalszym planie".

Od siebie dodam, że Harbarth nie tylko brzmiał jak polityk. On politykiem pozostał. Rzecz w tym, że od niemieckich sędziów w odróżnieniu od polskich apolityczności się nie wymaga. Harbarth po rezygnacji z mandatu deputowanego do Bundestagu nie złożył legitymacji partyjnej. Nie jest tutaj zresztą żadnym wyjątkiem. Liczni jego poprzednicy na tym stanowisku też nosili partyjne legitymacje, podobnie jak znakomita większość sędziów w Niemczech. Nawet jeśli nie mają oni partyjnej legitymacji, to muszę mieć rekomendację partyjną, by marzyć o karierze w sądownictwie.

„KOCHANA ANGELO"

Należy dodać, że Harbarth na tym tle jest jednak postacią zupełnie wyjątkową. Nie był bowiem szeregowym członkiem chadecji. Był w samym jądrze decyzyjnym władzy w Niemczech. I do dziś w nim pozostaje. Jak ujawnił tygodnik „Der Spiegel", w liście, w którym Harbarth dziękował Merkel za zaproszenie, najpierw zwracał się do niej oficjalnie („Wielce Szanowna Pani Kanclerz Federalna"), a zaraz pod spodem dopisał odręcznie, kaligrafując starannie: „Kochana Angelo" i na końcu również odręcznie się podpisując: „Twój Stephan".

Warto prześledzić karierę Stephana Harbartha, ponieważ jest doskonałym przykładem ścisłych związków świata polityki, wymiaru sprawiedliwości, a także wielkiego biznesu. Zacznijmy od najważniejszej kwestii – Stephan Harbarth (podobnie zresztą jak u nas była pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf), zostając sędzią, a wkrótce później prezesem najważniejszego w Niemczech Trybunału, nie miał żadnego doświadczenia w orzekaniu w choćby najmniejszym niemieckim sądzie. Jego wybór dokonał się tak jak wybór wszystkich bez wyjątku sądów w Niemczech, w sposób stricte polityczny, bez najmniejszego nawet udziału środowiska sędziowskiego. Rzec by można, że Niemcy – a właściwie ich elity – uważają, iż sądownictwo to zbyt poważna instytucja, by kształtowanie jej oddać w ręce sędziów. Nawiasem mówiąc, dotyczy to również prokuratury, policji czy wojska – żołnierze, śledczy czy policjanci w odróżnieniu od Polski nie mają zakazu przynależności do partii politycznych. Dla nikogo w Niemczech nie jest tajemnicą, że aby zrobić karierę w wyżej wymienionych organach, warto w partii być.

Harbarthowi oczywiście nie można zarzucać, że jest prawniczym dyletantem. Skończył jeden z najbardziej prestiżowych wydziałów prawa na Uniwersytecie w Heidelbergu. Ma za sobą też studia na słynnej Yale Law School oraz habilitację. Był również partnerem w jednej z najbardziej znanych niemieckich kancelarii Schilling, Zutt & Anschütz w Mannheim, która przez pewien czas była częścią globalnej firmy prawniczej Shearman & Sterling LPP.

Nie można uznać, że działalność Harbartha jako prawnika nie budziła żadnych kontrowersji. Zwłaszcza od momentu, kiedy zaczął sprawować mandat posła do Bundestagu, by u szczytu politycznej kariery zostać wiceprzewodniczącym klubu parlamentarnego chadecji.

Kariera Stephana Harbartha jest doskonałym przykładem ścisłych związków świata polityki, wymiaru sprawiedliwości oraz biznesu

Dwie sprawy budzą szczególne emocje. Pierwsza z nich to olbrzymie pieniądze, które otrzymywał jako prawnik i jednocześnie poseł. Szacuje się, że jego dochody z działalności jako prawnika mogły sięgać nawet miliona euro rocznie. Jego krytycy podnoszą argument, że w gruncie rzeczy jego głównym zajęciem nie było sprawowanie mandatu, ale właśnie działalność prawnicza. W opinii wielu jest to sprzeczne z ustawą o wykonywaniu mandatu posła. Sprawa trafiła do sądu. Ten jednak nie podzielił wątpliwości wnioskodawców, uznając skargę za bezzasadną, i odmówił jej rozpatrzenia. Jest tylko jeden problem – decyzję w tej sprawie podejmował… Federalny Trybunał Konstytucyjny, który oceniał wówczas swojego prezesa. Trudno więc mówić o bezstronności sądu. Choć z formalnego punktu widzenia wszystko było w porządku. Od tej pory zresztą ten sam sąd w Karlsruhe regularnie odrzuca liczne skargi na Harbartha podnoszące brak jego bezstronności i niezawisłości.

DWIE AFERY

Druga sprawa dotyczy tego, że firmy prawnicze, w których pracował Harbarth, zamieszane są w dwie największe afery w Niemczech. Są to zresztą afery o wymiarze globalnym.

Jedna z nich to afera Cum-Ex. W momencie, kiedy w firmie Shearman & Sterling LPP opracowywano model, który pozwalał na drenowanie miliardów z budżetu federalnego, Harbarth był tam dyrektorem zarządzającym. Mechanizm tej afery był podobny do mechanizmu znanych w Polsce afer VAT-owskich. Chodziło o wielowymiarowe zwroty podatków, które uzusykiwano dzięki sztuczkom prawników i księgowych.

Kolejna sprawa, z którą związek miały firmy prawnicze, znana jest jako Diesel-Affäre. Jej mechanizm polegał na sztucznym zaniżaniu ilości szkodliwych substancji w samochodach produkowanych przez największe niemieckie koncerny motoryzacyjne. Jej ujawnianie spowodowało gwałtowny spadek wartości akcji owych koncernów i gigantyczne straty akcjonariuszy firmy. Na wieść o wyborze Harbartha do Trybunału konstytucyjnego znany ekspert ds. finansów związany z partią Zielonych – Gerhard Schick – skomentował złośliwie: „Gratulacje dla Volkswagena, sprytne posunięcie".

Karierze Harbartha towarzyszą też inne wątpliwości. Jak choćby okoliczności powołania do Trybunału Konstytucyjnego. Dość powszechnie uważa się, że nadanie mu doktoratu honorowego macierzystej uczelni w Heidelbergu miało być trampoliną do fotela sędziego. Nie byłoby może nic dziwnego w tym, że uczelnia chce utorować drogę swojemu wybitnemu absolwentowi, gdyby nie fakt, że utworzył fundację wspólnie z firmą, w której pracował. Smaczku tej sprawie dodaje też to, że uczelnia odmówiła ujawnienia nawet nazwisk recenzentów doktoratu honorowego Harbartha. Oczywiście odmówiono też ujawnienia treści recenzji. W tej sytuacji na ironię musi zasługiwać fakt, że odkąd Harbarth umościł się na fotelu prezesa Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, jednym z jego ulubionych zajęć jest atakowanie Polski i jej Trybunału Konstytucyjnego.

Z jego wypowiedzi jasno wynika, że nie zna szczegółów sporu o wymiar sprawiedliwości w Polsce. Jego ulubionym zarzutem jest… upolitycznienie sądownictwa w Polsce. Co w ustach człowieka, który wciąż nosi partyjną legitymację i do urzędującej kanclerz zwraca się per „kochana Angelo", brzmi kuriozalnie. Jeśli to nie jest hipokryzja, to co nią jest?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Talibowie wręcz demonstracyjnie starają się okazywać zagranicznym dziennikarzom swoją życzliwość i zachęcają, by ich fotografować FOT. WITOLD REPETOWICZ

Pozorna zmiana?

Witold Repetowicz
z Kabulu

Na pierwszy rzut oka w Kabulu niewiele się zmieniło po przejęciu władzy przez talibów. Terroru na ulicach nie widać, a kobiety można zobaczyć bez zakrywających całe ciało burek i męskiego towarzystwa. Niektórzy obawiają się jednak, że to tylko na pokaz, a gdy świat uzna talibów i odmrozi pieniądze, to nowe władze dokręcą śrubę. Największym problemem jest jednak sytuacja ekonomiczna i groźba katastrofy humanitarnej

Pierwszym moim kontaktom z uzbrojonymi w kałasznikowy bojownikami talibów, patrolującymi ulice afgańskiej stolicy, towarzyszyła niepewność. Ale szybko się okazało, że wręcz demonstracyjnie starają się oni okazywać zagranicznym dziennikarzom swoją życzliwość i zachęcają, by ich fotografować. Choć dżihadyści kojarzą się z długimi, gęstymi brodami, to wielu bojowników nowej afgańskiej władzy ma przystrzyżony zarost lub nie ma go w ogóle. Talibowie nie tylko nie chcą obcinać głów żadnym obcokrajowcom przyjeżdżającym obecnie do Kabulu, lecz także wręcz starają się zapewnić im bezpieczeństwo, chroniąc ich przed zagrożeniami.

A niestety jest przed czym. Dramatyczna sytuacja ekonomiczna spowodowała wzrost przestępczości. Ponadto aktywne są bardziej radykalne ugrupowania, które nie podzielają nowego podejścia talibów do obcokrajowców. Chodzi przede wszystkim o Państwo Islamskie. Zdaniem Szarifullaha Wayanda, dziekana wydziału dziennikarstwa na prywatnym uniwersytecie Bachtar, ISIS w Afganistanie jest ciałem obcym, a jego ideologia nie ma oparcia w afgańskiej kulturze. ISIS ma jednak środki finansowe i wykorzystuje coraz większą nędzę do kupowania sobie zwolenników, którym podobno płaci 500–800 dol. miesięcznie.

DWIEŚCIE PROFESORSKICH DOLARÓW

To zawrotna suma jak na afgańskie warunki. Rektor uniwersytetu może tu bowiem liczyć zaledwie na 300 dol., a wykładowcy akademiccy na ok. 200. To jednak zarobki elitarne. 29-letni Abdulrahman, który kilka lat temu skończył prawo na uniwersytecie Bachtar, prowadzi mały sklepik na obrzeżach Kabulu. Przed przejęciem władzy przez talibów jego dochód wynosił ponad 10 dol. dziennie, ale obecnie spadł do zaledwie 3,5 dol., przy czym po odjęciu kosztów dojazdu do pracy zostaje mu ledwie 1,5–2 dol. Mimo to Abdulrahman jest optymistą i nie chce wyjeżdżać z Afganistanu. Ma nadzieję, że nowa władza wypleni korupcję, co pozwoli mu na znalezienie pracy zgodnej ze swoim wykształceniem, a także zrobienie doktoratu. Za czasów poprzedniej, gdy szukał pracy w administracji państwowej, kazano mu zapłacić za to 10 tys. dol., a że nie miał takich pieniędzy, to pozostało mu prowadzenie sklepu.

Sklepik Abdulrahmana mógłby przynosić jeszcze mniejszy dochód, gdyby nie bardzo dobra lokalizacja. Obok znajduje się bowiem boisko do krykieta, którego Abdulrahman jest zresztą zapalonym graczem. I nie tylko on. Krykiet to obecnie w Afganistanie fenomen. Grają w niego wszyscy, łącznie z talibami. Odgrywa on tu również podobną rolę jak piłka nożna w Brazylii. Dla wielu młodych Afgańczyków z biednych rodzin jest to szansa na zrobienie kariery i dużych pieniędzy. Jest

eprasa.pl ed1acd778b

to o tyle zaskakujące, że gra ta nie ma w Afganistanie długiej tradycji. Raptem w połowie lat 90. zaczęła zdobywać popularność wśród uchodźców afgańskich przebywających w Pakistanie. W pierwszym okresie swoich rządów talibowie mieli przy tym negatywny stosunek do wszelkiej aktywności sportowej, ale ostatecznie zezwolili na grę w krykieta pod warunkiem zachowania „islamskich reguł". Oznaczało to m.in., że zawodnicy mieli mieć długie brody. Teraz kontrowersję budzi kwestia dopuszczenia kobiet do tej gry. Naciska na to Międzynarodowa Rada Krykieta, w której członkostwo uzależnione jest od posiadania kobiecej reprezentacji. Talibowie głowią się więc, jak rozwiązać ten problem, bo objąwszy władzę, zakazali kobietom aktywności sportowej i uważają, że kobiety w strojach sportowych w sposób niedopuszczalny pokazują swoje ciało. Z drugiej jednak strony doprowadzenie do wykluczenia z rozgrywek międzynarodowych wywołałoby niezadowolenie, i to nawet w szeregach samych talibów, wśród których nie brakuje zapalonych fanów tego sportu.

KOBIETA BEZ TOWARZYSZA

Afganistan pod rządami talibów to z całą pewnością nie iracko-syryjski „kalifat" Państwa Islamskiego. W Kabulu kobiety chodzą same (bez towarzystwa męskiego członka rodziny) po ulicach, w taksówkach i autobusach siedzą obok mężczyzn, a wiele z nich nie nosi zakrywających całe ciało burek. Hidżab (chusta na włosy) jest co prawda obowiązkowy, ale niektóre Afganki w Kabulu noszą go tak, że widać połowę włosów. Oczywiście na prowincji wszystko wygląda inaczej, ale tak było też za poprzednich rządów i nie tyle wynika to z odgórnie narzucanych norm, lecz z ogromnego konserwatyzmu obyczajowego afgańskiego społeczeństwa. Dotyczy to również handlu dziećmi i kobietami, który jest wpisany w afgańską tradycję. Niedawno lider talibów Hibatullah Achundzada ogłosił, że przymusowe małżeństwa są niezgodne z islamem. Zdaniem niektórych moich rozmówców odnosi to pewien efekt, ale ograniczony, gdyż tradycja jest silniejsza.

Handel ludźmi to zresztą nie tylko sprzedawanie dziewczynek przez ubogie rodziny jako żon mężczyznom, którzy czasem mogliby być ich dziadkami. To również oddawanie małych dzieci, czasem noworodków, do „adopcji". Do tego dochodzi wstydliwa tradycja afgańska zwana „baszczebazi", czyli sprzedaż nastoletnich chłopców, którzy następnie są przebierani za kobiety i wykorzystywani seksualnie przez bogatych i wpływowych mężczyzn. Talibowie zakazali tej praktyki pod karą śmierci, ale zdaniem niektórych moich rozmówców jest ona dalej praktykowana przez niektórych dowódców. Powodem jest „seksualny głód" spowodowany sztywnymi regułami dotyczącymi relacji między mężczyznami a kobietami, a także to, że przebywający długo poza domem bojownicy są po prostu niezaspokojeni, a reguły obyczajowe zakazują relacji pozamałżeńskich z kobietami.

Widoki z kabulskich ulic i wezwanie afgańskiego emira mogłyby skłaniać do wniosku, że dzisiejsi talibowie nie mają zbyt wiele wspólnego z tymi z lat 90., a pozycja kobiet w rządzonym przez nich Afganistanie nie różni się zbytnio od tej, którą mają w wielu innych krajach muzułmańskich. Kwestia ta jest jednak nieco bardziej skomplikowana. Talibowie ograniczyli bowiem dostęp kobiet do edukacji, choć na razie deklarują, że jest to sytuacja tymczasowa. Dotyczy to przede wszystkim publicznych szkół średnich, choć też nie we wszystkich prowincjach, bo w Balchu szkoły średnie są wciąż otwarte dla dziewczyn. Tam, gdzie wstrzymano dla nich edukację, obiecano, że dostaną promocję do następnej klasy bez egzaminów, a edukacja będzie wznowiona, gdy rozwiązany zostanie problem segregacji płciowej. Z kolei publiczne szkoły wyższe w ogóle zostały tymczasowo zamknięte. W prywatnych szkołach edukacja kobiet wciąż trwa – zarówno na poziomie średnim, jak i wyższym, a mężczyzn i kobiet na salach wykładowych oddziela zasłona.

WSZYSTKO NA POKAZ?

Wiele osób nie wierzy jednak w przemianę talibów. Jedną z nich jest Szakajek Tawangar, studentka ostatniego roku dziennikarstwa na uniwersytecie Bachtar, która jednocześnie pracuje dla internetowej telewizji HA Online TV. Szakajek jest jedną z tych Afganek, których chusty ledwie się trzymają na czubku głowy, co chwila spadając i odsłaniając kruczoczarne, bujne włosy. Zdaniem tej młodej dziennikarki talibowie nie zmienili się, nienawidzą kobiet, a wszystko robią na pokaz, by zyskać uznanie międzynarodowe. Szakajek opowiada, jak robiła wywiady z przedstawicielami ministerstwa spraw wewnętrznych i obrony. Początkowo nie chcieli nawet na nią spojrzeć, bo było dla nich jasne, że wywiad będzie prowadził mężczyzna. Później robili uwagi do jej „nieislamskiego" wyglądu. Mimo to jednak udzielali wywiadu.

Nie ma też absolutnego zakazu pracy kobiet, ale i w tym zakresie doszło do znacznego ograniczenia, a Afganki, zwłaszcza wykształcone, boją się, że w każdej chwili może zostać dokręcona śruba. Niewątpliwie landrynkowy obraz talibów, który może wynikać z kontaktów z nimi zagranicznych dziennikarzy, niekoniecznie jest adekwatny do ich relacji z ich miejscowymi oponentami, zwłaszcza że często są one niespójne. Jeden z taksówkarzy w Kabulu, który do niedawna był oficerem policji zajmującym się logistyką w jednej z prowincji, opowiadał, że talibowie wezwali go (i innych funkcjonariuszy), by wrócił do pracy. Wynikało to z tego, że po prostu brakuje im ludzi, choćby do pilnowania więźniów (a tych, w związku z rozwojem przestępczości spowodowanej biedą, będzie przybywać). Gdy jednak przybył na miejsce, rozpoznał go jeden z talibów, który był wcześniej więźniem, i zaczął nawoływać do jego zabicia. Ów były oficer zatem szybko uciekł z powrotem do Kabulu, choć gubernator prowincji gwarantował mu bezpieczeństwo.

Kluczowym problemem Afganistanu jest jednak bieda. I to ona też najbardziej ogranicza dostęp do edukacji – zarówno kobietom, jak i mężczyznom. Cóż bowiem z tego, że kobiety mogą wciąż studiować na prywatnych uczelniach, skoro ogólna liczba studentów (a więc też kobiet) np. na uniwersytecie Bachtar spadła z 1,2 tys. do 400. Powodem jest to, że ludzie nie mają pieniędzy, by opłacić czesne, choć władze tej uczelni obniżyły je o 30 proc. Obecna sytuacja Afganistanu to efekt polityki utrzymywania tego kraju przez ostatnie 20 lat na kroplówce pomocy humanitarnej, przy jednoczesnym braku rozwoju produkcji własnej. Nawet kurczaki na targu są sprowadzane z Pakistanu. Teraz Afganistan został dobity odcięciem od międzynarodowego systemu bankowego, co załamało handel. I dlatego Abdulrahman, choć pozostaje rzadkim w Afganistanie optymistą, jedyny ratunek widzi w uznaniu talibów przez społeczność międzynarodową, i to mimo że w jego sklepiku wciąż wisi stara flaga Afganistanu. Ci, którzy nie podzielają optymizmu Abdulrahmana, widzą jedyne wyjście w ucieczce z Afganistanu. Do Europy lub Ameryki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Z Krzysztofem Szujeckim, publicystą, historykiem sportu i pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Krezusi II Rzeczypospolitej

Pałac Kronenberga w Warszawie
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Z największymi pieniędzmi spośród opisywanych w książce miał do czynienia Leopold Julian Kronenberg?

KRZYSZTOF SZUJECKI: Majątek, który odziedziczył, był ogromny. Nie pomnożył go, ale potrafił utrzymać na bardzo wysokim poziomie. Trzeba też pamiętać, że jego ojciec – twórca finansowej potęgi rodu – działał w korzystniejszych warunkach gospodarczych, które znakomicie wykorzystał. Bohater mojej książki, Leopold Julian, był bardzo utalentowanym muzykiem i to była jego równoległa do biznesowej, jeśli nawet nie największa, pasja. Niemniej należał do najbardziej wpływowych ludzi z sektora gospodarczo-finansowego II RP. Dzisiejszy City Bank jest w Polsce kontynuatorem założonego przez rodzinę Kronenbergów Banku Handlowego.

Po luksusowym magazynie mody Bogusława Hersego pozostała jedynie legenda...

Zlikwidował swoje przedsiębiorstwo i sprzedał ekskluzywną kamienicę u zbiegu ulic Marszałkowskiej i Rysiej pod koniec lat 30. Do znacznego pogorszenia sytuacji firmy przyczyniło się kilka czynników, w tym dwa poważne pożary, które spowodowały bardzo duże straty (wynikające nie tylko z siły ognia, lecz także z zalania wodą przez strażaków niższych kondygnacji budynku). Ponadto interes w II Rzeczypospolitej nie prosperował już tak dobrze jak przed pierwszą wojną światową. Powstawały bowiem kolejne sklepy z odzieżą, jak choćby najbardziej z nich znany Dom Towarowy Bracia Jabłkowscy. Wielu z dotychczasowych klientów Hersego zaczęło zaopatrywać się gdzie indziej, płacąc za wyroby wysokiej jakości. W czasie drugiej wojny światowej kamienica Hersego doznała bardzo poważnych zniszczeń, najpierw podczas bombardowania Warszawy w 1939 r., a następnie w trakcie powstania. Wspominając o Hersem, nie sposób pominąć jego pasji taternickiej. W młodości należał on do czołowych polskich wspinaczy. Jedną z głośniejszych wycieczek odbył 1887 r., kiedy po świeżym opadzie śniegu wybrał się razem z Ferdynandem Hoesickiem – cenionym literatem i edytorem epoki – oraz przewodnikami Jędrzejem Walą młodszym i Klimkiem Bachledą na: Łomnicę, Lodowy Szczyt, Wysoką i Rysy. W opinii towarzyszy podczas tej kilkudniowej wyprawy był znakomitym kompanem: przygotowanym na czas i nastawionym bardzo ambitnie.

Ruiny garbarni Józefa Pfeiffera straszą jeszcze przy ul. Okopowej w Warszawie... Rodzina miała korzenie niemieckie?

Tak, Józef Pfeiffer pochodził z rodziny niemieckiej, która – co godne podkreślenia – była oczarowana polską kulturą. Dlatego w pierwszej połowie XVIII w. postanowiła osiedlić się w naszym kraju i współtworzyć warszawski przemysł garbarski. Kolejne pokolenia rodu czuły się już Polakami, czego jeden z najlepszych dowodów dali podczas tak bardzo ponurych dla naszego narodu lat okupacji. Józef, mimo nalegań Niemców, ani myślał podpisać volkslistę. Przeciwnie: pomagał, jak mógł, Polakom i Żydom z warszawskiego getta.

Jakub Mortkowicz, zanim padł ofiarą wielkiego kryzysu, był rewolucjonistą? Jak to się stało, że został edytorem luminarzy polskiego piśmiennictwa?

Od młodości związany był ze środowiskiem niepodległościowym, z Polską Partią Socjalistyczną. Zajmował się m.in. kolportażem nielegalnej prasy. Został za to osadzony w Cytadeli Warszawskiej, a w 1899 r.

eprasa.pl ed1acd778b

aresztowany i zesłany na Kaukaz. Był lewicowym patriotą, bardzo oddanym sprawie polskiej, a krzewienie narodowej kultury odbywało się głównie poprzez działalność wydawniczą. Ukończył Akademię Handlową w Antwerpii, a podróżując z żoną po Europie, poznał wielu znakomitych księgarzy. Wszystko to razem sprawiło, że podjął decyzję o założeniu własnego wydawnictwa, które z czasem stało się jedną z czołowych polskich oficyn. Jego pierwsza księgarnia miała znakomitą lokalizację: sąsiadowała z Domem Mody Hersego, potem przeniosła się na ul. Mazowiecką. Mortkowicz, jako miłośnik sztuki, znany był z wysokiego poziomu edytorskiego swojej oferty. Gdy w rezultacie wielkiego kryzysu jego znaczona symbolem kłosa firma popadła w długi, właściciela ogarnęła depresja i popełnił samobójstwo.

Najmniej znanym bohaterem pracy jest chyba Zbigniew Rozmanit...

... ale jego działalność była z pewnością niemniej ważna dla kraju. Rozmanit początkowo przebywał przez 10 lat w Anglii, gdzie po studiach w Szwajcarii i praktyce w Niemczech intensywnie pracował. Jednym z jego zadań było zorganizowanie w Londynie biura Wszechrosyjskiego Związku Garbarzy. Po powrocie do Polski założył w Fordonie papiernię, która mimo rozmaitych trudności notowała bardzo dobre wyniki finansowe. Odpowiedź, dlaczego zdecydował się zainwestować akurat w tę gałąź gospodarski, być może zawiera tekst, który widniał nad wejściem na teren fabryki: „Papier, książka to oświata – dla odbudowy kraju, z tektury papa”. Przez kilka lat pełnił również funkcję radnego m.st. Warszawy, a także był prezesem zarządu Towarzystwa Ubezpieczeń „Vita-Kotwica”. Po wybuchu drugiej wojny światowej objął funkcję szefa Wydziału Gospodarczego Straży Obywatelskiej i zaopatrywał ludność w lekarstwa. W lutym 1945 r. udał się na warszawską Pragę, gdzie przebywał minister przemysłu Hilary Minc, który nadzorował wprowadzanie w Polsce socjalistycznego modelu gospodarki. Wówczas odbywało się spotkanie komisji, która rozdzielała ludzi do uruchamiania zakładów produkcyjnych na terenie całego kraju. Rozmanit otrzymał nominację na dyrektora swojej dawnej, już upaństwowionej, fabryki. Wkrótce jednak... został aresztowany. Postawiono mu – i kilku innym przedsiębiorcom – wiele zarzutów, m.in. dotyczących malwersacji finansowych na dużą skalę. Zarzucano też Rozmanitowi

Bogusław Herse FOT. NAC

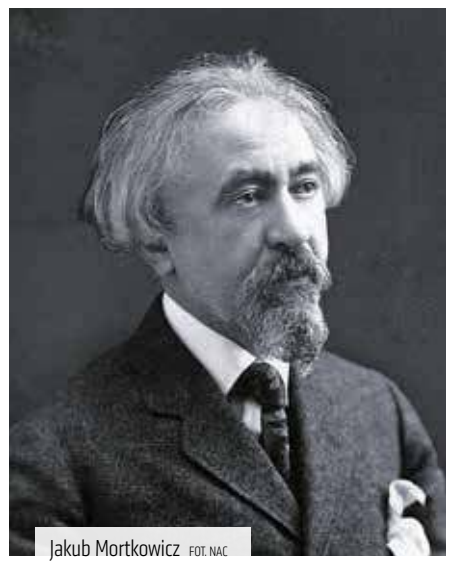
Jakub Mortkowicz FOT. NAC

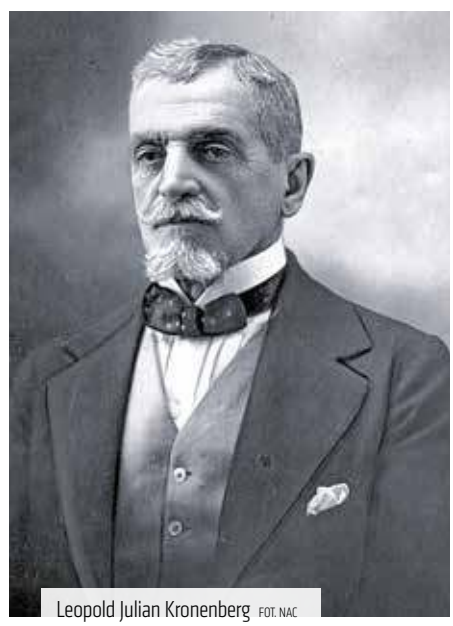
Leopold Julian Kronenberg FOT. NAC

organizowanie nielegalnej produkcji w Fordonie oraz bezprawną sprzedaż blisko 200 ton papieru firmom, co miało mu przynieść zysk w wysokości 2,5 mln zł.

Po aresztowaniu młodsza córka Rozmanita, szukając pomocy, pojechała do upaństwowionej fabryki w Fordonie i skontaktowała się tam z jednym z majstrów, prosząc o interwencję w sprawie ojca. Przyniosło to efekt w postaci pisma, które zostało podpisane przez wszystkich pracowników zakładu! Każdy z nich wiedział, że może go spotkać za to bardzo przykra kara, a mimo to zdecydowali się na ten gest! W szybkim tempie doprowadzono do głośnego wówczas, relacjonowanego na łamach wielu tytułów prasowych, pierwszego w powojennej Polsce procesu gospodarczego. Wojskowy Sąd Okręgowy w Łodzi skazał Rozmanita na karę śmierci, którą w końcu, po śmierci Stalina, zamieniono na karę 15 lat więzienia. Ostatecznie opuścił zakład karny w Rawiczu w 1955 r.

Na marginesie przypomina pan, że nie tylko Stanisław Wawrzecki stracił życie w majestacie komunistycznego bezprawia za przestępstwa gospodarcze.

Po raz pierwszy wyrok śmierci w sprawie gospodarczej orzeczono w Polsce Ludowej w 1948 r., kiedy przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Łodzi odbywał się proces grupy papierników. Oprócz bohatera mojej książki, Zbigniewa Rozmanita, na ławie oskarżonych zasiadł m.in. Stanisław Dolewski, właściciel poznańskiej hurtowni papieru. Udzielił on kilkanaście miesięcy wcześniej znacznej pomocy finansowej Polskiemu Stronnictwu Ludowemu, co rozwścieczyło komunistyczne władze i przyczyniło się do skazania oskarżonego na karę śmierci. Wyrok wykonano.

Represje władzy ludowej dotknęły też Feliksa Jabłkowskiego, o którego dziedzictwo wyczerpującą i długoletnią batalię stoczyli jego spadkobiercy.

Rodzinie Jabłkowskich wyjątkowo długo udawało się przeciwstawiać władzom PRL. Ostatecznie firma przeszła w ręce państwa dopiero w 1950 r., podczas tzw. drugiej bitwy o handel. Feliks był przesłuchiwany w areszcie przy ul. Rakowieckiej przez osławioną Lunę Brystigerową, zwaną nieprzypadkowo „krwawą Luną”. Usłyszał od niej wprost, że komunistyczne władze chcą wyeliminować raz na zawsze grupę społeczną, której on jest przedstawicielem. Rozumiejąc doskonale powagę sytuacji, podpisał stosowne dokumenty. Następnego dnia

eprasa.pl ed1acd778b

Dom Towarowy Bracia Jabłkowscy utracił także możliwość działalności hurtowej. Jego miejsce miał zająć jeden z powstających na terenie całego kraju Powszechnych Domów Towarowych. Po upadku komunizmu, dzięki usilnym staraniom spadkobierców Feliksa Jabłkowskiego, najpierw Ministerstwo Budownictwa anulowało decyzję Stołecznej Rady Narodowej o przejęciu nieruchomości przy ul. Brackiej 25 przez Skarb Państwa, a po kilku latach sąd uchylił decyzję sprzed lat o upadłości spółki i wykreśleniu jej z rejestru handlowego. Tym samym firma Bracia Jabłkowscy została reaktywowana. W 2001 r. w ręce rodziny powróciła kamienica przy ul. Chmielnej 21 i niezabudowana działka pod adresem ul. Chmielna 19.

Dziesięć lat później na tejże nieruchomości powstał Nowy Dom Jabłkowskich, nawiązujący architekturą do sąsiedniego pierwowzoru. Cały czas trwała jeszcze walka o przejęcie prawa do użytkowania słynnego żelbetowego gmachu przy ul. Brackiej 25. Ostatecznie, po wielu zabiegach i kłopotach z urzędującymi tam mimo nakazu eksmisji spółkami, udało się to jesienią 2013 r.

Kilku opisywanych przetrwało PRL dzięki wsparciu demonizowanego wciąż tu i ówdzie Bolesława Piaseckiego.

W centralach przemysłowo-handlowych INCO oraz Veritas zatrudnienie znaleźli m.in. Feliks Jabłkowski, Zbigniew Rozmanit i Kordian Tarasiewicz. Było to możliwe dlatego, że dzięki Piaseckiemu komuniści nie ingerowali w politykę kadrową oraz nie wtrącali się do działalności gospodarczej tych organizacji. Warto też wspomnieć, że szefowi stowarzyszenia PAX zezwolono nawet na prowadzenie... prywatnego liceum w Warszawie.

Jak królem kawy został Kordian Tarasiewicz?

W stosunkowo młodym wieku – po trzydziestce – stanął na czele firmy Pluton, którą założył jego dziadek. Ojciec Kordiana był znanym aktorem i pociągała go raczej kariera sceniczna niż biznes (nadał synowi imię Kordian właśnie ze względu na duże powodzenie lwowskiej inscenizacji dramatu Juliusza Słowackiego, w której grał rolę tytułową). Bohater książki – który jako jedyny z opisywanych doczekał III RP – pasjonował się sportem, a szczególnie tenisem; pisał nawet o tej dyscyplinie książki.

Klatka schodowa w gmachu Domu Mody Bogusław Herse przy ul. Marszałkowskiej 150 w Warszawie FOT. MNW

Budynek, będący przedwojenną siedzibą firmy, stojący przy ul. Grzybowskiej 37, przetrwał do kwietnia 2019 r. Władze dzielnicy Woli przez kilka lat walczyły o wpisanie go do rejestru zabytków, co uchroniłoby nieruchomość przed rozebraniem. Okazało się to jednak bezowocne, gmach zburzono, a na jego miejscu rozpoczęto budowę apartamentowca.

Januszowi Regulskiemu zawdzięczamy kolejkę podmiejską oraz Podkowę Leśną?

To wszechstronnie uzdolniony człowiek. W zasadzie można powiedzieć, że do czego tylko się zabrał, robił to wybitnie i odnosił sukces. Współtworzył Elektryczną Kolej Dojazdową, łączącą Warszawę z pobliskimi miejscowościami, zainicjował budowę miasta ogrodu. Działał także w innych obszarach. Uczestniczył w początkach polskiej radiofonii, był również znakomitym myśliwym i strzelcem sportowym, organizował w Polsce krajowe i międzynarodowe rajdy samochodowe, niekiedy osobiście stając na starcie, a prywatnie jako znakomity kierowca dużo podróżował autem z żoną po Europie i wielu zakątkach dzikiej Afryki. Wreszcie w 1939 r., na prośbę bohaterskiego prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, stanął na czele warszawskiej Straży Obywatelskiej. Syn Janusza Regulskiego – Jerzy – był wybitnym profesorem nauk ekonomicznym, odznaczonym Orderem Orła Białego; po 1989 r. nadzorował reformę samorządową w Polsce.

KRZYSZTOF SZUJECKI „MILIONERZY PRZEDWOJENNEJ POLSKI” KSIĘŻY MŁYN 2021

Nazwisko Jaroszewicz kojarzy się głównie z zamordowanym premierem PRL. Pan opisuje finansistę...

Rzeczywiście. I to jest jeden z najlepszych dowodów na to, że książki takie jak ta powinny powstawać. Politycy są przez ludzi bardziej kojarzeni niż wybitni przedsiębiorcy, a przecież ci drudzy mają na swoim koncie wielkie osiągnięcia i zasługi dla kraju. Antoni Jaroszewicz był z wykształcenia farmaceutą. Prowadził rozliczne interesy, będąc m.in. właścicielem pierwszego kurortu letniskowego w Gdyni, współwłaścicielem uzdrowiska w niezwykle popularnych Druskiennikach. Ze swoim wieloletnim wspólnikiem, ziemianinem Michałem Malinowskim, uruchomił fabrykę sprzętu produkowanego na potrzeby wojska. Handlował też solą, cukrem, naftą i zbożem. Na tym jednak nie kończy się jego godna podziwu aktywność. Działał także w wielu mniejszych firmach, a w jednej z warszawskich kamienic utworzył – jako wytrawny meloman i utalentowany śpiewak – wspaniałe centrum kulturalno-rozrywkowe.

Żywot emigranta wymusiły na Marianie Dąbrowskim obroty koła historii?

Ten zamożny krakowski wydawca prasy, m.in. legendarnego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, wyjechał z Polski w interesach tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej i już nigdy do kraju nie powrócił. Przed podróżą do Francji nie wykonał żadnych czynności zabezpieczających swój majątek oraz przyszłość koncernu wydawniczego. Wraz z żoną zabrali ze sobą tylko podstawowe bagaże i sumę pieniędzy dozwoloną do wywozu przez urząd celny. Dwa lata później Dąbrowski sprzedał swoją francuską posiadłość i z żoną Michaliną wyjechał do Nowego Jorku, gdzie spędził ostatnie 17 lat życia. Wszystkie dostępne wówczas pieniądze małżeństwo zainwestowało w hodowlę kur rasowych, która z powodu epidemii zbankrutowała. Po tym zdarzeniu – jak twierdzili znajomi – przybity niepowodzeniem przedsiębiorca mocno podupadł na zdrowiu. Przeprowadził się więc z żoną na cieplejszą Florydę, gdzie żyli bardzo skromnie. Michalina, która nigdy wcześniej nie pracowała fizycznie, zatrudniła się w fabryce guzików.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Szujecki – absolwent Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, publicysta, historyk sportu, pisarz. Autor książek: „Życie sportowe w II Rzeczypospolitej”, „Życie sportowe w PRL”, „Zagadki sportowe”, „Encyklopedia igrzysk olimpijskich”, „Sportsmenki” oraz najnowszej – „Milionerzy przedwojennej Polski”.

eprasa.pl ed1acd778b

Rynek nieruchomości – co przyniesie 2022 r.?

Piotr Hofman

Pandemia, która wybuchła w marcu 2020 r., wpłynęła na prawie każdą z dziedzin życia, nie omijając przy tym rynku nieruchomości. Zbliżający się koniec roku powoduje, że pojawiają się liczne spekulacje na temat zmian rynku mieszkaniowego w kolejnych miesiącach. Jednym z wielu ich źródeł są media branżowe, w których znaleźć można analizy mówiące o tym, jak odmieni się sytuacja oraz jakie ceny osiągną mieszkania.

Podsumowując rok 2021, śmiało można stwierdzić, że nieruchomości cieszyły się ogromnym zainteresowaniem. Nie brakowało chętnych na zakup mieszkań i domów. Poprawiła się również sytuacja na rynku wynajmu, który przez pewien okres mocno cierpiał ze względu na trwającą pandemię. W wielu przypadkach inwestycje były podyktowane chęcią ochrony kapitału. Nieruchomość była i jest powszechnie postrzegana jako relatywnie bezpieczna inwestycja. Perspektywa dłużej utrzymanych niskich stóp procentowych podważa sens lokaty bankowej, a materializujący się scenariusz podwyższonej inflacji skłania do ochrony oszczędności poprzez inwestowanie w nieruchomości.

Co przyniesie 2022 r.? Przede wszystkim warto zwrócić uwagę na propozycje Polskiego Ładu. Zdecydowanie odbiją się one na rynku nieruchomości. Pierwsza z nich to opłaty od wynajmujących, czyli zarabiających na tzw. najmie prywatnym. Mają oni płacić zryczałtowany podatek liczony od przychodów, bez możliwości odliczania kosztów. Możliwe niestety, że zmiany nie uderzą wcale w dużych wynajmujących, ale małych i średnich, którzy przez to zrezygnują z zakupu mieszkania inwestycyjnego.

Drugi głośny projekt to mieszkania bez wkładu własnego. Bank Gospodarstwa Krajowego będzie gwarantować do 20 proc. wkładu własnego, nie więcej jednak niż 100 tys. zł. Warunkiem dla jego uzyskania jest między innymi cena metra kwadratowego, która nie może przekroczyć kwoty „X". Wartość ta jest ustalana odrębnie dla każdego miasta czy powiatu. Tak więc w dużej mierze program ten jest skierowany do osób mieszkających w mniejszych miastach i tam kupujących nieruchomości.

W Polsce od lat zaobserwować można deficyt mieszkań, a przy obecnym tempie rocznego przyrostu liczby mieszkań na jego zaspokojenie potrzeba jeszcze ok. 15 lat. Wydaje się, że w dużych miastach buduje się dużo, a każdy skrawek ziemi jest wykorzystywany pod zabudowę mieszkaniową. Nie jest to jednak wystarczające, by zaspokoić potrzeby mieszkaniowe wszystkich Polaków. Przy tak dużym popycie na mieszkania, rosnącej inflacji, która wpływa między innymi na koszty budowy, oraz wzrastających cenach gruntów i materiałów budowlanych trudno przypuszczać, że ceny mieszkań z dnia na dzień spadną. W ostatnich latach niewiele rzeczy w Polsce drożało tak bardzo jak tereny inwestycyjne. Tymczasem o sytuacji na rynku działek budowlanych pisze się i mówi u nas niewiele. A przecież ma ona ogromne znaczenie dla kupujących mieszkania. To, ile za nie zapłacą deweloperowi, zależy bowiem w coraz większym stopniu od cen działek. Sytuację mógłby złagodzić napływ na rynek terenów budowlanych należących do samorządów i Skarbu Państwa, ale mimo planów nie widać kroków do podjęcia takich działań.

W lipcu przyszłego roku wejdzie też w życie nowy „parapodatek", czyli składka na Deweloperski Fundusz Gwarancyjny. To nowy pomysł rządu – fundusz, który ma pokryć klientom straty na wypadek bankructwa firmy, która realizowała dane przedsięwzięcie deweloperskie. Składka ta wyniesie 1 proc. wartości mieszkania. Formalnie, będzie to 1 proc. wartości wpłat na otwarty mieszkaniowy rachunek powierniczy. Ustawa ta jest jednak krytykowana, ponieważ w praktyce będzie oznaczać wzrost cen mieszkań, a wspomniana ochrona nie jest doskonałą formą dla żadnej ze stron.

Warto również wspomnieć o zmianach trendów konsumenckich, które zawsze wpływają na wszystkie rynki. Pandemia sprawiła, że dużym zainteresowaniem cieszą się domki posiadające choć mały ogródek. Nabywcy poszukiwali i poszukiwać będą mieszkań z tarasami, balkonami czy ogródkami. Chodzi tu przede wszystkim o domy w zabudowach szeregowych. Jeśli ktoś kupuje domek o metrażu 80 czy 100 mkw., to często decyduje się na niego ze względu na skromniejszy budżet. Takie osoby są w stanie zaakceptować mniej prestiżowy punkt, bo to w dalszym ciągu większy komfort i samodzielność niż mieszkanie w bloku. Oczywiście szerokim echem odbija się też pomysł budowy domu 70-metrowego bez pozwolenia, czyli kolejnej propozycji Polskiego Ładu. Jednak do tego potrzeba własnej działki, dlatego wybór domku w zabudowie szeregowej wydaje się bardziej dostępną opcją i pewną alternatywą dla wciąż rosnących cen 1 mkw. powierzchni mieszkalnej w budynkach wielorodzinnych.

Z pewnością 2022 r. przyniesie też większy rozwój technologiczny. Pęd w kierunku coraz większej automatyzacji będziemy obserwować na powierzchniach produkcyjnych, w budynkach biurowych czy też autonomicznych sklepach. Oczywiście wszystko to ma na celu obniżenie kosztów produkcji. Biorąc pod uwagę nieruchomości, ciekawym rozwiązaniem jest budowanie z prefabrykatów. Takie budownictwo pozwala zaoszczędzić czas, a przede wszystkim koszty, co w rezultacie przekłada się na cenę mieszkań. Warto bowiem przypomnieć, że ceny materiałów i pracy są stale rosnące, co jest jednym z kluczowych powodów drożejących kosztów realizacji inwestycji.

Podsumowując, przed nami na pewno trochę zmian na rynku nieruchomości. Gdyby każda z nich działa się z osobna, być może wpływ na rynek byłby nieodczuwalny. W tym przypadku mamy do czynienia z lawiną nowości, których skutki są trudne do przewidzenia.

eprasa.pl ed1acd778b

Jakub Wozinski

Dopaminowy król

Twórca TikToka zarobił fortunę na doprowadzeniu do perfekcji mechanizmu, który zdemolował psychikę milionów użytkowników Internetu i doprowadził do ogromnej prymitywizacji kultury

Kilka miesięcy temu media na całym świecie obiegła wiadomość, że prezes chińskiego giganta ByteDance – Zhang Yiming – rezygnuje ze stanowiska i zamierza poświęcić się tworzeniu długoterminowych strategii. Wieść ta była nie lada sensacją, gdyż można ją było porównać do sytuacji, w której o zamiarze pożegnania się z dotychczasową funkcją powiadamialiby Mark Zuckerberg czy też Bill Gates. Nazwisko Zhang Yiming nie jest zanadto rozpoznawane na całym świecie, lecz w Państwie Środka człowiek ten ma status żywej legendy. To właśnie jemu udało się stworzyć markę, która zdołała rzucić wyznanie „wielkiej trójce", czyli serwisom Baidu, Tencent i Alibaba, które zdominowały wirtualną przestrzeń Chin w analogiczny sposób do Google, Facebooka i Amazona w USA. Aby tego dokonać, 38-letni dziś Chińczyk sięgnął po środki, które niosą ze sobą znaczne zagrożenie dla funkcjonowania cywilizacji jako takiej. W pewnym sensie Zhang Yiming otworzył cyfrową puszkę Pandory, której skutki działania są dziś trudne do oszacowania.

Należąca do firmy ByteDance aplikacja TikTok to lider najbardziej dynamicznie rozwijającej się branży w całym segmencie informatycznym. Mając ok. 2 mld użytkowników i pozyskując z reklam nawet 39,8 mld dol. rocznie, podbija wciąż kolejne rynki na świecie. Żaden inny podmiot nie wziął wirtualnej przestrzeni tak krótkotrwałym szturmem jak właśnie firma, na której sukces zapracował najmocniej Zhang Yiming. Co szczególnie istotne, ByteDance wciąż nie wszedł na giełdę, a gdy to uczyni w 2022 r., pobije z pewnością niejeden rekord.

BŁYSKOTLIWA KARIERA

Jak to zwykle bywa w przypadku gigantów branży internetowej, początki były bardzo skromne. Wywodzący się z prowincji Fujian twórca TikToka nie zaczynał wprawdzie w garażu jak jego amerykańscy odpowiednicy z Doliny Krzemowej, lecz już jako chłopak dorabiał, naprawiając komputery i tworząc strony internetowe. Swoją pierwszą profesjonalną pracę znalazł w start-upie Kuxun, prowadzącym wyszukiwarkę lotów i hoteli.

Zhang Yiming potrafił tworzyć wyszukiwarki również na własny użytek, a gdy pewnego razu głowił się nad tym, jak najtaniej wrócić na święta do domu (gdy podobne zamiary żywiła większość Chińczyków, a ceny szybowały w górę), opracował specjalny program, który pomógł mu szybko znaleźć najtańszy bilet. W ten sam sposób wyszukał dla siebie pierwsze mieszkanie w Pekinie: najpierw napisał algorytm uwzględniający jego osobiste preferencje, a później przedstawił agentowi nieruchomości efekt jego obliczeń w postaci konkretnej oferty.

Kolejnym miejscem pracy Zhanga był amerykański oddział Microsoftu, lecz nie zabawił w nim zbyt długo. W firmie Gatesa wszystko było zbyt sztywne,

eprasa.pl ed1acd778b

Nazwisko Zhang Yiming nie jest zanadto rozpoznawane na całym świecie, lecz w Państwie Środka człowiek ten ma status żywej legendy FOT. IMAGINECHINA/AP/EAST NEWS

a młody informatyk chciał pisać kolejne programy i próbować swoich szans. W Chinach trwała już wręcz mania tworzenia nowych aplikacji, które naśladowały programy z USA. Kolega namówił go więc do przejścia do Fanfou, czyli chińskiej wersji Twittera, a Zhang Yiming odpowiedzialny był za to, w czym był najlepszy, czyli za udoskonalanie wyszukiwarek, a także za trendujące tematy i analizę użytkowników. Kto wie, jak potoczyłyby się losy Fanfou, gdyby nie zamieszki z udziałem Ujgurów w 2009 r., w następstwie których chińskie władze zawiesiły dostęp do najbardziej popularnych serwisów internetowych na wiele miesięcy?

Przez dłuższy czas Zhang nie miał co robić, aż wreszcie pojawiła się okazja, aby spróbować czegoś zupełnie nowego. Znajoma pracująca dla amerykańskiego funduszu hedgingowego SIG zaproponowała mu spróbowanie swoich sił w nowym projekcie, którym tym razem była aplikacja służąca do wyszukiwania ofert na rynku nieruchomości nosząca nazwę 99Fang. Przyszły miliarder nauczył się przy tej okazji, jak pozyskiwać najbardziej istotne dla kupujących i sprzedających wiadomości branżowe. Korzystający z aplikacji mogli więc nie tylko znaleźć najlepszą ofertę, lecz także błyskawicznie dowiedzieć się wszystkiego, co istotne.

PIERWSZY WŁASNY INTERES

Udany start projektu 99Fang sprawił, że 29-letni Zhang Yiming postanowił wreszcie w 2012 r. założyć własną firmę. Finansowanie w wysokości 80 tys. dol. miał zapewnić ponownie amerykański SIG. Tak właśnie powstała firma ByteDance, która dziś zatrudnia już 110 tys. pracowników na całym świecie. Pierwszym jej projektem była aplikacja służąca do wyświetlania zabawnych zdjęć i memów. Potem przyszła kolej na kolejne, w których użytkownicy mogli oglądać m.in. zdjęcia atrakcyjnych dziewczyn. Tworzenie kolejnych programów przychodziło Zhangowi z wielką łatwością, dlatego ByteDance wypuszczał na rynek wciąż nowe aplikacje. Młody Chińczyk wiedział, że w końcu trafi na żyłę złota, wystarczyło jedynie cierpliwie przyglądać się reakcjom użytkowników.

O ile pierwszy zastrzyk pieniędzy dla ByteDance pochodził z USA, o tyle drugi miał swoje źródło w Rosji. W zamian za 7,2 proc. udziałów w firmie 60 mln dol. na dalszy rozwój wyłożył mający żydowskie pochodzenie miliarder Jurij Milner, znany z wielu innych inwestycji w Państwie Środka (m.in. w Alibabę i Xiaomi). Wsparcie dla biznesu Zhang Yiminga okazało się nad wyraz dochodowe, gdyż zaledwie w ciągu kilku lat przekształciło skromny pakiet akcji w aktywa warte miliardy dolarów.

Stosując metodę prób i błędów, założyciel ByteDance zauważył wreszcie, że największy potencjał posiada aplikacja Toutiao, co po chińsku znaczy po prostu „nagłówki". Pomysł na aplikację zbierającą nagłówki najważniejszych wiadomości brzmi dość banalnie, ale najważniejsze było to, w jaki sposób Zhang potrafił uczynić z niej przedmiot tak wielkiego zainteresowania. Już w 2011 r. Google zaczął używać w serwisie YouTube pierwszego systemu do rekomendacji zwanego Sybil. Dzięki niemu użytkownicy zaczęli otrzymywać specjalnie dostosowane do ich preferencji i zainteresowań podpowiedzi dotyczące kolejnych materiałów i tym samym pozostawali w popularnym serwisie na dłużej. Obecnie rozbudowane systemy rekomendacji są w Internecie

eprasa.pl ed1acd778b

chlebem powszednim, ale w czasach, gdy powstawał ByteDance, dopiero raczkowały. Ich prawdziwy rozkwit to zaledwie pięć ostatnich lat.

MISTRZ REKOMENDACJI

Prawdziwym mistrzem tej wątpliwej sztuki okazał się Zhang Yiming, który doskonaląc serwis Toutiao, analizował wszelkie możliwe dane dotyczące użytkowników i wypracował wreszcie formułę, która potrafiła najbardziej zawładnąć uwagą czytelników. W Toutiao prezentowano przede wszystkim lekkie i rozrywkowe treści, które za sprawą zastosowanych algorytmów niemal nigdy się nie kończyły. Zhang zrozumiał, że aby zawładnąć uwagą użytkowników, trzeba im dostarczyć wręcz nieskończony potok treści, obrazów i filmików, a żadna z tych treści nie może ich zatrzymywać na zbyt długo, lecz prowadzić wciąż ku kolejnej.

W czasie igrzysk olimpijskich w Pekinie w 2012 r. Zhang ze swoim zespołem opracował aplikację z wiadomościami generowanymi automatycznie przez komputer, które docierały do odbiorców szybciej niż te tworzone przez ludzi. Wedle przyjętej przez niego filozofii właściwie każdy sposób był dobry na to, aby pozyskać do tworzonej przez siebie bazy danych nowe osoby. ByteDance korzystał obficie nie tylko z preinstalowanego oprogramowania, lecz także z usług młodych dziewczyn, które w zamian za drobne upominki nakłaniały na ulicach chińskich miast przechodniów, aby zainstalowali Toutiao.

Jak miał się kiedyś wyrazić jeden z pracowników ByteDance: „Musimy zmierzyć się z tym, że potrzeby 96 proc. ludzi są prostackie". Zhang Yiming nie miał z tym jednak nigdy żadnych problemów i gdy tylko w Chinach upowszechniły się nadajniki sieci 4G umożliwiające większy transfer danych, zdecydował się na kolejny krok. We Francji i w USA zaczęły powstawać nowe serwisy umożliwiające publikację krótkich filmików, które szybko zostały jednak pobite przez chiński Musical.ly. Ostatni z nich był pierwszą aplikacją z Chin, która podbiła świat, gromadząc błyskawicznie 100 mln użytkowników.

Zhang postanowił stworzyć własną wersję Musical.ly, która początkowo nazywała się A.me, a potem Douyin (chwiejny rytm). Aby przyciągnąć użytkowników, zatrudniono nawet małą armię młodocianych influencerek ze szkół artystycznych. Zhang Yiming wiedział, że trzeba postawić wszystko na jedną kartę, ponieważ nawet w serwisie Toutiao najbardziej popularną zawartością stawały się krótkie filmiki. Ostatecznie w listopadzie 2017 r. ByteDance ogłosił, że przejmuje Musical.ly, i w ten właśnie sposób powstał TikTok.

MACHINA POCHŁANIANIA UWAGI

Posiadając ogromne zaplecze w postaci ogromnej bazy danych użytkowników, TikTok wręcz eksplodował i stał się najczęściej pobieraną aplikacją na świecie. Wiedząc, jak bardzo prymitywne są potrzeby użytkowników Internetu, a w szczególności tych nastoletnich, Zhang Yiming stworzył prawdziwą machinę do zarabiania wielkich pieniędzy. Im bardziej infantylne, prymitywne i żenujące materiały trafiały do serwisu, tym bardziej algorytmy TikToka potrafiły przyciągnąć do nich uwagę setek milionów użytkowników.

Zhang Yiming stworzył najbardziej złowrogi system uzależniający od prymitywnych treści setki milionów osób

Sukces firmy Zhang Yiminga stał się swego rodzaju momentem zwrotnym, gdyż począwszy od serwisów oferujących krótkie nagrania wideo, to już Chiny, a nie USA stały się liderem nowych trendów w branży informatycznej. Na sukces TikToka zapracowało przede wszystkim wyrafinowane oprogramowanie, w którego tworzeniu Chińczycy są już dziś bardziej zaawansowani niż Dolina Krzemowa.

Tak jak w przypadku Huawei największą przeszkodą dla TikToka może się jednak okazać polityka. Gdy latem ubiegłego roku doszło do starć na granicy chińsko-indyjskiej, aplikacja została wycofana ze wszystkich indyjskich sklepów z aplikacjami. Swego czasu głośno było także o całkowitym zakazie korzystania z TikToka w Stanach Zjednoczonych, który wprowadził Donald Trump, lecz został on zignorowany przez obecną administrację. Pojawiały się wówczas zarzuty, że ByteDance gromadzi dane na temat amerykańskich obywateli w sposób nielegalny, a nawet ich szpieguje. Związki pomiędzy firmą Zhang Yiminga a komunistycznymi władzami są jednak oczywiste, gdyż w Państwie Środka żaden biznes – a w szczególności tak rozpoznawalny na całym świecie – nie funkcjonuje spontanicznie. Xi Jinping traktuje zresztą stworzone przez ByteDance algorytmy jako własność chińskich władz, gdyż po zapowiedziach utworzenia przez firmę wspólnie z amerykańskim partnerem (Oracle) nowej aplikacji nałożył ograniczenia w ich udostępnianiu poza granicami kraju.

DOPAMINOWY KRÓL

Zawrotną karierę TikToka może niestety popsuć niedawna decyzja władz w Pekinie, która powinna dać do myślenia wszystkim rządom na świecie. We wrześniu postanowiono, że dzieci poniżej 14. roku życia będą mogły korzystać z aplikacji maksymalnie 40 minut dziennie i wyłącznie między godz. 10 rano a 6 wieczorem. Zaalarmowane coraz bardziej postępującym uzależnieniem od środków multimedialnych swoich młodych obywateli władze rozumieją, że muszą postawić tamę bardzo groźnemu zjawisku, nawet kosztem prawdziwej gwiazdy swojej gospodarki i narzędzia wpływów poza granicami.

Zhang Yiming zasługuje bez wątpienia na tytuł „dopaminowego króla", gdyż stworzył najbardziej złowrogi system uzależniający od prymitywnych treści setki miliony osób. TikTok to wielka machina zapewniająca niekończącą się sekwencję kilkunastosekundowego, pozornego szczęścia. Skutki korzystania z niego (a także z wielu innych aplikacji bazujących na zaawansowanych algorytmach rekomendacji treści) mogą się jednak okazać zabójcze dla całego Pokolenia Z. Młodzi ludzie są dziś niestety coraz bardziej dysfunkcyjni, gdyż wpadli w sidła zastawione na nich przez jednego z wielu „dopaminowych władców" i zaburzyli normalne funkcjonowanie swojego mózgu oraz całego ciała.

Wiedząc dobrze, do czego prowadzi jego działalność, „dopaminowy król" nie ustaje jednak w wysiłkach na rzecz jeszcze bardziej doskonałego narzędzia pochłaniania ludzkiej uwagi. Jego najnowsze dzieło nosi nazwę Luna i ma służyć do odtwarzania muzyki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Narodowy Bank Polski wyjaśnia:

Czy NBP „drukuje puste pieniądze”?

NBP nie „drukuje pustych pieniędzy” jak twierdzą autorzy fake newsów publikowanych w mediach społecznościowych. We współczesnych gospodarkach rynkowych pieniądz kreowany jest przez banki komercyjne poprzez udzielanie kredytów. Banki, udzielając kredytu, tworzą nowy pieniądz, którego nie było przed udzieleniem tego kredytu.

Dokonując zakupu obligacji na rynku wtórnym, NBP nie „drukuje pustych pieniędzy”. Bank centralny nie zwiększa podaży pieniądza, kupując obligacje. Te zakupy są dokonywane głównie od banków komercyjnych, które – w zamian za sprzedane papiery wartościowe – otrzymują płatność na swoje rachunki w NBP.

Te operacje banków centralnych działają w kierunku zwiększenia płynności rynku obligacji oraz spadku ich rentowności. To zaś ułatwia lub umożliwia rządom realizowanie programów fiskalnych, jak np. tarcze finansowe i to bez ponoszenia wysokich kosztów finansowania.

Dlaczego zatem zdarza nam się wypłacić nowe banknoty z bankomatu?

Banknoty i monety będące w obiegu ulegają zużyciu podczas ich używania, a w ich miejsce są wprowadzane nowe środki pieniężne. Nowe banknoty i monety w obiegu nie są więc efektem „druku pustego pieniądza”, a są rezultatem wymiany przez NBP zużytych egzemplarzy na nowe.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl edrace78b

Megalotnisko coraz bliżej

Wizualizacja terminala Centralnego Portu Komunikacyjnego autorstwa słynnej pracowni Foster + Partners FOT. MATERIAŁY PRASOWE CPK

Jacek Przybylski

Wreszcie wiadomo już oficjalnie, gdzie powstanie Port Solidarność. Spółka CPK przedstawiła w czwartek preferowany obszar nowego lotniska: ok. 41 km kw. na terenach położonych w gminach Baranów, Teresin i Wiskitki. Docelowo lotnisko – zbudowane ok. 40 km na zachód od Warszawy – ma obsługiwać 45 mln pasażerów rocznie i umożliwić stworzenie 150 tys. nowych miejsc pracy

Określiliśmy miejsce dla serca nowego układu komunikacyjnego Polski – oznajmił wiceminister infrastruktury Marcin Horała, pełnomocnik rządu ds. CPK. W skład inwestycji poza lotniskiem wchodzą również inwestycje kolejowe (do wybudowania jest 1,8 tys. km torów), a nowe i zmodernizowane połączenia na terenie kraju umożliwią przejazd między Warszawą a największymi polskimi miastami w czasie nie dłuższym niż 2,5 godziny. W czerwcu podpisano już m.in. studium wykonalności odcinka Kolei Dużych Prędkości z Warszawy poprzez CPK do Łodzi, po którym pociągi mają jeździć najpierw z prędkością do 250 km/h, a w przyszłości zwiększyć tę prędkość do 350 km/h.

Jeśli ambitny projekt uda się rzeczywiście zrealizować, to w rejonie CPK powstanie również Airport City, na którego terenie zbudowane mają zostać m.in. obiekty targowo-kongresowe, konferencyjne i biurowe. Docelowo Port Lotniczy Solidarność ma zaś obsługiwać nawet 100 mln pasażerów rocznie, co pozwoliłoby wreszcie rozwinąć skrzydła narodowemu przewoźnikowi, a także sprawiłoby, że pod Warszawą powstałoby jedno z największych lotnisk w Europie i jeden z najlepiej skomunikowanych punktów na mapie Europy, powstały na skrzyżowaniu szlaków transportowych północ-południe oraz wschód-zachód.

Jednym z portów gigantów już teraz jest doradca strategiczny CPK, czyli spółka IIAC zarządzająca otwartym w roku 2001 lotniskiem Incheon w Seulu, które w roku 2019 obsłużyło 71,2 mln pasażerów, a i tak zdołało znaleźć się w czołówce najczystszych lotnisk świata według Skytrax. Lotnisko dysponujące czterema pasami startowymi zbudowano na sztucznej wyspie. W rankingu portów, które przed wybuchem pandemii obsłużyły najwięcej pasażerów, zajmuje ono 14. miejsce. Które miasta są w tej kategorii w ścisłej czołówce?

ATLANTA ZAWSZE NA SZCZYCIE?

Przez ponad dwie dekady pytanie o to, które lotnisko jest na pierwszym miejscu na świecie pod względem liczby obsłużo-

eprasa.pl ed1acd778b

nych pasażerów, było banalnie proste. Rok w rok przez 22 lata najwyższe miejsce na podium zajmowało lotnisko w Atlancie. Jako pierwsze na świecie przekroczyło ono magiczną barierę 100 mln podróżnych rocznie. Pandemia sprawiła jednak, że przestało być największym portem lotniczym na świecie. Z danych opublikowanych przez Międzynarodową Radę Portów Lotniczych (ACI) wynika, że Atlanta w roku 2020 obsłużyła 42,9 mln osób, czyli aż 67 mln mniej niż rok wcześniej. Mimo to lotnisko w Atlancie cieszy się ogromnym powodzeniem jako port przesiadkowy, ponieważ można z niego w ciągu zaledwie dwóch godzin dolecieć w miejsca zamieszkane przez 80 proc. Amerykanów. Eksperci już kilka miesięcy temu prognozowali więc, że najpopularniejsze lotnisko w Stanach Zjednoczonych szybko powróci na szczyt wszelkich statystyk i patrząc na dane za rok 2021, stanie się to już zapewne w tym roku. Podróżując przez Atlantę, trzeba więc pamiętać, że na tak gigantycznym lotnisku trzeba dać sobie dużo czasu na przesiadkę. Odcinek między odprawą a najdalej położoną bramką wynosi bowiem ponad 2 km.

W roku 2020 za najbardziej ruchliwe było uważane lotnisko w chińskim Guangzhou, przez które mimo koronawirusa przewinęło się aż 43,8 mln osób. To właśnie w tym porcie swoją główną bazę mają niezwykle popularne w Azji China Southern Airlines. W statystykach za pierwsze miesiące obecnego roku chiński gigant nie dzierży już co prawda lotniczej palmy pierwszeństwa, ale nadal utrzymuje się w pierwszej dziesiątce.

W zestawieniu sporządzonym przez specjalizującą się w dostarczaniu danych dotyczących podróży lotniczych firmę OAL w czołówce za 2021 rok znajduje się również lotnisko w Dubaju. Zbudowany na polecenie szejka port lotniczy działa oficjalnie od roku 1960. Początkowo pilotom musiał wystarczyć pas startowy z ubitego piasku. Dzisiaj port w Dubaju obsługuje najwięcej na świecie międzynarodowych podróżnych, którzy mogą stąd podróżować w ponad 250 kierunkach. Jednocześnie największy na Bliskim Wschodzie międzynarodowy port lotniczy znacząco przyczynia się do promocji turystycznej Dubaju, a także generuje ogromne przychody miejscowej gospodarce. Przed pandemią w roku 2019 port ten obsłużył ponad 86 mln pasażerów. Pasy startowego gigantycznego lotniska są zaś zdolne do przyjmowania największych samolotów świata, w tym

Preferowany obszar nowego lotniska obejmuje 41 km kw. na terenie gmin Baranów, Teresin i Wiskitki FOT. MATERIAŁY PRASOWE CPK

dwupoziomowych, czterosilnikowych airbusów A380 (uśmierconych niestety przez pandemię COVID-19).

Wiele wskazuje na to, że w tym roku trzecie miejsce zajmie port lotniczy Dallas-Fort Worth. Otwarte w 1974 r. lotnisko zajmuje powierzchnię 7,8 tys. ha i jest trzecie na świecie pod względem powierzchni po zajmującym 78 tys. ha porcie lotniczym króla Fahda (Ad-Dammam) w Arabii Saudyjskiej oraz lotnisku w Denver o powierzchni 13,7 tys. ha. Podobnie jak obecnie polski CPK megalotnisko Dallas-Fort Worth powstało zupełnie od zera. Jego lokalizację dokładnie jednak przemyślano. Port został zbudowany między dwoma metropoliami: Dallas oraz Fort Worth, które – wliczając w statystyki przedmieścia – zamieszkane są przez ponad 7 mln osób. Docelowo Dallas-Fort Worth – będący jednocześnie ważnym węzłem drogowym i kolejowym – ma obsługiwać ponad 100 mln pasażerów rocznie. Projekt pozwolił już zaś na stworzenie ponad 60 tys. nowych miejsc pracy.

Przed pandemią do grona lotnisk obsługujących największą liczbą pasażerów należało również Tokio-Haneda, które także w tym roku – według danych OAG – zajmuje miejsce w pierwszej piątce. Położony na wybrzeżu Zatoki Tokijskiej port lotniczy to największe lotnisko w Kraju Kwitnącej Wiśni i jednocześnie najważniejsza baza dwóch japońskich linii lotniczych: Japan Airlines oraz All Nippon Airways. Lotnisko dysponuje czterema pasami startowymi i jest uważane za jedno z najczystszych i najlepszych na świecie.

Zaraz za Japończykami znów w statystykach pojawiają się Amerykanie. O'Hare International Airport to jeden z najbardziej popularnych wśród Polaków port lotniczy w Stanach Zjednoczonych. Kontrolerzy ruchu lotniczego z pewnością nie cierpią tu na nudę: samoloty startują z O'Hare lub lądują na nim średnio raz na 30 sekund. Piloci do dyspozycji mają aż pięć pasów startowych. Chicagowski port lotniczy, zajmujący aż 2,6 tys. ha, to również główny hub linii lotniczych United Airlines oraz American Airlines.

LONDYN, PARYŻ, AMSTERDAM I FRANKFURT

Chociaż pandemia istotnie zmniejszyła ruch pasażerski w Europie, to wśród największych portów lotniczych nie brakuje tych ze Starego Kontynentu. Największym przesiadkowym lotniskiem pozostaje londyńskie Heathrow. Lotnisko zyskało już piąty terminal. Z Brytyjczykami tradycyjny bój toczą oczywiście Francuzi. Port Lotniczy im. Charles'a de Gaulle'a co roku jest jednym z najbardziej popularnych w Europie. To jednocześnie piąty pod względem powierzchni port lotniczy na świecie (zajmuje 3,2 tys. ha).

Brytyjczykom i Francuzom po skrzydłach depczą Holendrzy. Port lotniczy Amsterdam-Schiphol – położony na równinie odzyskanej po osuszeniu morskiej zatoki – jest uważany za jedno z najbardziej zaawansowanych technologicznie lotnisk. W sierpniu obecnego roku – według danych OAG – pierwszy raz w historii holenderski port był nawet uznany za lotnisko, które obsłużyło najwięcej pasażerów w danym miesiącu. Z walki o pasażerów nie rezygnują Niemcy, choć mogliby przecież uznać, że po co im megalotniska, skoro są dwa duże w Paryżu i w Londynie. Port lotniczy we Frankfurcie to główna baza Lufthansy, który słynie nie tylko z ogromnego przepływu pasażerów, lecz także z największego w Europie przeładunku towarów.

A co z warszawskim Okęciem, czyli Lotniskiem im. Fryderyka Chopina w Warszawie? Niestety, z racji jego położenia port ten nie nadaje się do znaczącej rozbudowy. Nie ma więc szans stać się jednym z europejskich czy światowych megalotnisk. Do transportowej ekstraligi Polskę wprowadzić może dopiero CPK. Oficjalna data zakończenia budowy to rok 2027.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Pensja konia trojańskiego

Nie ma tak niemądrego, a raczej – nazywając rzecz po imieniu – tak idiotycznego pomysłu, na który nie dałby rady wpaść któryś z posłów do Parlamentu Europejskiego i potem znaleźć odpowiedniej liczby kolegów po fachu, by temu fatalnemu pomysłowi nadać urzędowy bieg. No i oto jesteśmy świadkami narodzin kolejnego potworka – europejskiej płacy minimalnej, na szczęście na razie w fazie wstępnej, którą może jeszcze się uda – i oby! – zatrzymać. W każdym razie zawsze zdolny do pójścia złą drogą europarlament i tym razem nie zawiódł, ogłaszając, że jest, rzecz prosta, gotowy do rozmów o wprowadzeniu takiej europejskiej płacy minimalnej, która „zapewniłaby przyzwoity poziom życia w UE".

Informując o swej „pełnej gotowości" do podjęcia się owego wiekopomnego dzieła, podkreślono, że „PE uznał, iż kryzys koronawirusowy uwydatnił potrzebę wprowadzenia sprawiedliwej płacy minimalnej w UE", ponieważ „wielu pracowników na pierwszej linii walki z pandemią, takich jak opiekunowie, pracownicy służby zdrowia czy sprzątaczki, zarabiają płacę minimalną". W tej sytuacji europosłowie „z zadowoleniem przyjęli propozycję wprowadzenia odpowiednich wynagrodzeń w całej UE", a także sformułowali „stanowisko negocjacyjne PE", wskazując, że gdy także Rada UE ustali swoje stanowisko, „negocjacje między obiema instytucjami w sprawie ostatecznej formy tego prawa będą mogły się rozpocząć".

A może jednak pomysł europejskiej płacy minimalnej nie narodził się w głowie człowieka niemądrego, lecz przeciwnie – mądrego i niezwykle przebiegłego? I zamiast ubiegać sie o tytuł „europejskiej głupoty maksymalnej", powinien walczyć o inny – „europejskiego konia trojańskiego"? Jak bowiem wiadomo, tego typu rozwiązania są ze wszech miar na rękę gospodarkom państw bogatszych, którym trudno – z powodu wysokich płac – konkurować w ramach ułomnego, bo ułomnego, wszelako wspólnego rynku UE z gospodarkami państw biedniejszych, w których wysokość płac, także najniższych, z oczywistych powodów jest niższa, dając w ten sposób gospodarkom tych państw jedną z nielicznych przewag konkurencyjnych nad gospodarkami państw bogatszych, którymi dysponują.

I właśnie o pozbawienie gospodarek państw biedniejszych tej przewagi toczy się ta gra – o to naprawdę chodzi państwom bogatszym, które forsując projekt europejskiej pensji minimalnej, czyli w istocie projekt narzucenia państwom biedniejszym wyższej płacy minimalnej, nigdy, przenigdy się do prawdziwych motywów swej aktywności w tej sprawie nie przyznają. A przy tym bez najmniejszych skrupułów wykorzystują do przeprowadzenia tej operacji nie tylko własnych europosłów – bo to oczywiste, lecz także – w charakterze użytecznych idiotów – europosłów, przeważnie lewicowych, z państw, przeciw którym ta operacja jest wymierzona. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pączkowanie populizmu

Podczas gdy większość publicznej uwagi była skupiona na nowych covidowych restrykcjach, pan prezydent łaskaw był podpisać nowelizację przepisów, wprowadzającą horrendalne podwyżki mandatów. W praktyce karę w wysokości minimum półtora tysiąca złotych będzie można otrzymać za wykroczenie absolutnie banalne i niestwarzające żadnego zagrożenia – np. za blokowanie ruchu w warunkach recydywy. Wystarczy więc, że rok wcześniej przekroczyliśmy prędkość, a teraz nie zdążyliśmy zjechać ze skrzyżowania, a zmieniło się światło – i bach, półtora patyka wpada do budżetu. I taki właśnie – fiskalny – jest oczywiście główny cel tej hucpy. Spodziewajmy się zintensyfikowanych milicyjnych łapanek, bo budżet jest w pilnej potrzebie.

Uderza tu identyczna metoda postępowania co w przypadku covidowych restrykcji. Od ministra zdrowia nie dowiemy się, na jakich konkretnych analizach i badaniach oparto nowe decyzje. Sieć Obywatelska Watchdog Polska w odpowiedzi na swoje pytanie o przyczyny zamknięcia cmentarzy 1 listopada 2020 r. dostaje odpowiedź, że odtworzenie „procesów myślowych towarzyszących premierowi jest niemożliwe". W przypadku zmian w karaniu kierowców jest identycznie.

Czy ktokolwiek potrafi np. pokazać analizę uzasadniającą skasowanie kursów pozwalających zredukować liczbę punktów karnych? Czy ktoś sprawdził, jaki był wpływ tych kursów na sposób jazdy uczestniczących w nich kierowców? Oczywiście – nie. Dlaczego uparto się na drakońskie kary za przekroczenie dozwolonej prędkości o 30 km/h niezależnie od tego, czy dzieje się to na osiedlowej uliczce czy na autostradzie? Bo tak. Bo nie wiadomo. Rozsądna poprawka Konfederacji, aby operować tu procentową wartością, oczywiście przepadła.

Byłoby to nawet nieco zabawne, gdyby nie było przerażające. Tworzenie prawa na widzimisię, „bo tak jest w Niemczech", bo tego chcą wyborcy; bez analiz, bez namysłu i bez dyskusji. W efekcie mamy kolejne pięknie wypączkowane przypadki skrajnego populizmu. ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

WILDA CORNER

Lokale usługowe

ZAINWESTUJ LUB WYNAJMIJ!

Poznań, ul. Stefana Czarnieckiego

Grupa Inwest

www.**wilda-corner.pl**

+48 **882 818 848**

Termin zakończenia budowy

III kwartał 2022 roku

Wynajem

Powierzchnia 44 – 515 m², stawka od 59 zł/m² netto*

Sprzedaż

Powierzchnia 130 – 200 m², stawka od 9 900 zł/m² netto*

*w przypadku zakupu lub wynajmu całkowitej powierzchni lokalu ~630 m², cena podlega indywidualnej negocjacji

Możliwość aranżacji lokalu do Twoich potrzeb

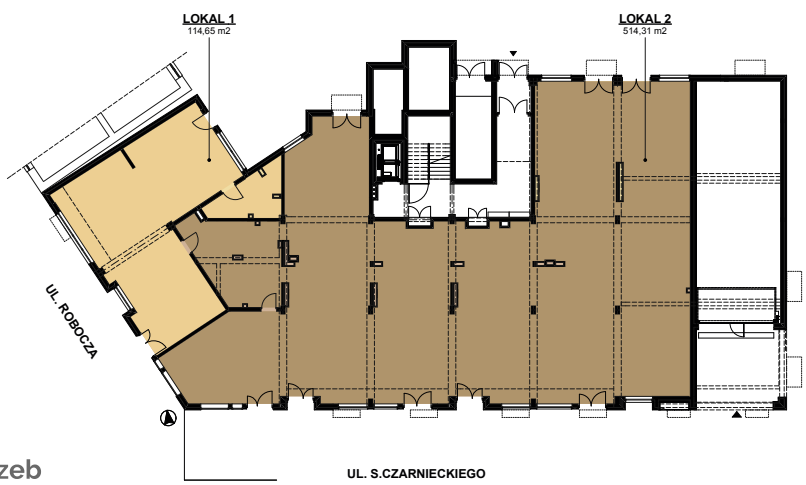

eprasa.pl ed1acd778b

Król na wygnaniu

Joanna Bojańczyk

Był kiedyś książę. Najpierw uwielbiany, potem przeklęty. Nazywał się Juan Carlos. Właściwie nie był księciem, tylko wnukiem króla. Ale króla bez królestwa, skazanego na wygnanie. Jego prawdziwym krajem, tym, którym jego przodkowie Burbonowie rządzili od trzech wieków, jest Hiszpania

FOT. PABLO CUADRA/GETTY IMAGES

Osiemdziesięciotrzyletni Juan Carlos, łowca słoni i spódniczek, beztroski sybaryta, przeżywa teraz epilog życia w emiracie Abu Zabi, w klimatyzowanej rezydencji z widokiem na morze. Samotny wódz, opuszczony przez naród jest dla lewicowej Hiszpanii krępującym złogiem przeszłości w czasach transparentności, poprawności politycznej i obyczajowej. W sierpniu 2020 r., sześć lat po tym, jak zrzekł się tronu na rzecz syna Felipe VI, eksmonarcha dobrowolnie opuścił Hiszpanię. Chciał udać się do Portugalii, gdzie kiedyś mieszkał, ale ta wydawała się zbyt bliska. Zasugerowano, żeby wybrał miejsce bardziej odległe, miejsce, z którego nie będzie przeszkadzał monarchii. I Juan Carlos zniknął z pola widzenia.

Teraz swoje wspomnienia przekazał francuskiej dziennikarce Laurence Debray, która opublikowała je w książce „Upadły król. Juan Carlos, król Hiszpanii". Książka ukazała się we francuskim wydawnictwie Stock. Autorka nie ukrywa, że książka jest rodzajem mowy obronnej króla. Jej wyznanie jest osobliwej natury. Po wychowanej w lewicowym domu dziewczynie – jej ojciec przyjaźnił się z Fidelem Castro – nie spodziewalibyśmy się obrony monarchii. Ale kto wie, czy właśnie nie dlatego ona potrzebowała autorytetu. „Brakowało mi postaci opiekuńczej, dającej poczucie bezpieczeństwa – wyznaje autorka. – Juan Carlos był założycielem współczesnej Hiszpanii. Mógł czuwać nade mną".

MIŁY, TROCHĘ PLAYBOY

Abu Zabi, czyste, lśniące szkłem miasto, kipiące bogactwem i nasycone technologiami, pręży swoje wieżowce w stronę chmur. I tylko 20 minut łodzią dzieli je od miejsca jak z futurystycznej pocztówki – wyspy ze sztucznym piaskiem, gdzie schronił się stary król, uchodźca z własnego kraju.

A przecież przez 40 lat panowania Juan Carlos był lubiany i popularny. Przysłużył się krajowi. Jeszcze w 2008 r. był uważany za najpopularniejszego przywódcę iberoamerykańskiego.

Na króla desygnował go Franco, chcąc wyrazić swe poparcie dla monarchii, choć w rzeczywistości prawo do tronu przysługiwało jego ojcu, wygnanemu w 1938 r. Don Juanowi de Burbon. Ale jego generał uważał za zbyt liberalnego…

I tak 37-letni uprzejmy, sympatyczny, trochę playboy, wykształcony w hiszpań-

eprasa.pl ed1acd778b

skich uczelniach wojskowy wstępuje na tron w roku 1975, dwa lata po śmierci Franco. I niespodziewanie staje się zwierzęciem politycznym. Oczekiwano, że podejmie dzieło generała. Ale on zapoczątkował reformy, które zliberalizowały reżim frankistowski i zaprowadziły Hiszpanię w stronę demokracji. W roku 1978 doprowadził do uchwalenia konstytucji, która wprowadziła w kraju monarchię konstytucyjną. W 1981 r. odegrał ważną rolę w uniknięciu zamachu stanu, który miał na celu odwrócenie demokratycznych reform.

Od czego zaczął się upadek? W roku 2012 Juan Carlos niegroźnie zranił się w nogę w czasie polowania w Botswanie. W Hiszpanii trwa zapaść ekonomiczna, połowa młodych ludzi jest bez pracy. A tu opinia publiczna dowiaduje się, że król zafundował sobie luksusowe safari w Afryce, które zresztą załatwił mu znajomy saudyjski przedsiębiorca. W dodatku udał się tam z aktualną metresą Corinną Larsen, zostawiając w Madrycie poczciwą i lubianą królową Sofię. Na nic tłumaczenia, wymówki. Czasy zmieniły się szybciej niż król.

Potem było tylko gorzej. Okazało się, że królewski zięć, mąż infantki Cristiny, były reprezentant kraju w piłce ręcznej, Iñaki Urdangarin, zdefraudował ponad 6 mln euro. Ostatecznie w 2017 r. Urdangarin został skazany na sześć lat więzienia i pół miliona euro grzywny za oszustwa podatkowe. W wyniku afery Cristina, która jako pierwsza z królewskiej rodziny stanęła przed sądem (była oskarżona o oszustwa podatkowe w 2014 r., później została uniewinniona), straciła tytuł księżnej Palma de Mallorca i zrzekła się praw do sukcesji.

Wychodzą na jaw nowe fakty: monarcha „zapomniał" zadeklarować przyjęcie od Abdulaziza Al-Sauda, króla Arabii Saudyjskiej, 100 mln dol., które umieszczono na koncie w Szwajcarii. Czy była to łapówka za wygranie przez firmę hiszpańską kontraktu na budowę szybkiego pociągu na trasie Medyna – Mekka? Juan Carlos się broni: nie posiada żadnej nieruchomości, nawet domu letniego, a kolekcje sztuki zgromadzone przez Burbonów zostały znacjonalizowane i nigdy monarchia nie zgłosiła w tej sprawie pretensji, gdy tymczasem republikanie, ograbieni przez frankistów, dostali rekompensaty.

Gdy w roku 1989 król Jordanii, Hussein, podarował mu dom na wyspie Lanzarote, Juan Carlos ofiarował go państwu. I wtedy Hiszpanie się nie oburzali.

Król nie jest zgorzkniały, nie ma do nikogo pretensji, choć wielu przyjaciół odwróciło się od niego

EMERYT W SZORTACH

Rezydencja starego króla na wygnaniu nie przypomina królewskiego pałacu. To pretensjonalny, spory i niezbyt ładny obiekt nad morzem. A w nim zgarbiony mężczyzna ubrany nie jak zwykł przez 50 lat w ciemny garnitur, ale jak amerykański turysta – w T-shirt, szorty i adidasy. Przechadza się po domu w towarzystwie hiszpańskich ochroniarzy, którzy także pomagają mu chodzić. Kuchnią i domem zajmuje się małżeństwo Filipińczyków. W salonie przerobionym na salę fitness robi codzienną gimnastykę. Czas nie ma względów dla błękitnej krwi – dokuczają biodra, bolą stawy. Starszy pan przeszedł kilkanaście operacji, w tym operację stawów biodrowych. W rezydencji nie ma lekarza ani pielęgniarki. Jednak regularnie pacjent razem z ochroniarzem odbywa sesję terapeutycznego pływania w basenie. To łagodzi bóle, przynosi ulgę dla bolących nóg.

Rutyna dnia jest niezmienna. Król kładzie się wcześnie i wcześnie wstaje. Po seansie w basenie lektura hiszpańskich dzienników na tablecie, rozmowy z adwokatami lub nielicznymi pozostałymi w ojczyźnie przyjaciółmi. Król nie jest zgorzkniały, nie ma do nikogo pretensji, choć wielu przyjaciół odwróciło się od niego. Przyjmuje rzeczywistość taką, jaka jest, choć lubi też snuć hipotezy o powrocie do kraju. Przecież wystarczy wsiąść do samolotu...

Czego najbardziej mu brakuje? – Jedzenia – mówi dziennikarce. I dodaje, że znajomy przywiózł mu szynkę serrano.

Regularnie odwiedza go prezydent Zjednoczonych Emiratów Arabskich Khalifa Bin Zayed Al-Nahyan, z którego ojcem się przyjaźnił, a teraz syn go przyjął i utrzymuje. Jest też rodzina emira – córki wpadły w odwiedziny trzy czy cztery razy. Natomiast z własnym synem Juan Carlos stosunki ma całkowicie zerwane. Felipe VI oficjalnie zrezygnował z majątku po ojcu i odciął mu sumę 192 tys. euro, która była mu przyznana jako emerytura. Ta suma przeszła na konto państwa. Cios jest dla króla tym boleśniejszy, że zadany przez syna. Juan Carlos jest odtrąconym królem, ale przede wszystkim odtrąconym ojcem. Ostatni sztych, prosto w serce.

Hiszpania zdaje się nie pamiętać zasług, które ma dla niej ten wyzuty ze wszystkiego 83-latek. Kiedy obejmuje schedę po Franco, jest dobrze wykształconym, ale niedojrzałym człowiekiem, rozdartym między dwoma mentorami: surowym ojcem i jeszcze bardziej wymagającym generałem. Lewica nim pogardza, frankiści mają go za nic. W dodatku ciąży na nim odpowiedzialność za śmierć młodszego brata Alfonso, który w 1956 r. zginął, czyszcząc pistolet. Broń okazała się być naładowana, kula trafiła chłopca w czoło, zmarł po kilku minutach. Siedemnastoletni starszy brat Juan Carlos był jedynym świadkiem wypadku, byli razem w pokoju. Nigdy o nim nie mówił. Dopiero niedawno, w dokumentalnym filmie Laurence Debray zrealizowanym dla telewizji francuskiej, wyznał: „Bardzo go kochałem, bardzo. Bardzo cierpiałem, że nie mogę z nim rozmawiać, że nie mogę z nim być".

Wypadek był poruszający. Maria de las Mercedes, matka dziecka powiedziała, że życie jej zatrzymało się w momencie śmierci Alfonsito. Król Juan wezwał podobno syna i kazał mu przysiąc, że nie zrobił tego naumyślnie.

URATOWAĆ LEGENDĘ?

Dzisiaj król uregulował sprawy podatkowe. Sprawy sądowe, które toczą się przeciwko niemu, nie doprowadziły do niczego. Gdy Laurence Debray namawia swego rozmówcę, aby próbował uratować swoją legendę, bo nikt go nie zastąpi, on odpowiada: „Instytucje, które zostawiłem w kraju, powinny wystarczyć. Ale to prawda, łatwiej zniszczyć instytucje, niż je odbudować".

Autorka książki broni Juana Carlosa: „Nie popełnił morderstwa, nikogo nie zgwałcił, nie okradł.

Tak, używał karty kredytowej udostępnionej przez kuzyna, podróżował prywatnym odrzutowcem. Działał arogancko, szalał, uważając się za nietykalnego, ponad prawem. Opinia publiczna i media społecznościowe żywiły się z entuzjazmem oskarżeniami, pomijając niuanse, zapominając o długim okresie prosperity i spokoju, które zawdzięcza mu Hiszpania. Jego wyczyny nie mają znaczenia wobec historii".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Kevin 30 lat później

Agnieszka Niewińska

Macaulay Culkin, który w kultowej świątecznej komedii został sam w domu, przekroczył czterdziestkę. Po tym, jak wpadł w pętlę uzależnień, wyszedł na prostą. Prowadzi własny portal, wrócił do aktorstwa, a w tym roku powitał na świecie pierwsze dziecko

Tylko na jedną noc – z 12 na 13 grudnia – można było wynająć dom ze słynnej komedii „Kevin sam w domu". Nowi właściciele znanej z filmu nieruchomości zaoferowali nocleg za pośrednictwem serwisu Airbnb za jedyne 25 dol. W willi z 1921 r., która znajduje się w miejscowości Winnetka w stanie Illinois, można poczuć się jak filmowy Kevin, którego rodzina zapomniała zabrać na bożonarodzeniowy wyjazd do Paryża. Dom udostępniony szczęśliwcom, którym udało się zarezerwować go na Airbnb, wygląda tak, jakby McCallisterowie dopiero co go opuścili. Nie brakowało nawet pułapek, które Kevin zastawił na włamywaczy.

Wygląda jednak na to, że oferta najmu jest jednorazowa. Nie ma już możliwości, by w kolejnych terminach zarezerwować dom Kevina. Za to nie brakuje możliwości, by świąteczną komedię obejrzeć po raz kolejny. W Wigilię pokaże ją Polsat. Reklama przy „Kevinie samym w domu" to najdroższa pozycja w grudniowym cenniku reklamowym Polsatu. Za spot trzeba zapłacić 73,7 tys. netto. Nic dziwnego. W ubiegłym roku film obejrzało ponad 4 mln widzów. Polsat raz chciał zrezygnować z powtarzania tej świątecznej komedii – w 2010 r. Po protestach widzów zdecydował się na emisję.

Oglądając obecne od trzech dekad produkcje – „Kevin sam w domu" (1990 r.) i „Kevin sam w Nowym Jorku" (1992 r.) – odtwórcę głównej roli Macaulaya Culkina mamy wciąż za 10-latka. Wielu fanów było zszokowanych, kiedy w ubiegłym roku media doniosły, że filmowy Kevin skończył 40 lat. Życzenia urodzinowe z tej okazji złożyła mu za pośrednictwem Instagrama życiowa partnerka Brenda Song. W kwietniu tego roku para doczekała się narodzin syna – Dakoty Song Culkina. W to Boże Narodzenie odtwórca roli Kevina z pewnością nie będzie sam.

IMPREZY, ALKOHOL, NARKOTYKI

Przez lata Culkin był wskazywany jako przykład dziecięcej gwiazdy, którą popularność przytłoczyła. Kiedy dorósł, pisano o nim głównie w kontekście uzależnienia od alkoholu, heroiny, leków przeciwbólowych. W 2004 r. został aresztowany za posiadanie m.in. marihuany i skazany na trzy lata w zawieszeniu.

Cieniem na życiu Culkina położyło się dzieciństwo – znacznie odbiegające od tego, jakie mieli jego rówieśnicy. – Kiedy miałem 12 lat, przestałem rozumieć, co to znaczy normalne życie. Wiedziałem tylko, że moje takie nie jest – opowiadał po latach w wywiadach.

Karierą Macaulaya – trzeciego z siódemki rodzeństwa – kierował ojciec, niespełniony aktor teatralny Kit Culkin. Liczna rodzina zajmowała mieszkanie z jedną sypialnią na Upper East Side na Manhattanie. Inwestycja w aktorskie kariery dzieci miała poprawić jej sytuację. Macaulay uczył się baletu, uczęszczał do studia teatralnego. Na przesłuchaniach zaczął się pojawiać, mając zaledwie cztery lata. Grywał epizody w teatrze i w serialach telewizyjnych. Na dużym ekranie zadebiutował w 1988 r. w filmie „Pogrzeb wikinga". W kolejnym roku pojawił się już w trzech filmowych produkcjach, w tym w „Wujaszku Bucku" w reżyserii Johna Hughesa. Hughes dostrzegł wielki talent młodego Culkina i specjalnie dla niego napisał scenariusz do filmu „Kevin sam w domu", a potem „Kevin sam w Nowym Jorku", które uczyniły Culkina globalną gwiazdą. W latach 90. chłopiec uchodził w Hollywood za jednego z najciężej pracujących aktorów. W ciągu sześciu lat zagrał w 14 filmach. W ubiegłym roku w wywiadzie dla magazynu „Esquire" mówił o tym, że w czasie, kiedy powstawał „Kevin sam w domu", podobało mu się bycie w centrum uwagi, praca na planie. – Podobało mi się, bo byłem w tym dobry i wiedziałem o tym – stwierdził.

Dla rodziny syn stał się maszynką do zarabiania pieniędzy. Aktor wspominał,

eprasa.pl ed1acd778b

Do tego, że dla większości świata wciąż jest Kevinem, Macaulay Culkin coraz częściej podchodzi z humorem

FOT. RODIN ECKENROTH/GETTY IMAGES

że ojciec zmuszał go do występowania, nie pytał, czy ma ochotę zagrać w jakimś filmie, czy podoba mu się scenariusz. Sam przyjmował propozycję, próbując dodatkowo obsadzić w produkcji inne swoje dzieci. Dziecięca gwiazda nie wiedziała nawet, ile pieniędzy zarabia, rodzice konsekwentnie milczeli w tej sprawie.

Młodszy brat Culkina, Kieran – który również rozpoczął karierę aktorską jako dziecko – stwierdził, że choć nie miał tak traumatycznych przeżyć jak jego starszy brat, to na Kita Culkina nigdy nie patrzył jak na ojca. – Nie był dobrą osobą ani dobrym rodzicem – powiedział mediom.

Po sukcesie „Kevina" Macaulay zaczął postrzegać kolejne mnożące się produkcje jako przykry obowiązek. – Mówiłem o tym, ale nikt mnie nie słuchał. „Chcę iść do szkoły, od pierwszej klasy nie spędziłem jednego całego roku w szkole – powtarzałem" – opowiadał „Esquire". Miał wrażenie, że choć wszyscy znają jego, to on nie ma przyjaciół, nikogo nie zna.

Na ekranie wypatrzył go za to Michael Jackson i postanowił go poznać. Z królem popu młodszy od niego o 22 lata Culkin był w kontakcie przez lata. Bywał w posiadłości Neverland, gościł na hucznych urodzinowych imprezach piosenkarza. Ta specyficzna przyjaźń miała wynikać z tego, że zarówno Jackson, jak i Culkin nie mieli prawdziwego dzieciństwa, w bardzo młodym wieku pracowali jak dorośli i musieli sobie radzić z popularnością. Po tym, jak pojawiły się oskarżenia wobec Jacksona o molestowanie seksualne chłopców, wielokrotnie pytano Culkina, czy Jackson go nie krzywdził. Ten zaprzecza, twierdzi również, że nie był też świadkiem, by Jackson krzywdził kogoś innego. Zeznawał na korzyść Jacksona w sprawie o molestowanie Gavina Arvizo. To w 2005 r. w sądzie widział się z królem popu po raz ostatni. Do dziś jest w kontakcie z dziećmi Jacksona, szczególnie z Paris Jackson. Jest ojcem chrzestnym trojga dzieci króla popu.

SPÓR Z MILIONAMI W TLE

Ostatnim filmem, w którym Culkin zagrał jako dziecko, był „Richie milioner" z 1994 r. Miał 14 lat i zbuntował się przeciwko obsadzaniu go w kolejnych filmach. Krótko po tym jego rodzice zdecydowali się na rozstanie. Długo walczyli w sądzie o prawa do opieki nad dziećmi. Macaulay zorientował się, że w rzeczywistości chodziło nie tyle o opiekę, ile o kontrolę nad pieniędzmi z jego funduszu powierniczego – opiewającego według szacunków na od 15 do 20 mln dol. Zdecydował o ustanowieniu pełnomocnika w miejsce rodziców. – Kiedy to zrobiłem, wszystko skończyło się dużo szybciej – wspominał.

Na ekrany Culkin wrócił po dziewięciu latach przerwy. W 2003 r. pojawił się w sitcomie „Will & Grace" oraz w filmie „Party Monster". Przez niemal dwie ostatnie dekady zagrał w ośmiu produkcjach. W mijającym roku można go było zobaczyć w serialu „American Horror Story". I choć żadna z dorosłych kreacji nie przyniosła mu takiego sukcesu jak role, w które wcielał się jako dziecko, to występ w „Changeland" zmienił wiele w jego życiu osobistym. Po serii nieudanych związków, małżeństwie zawartym w wieku 18 lat, które szybko się rozpadło, Culkin w 2017 r. poznał na planie „Changeland" Brendę Song, aktorkę, która jako dziecko zaczęła grać w produkcjach Disneya. Szybko zostali parą, kupili dom w Los Angeles, sprowadzając kolejnych domowników – koty, psa, rybki. To Song miała pomóc wyjść Culkinowi na prostą.

Aktor porzucił zespół rockowo-komediowy The Pizza Underground, z którym występował, i pod koniec 2017 r. założył rozrywkowo-lifestyle'owy serwis BunnyEars.com, gdzie ma swój własny podcast. Zatrudnia kilka osób na stałe i współpracuje z kilkudziesięcioma freelancerami. Twierdzi, że skończył z narkotykami, i podkreśla, że nigdy w tym uzależnieniu się nie zatracił, nie potrzebował odwyku. – Nie dotykam narkotyków. Kocham je, są jak starzy przyjaciele, ale czasami z przyjaciół się wyrasta – powiedział „Esquire". Mówi, że teraz jest domatorem. Trzy dni w tygodniu pojawia się w redakcji BunnyEars.com, w pozostałe dni zajmuje się domem, zwierzętami, a teraz przede wszystkim synem. Razem z Song strzegą swojej prywatności. Nie informowali o ciąży ani o narodzinach dziecka. Potwierdzili je w odpowiedzi na zapytania mediów, ale w sieci nie znajdziemy zdjęć małego Dakoty.

Imię Culkin nadał synowi na cześć starszej siostry Dakoty, która zginęła w wypadku w 2008 r. w Los Angeles, gdzie próbowała swoich sił w branży produkcji filmowej. Rodzeństwo długo nie mogło się otrząsnąć po jej śmierci, bo choć od lat nie utrzymują kontaktu z ojcem, to mają bliskie kontakty między sobą. Wśród nich jest zresztą więcej gwiazd show-biznesu. W ostatnich latach dużą popularność zdobył wspomniany już Kieran Culkin. Już jako dziecko wystąpił m.in. w komediach „Ojciec panny młodej" i „Ojciec panny młodej 2". U boku starszego brata pojawił się m.in. w „Kevin sam w Nowym Jorku", wcielając się w jego młodszego kuzyna Fullera McCallistera. Jego filmografia jest dłuższa od filmografii Macaulaya. Świetne recenzje przyniósł mu film „Ucieczka od życia" z 2002 r., a największą popularność rola w serialu „Sukcesja". Był czterokrotnie nominowany do Złotych Globów. Aktorem został także najmłodszy Culkin, urodzony w 1989 r. Rory.

„MAM PIENIĄDZE, MAM SŁAWĘ"

Macaulay dzieciństwo stara się zostawić za sobą. Zwraca uwagę, że wiele dzieci ma trudniejsze doświadczenia. – Nie pracowałem w kopalni węgla. Nie byłem dzieckiem żołnierzem. Mój ojciec nie wykorzystywał mnie seksualnie – mówił w ubiegłym roku dziennikarzowi „Esquire". – Spójrz na mnie: mam pieniądze, mam sławę, mam piękną dziewczynę, piękny dom i piękne zwierzęta […]. Nie jest tak źle. Niczego mi nie brakuje, a potrzebuję nawet mniej – stwierdził.

Do tego, że dla większości świata wciąż jest Kevinem, coraz częściej podchodzi z humorem. W dniu 40. urodzin napisał na Twitterze: „Hej, chcecie się poczuć staro? Skończyłem 40 lat".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

Przerwać ciszę

Katarzyna Pinkosz

Gdyby wskazać Polaka, który miałby otrzymać Nobla z dziedziny medycyny, kandydatem numer jeden byłby prof. Henryk Skarżyński. Dzięki niemu i stworzonemu przez niego zespołowi tysiące osób odzyskało słuch, a Polska jest dziś światową stolicą nowoczesnego leczenia wad słuchu

Życie jest za krótkie, by przejść przez nie byle jak i nie pozostawić po sobie na Ziemi choćby małego śladu. Ze wszystkich sił staram się robić to, co potrafię najlepiej, żeby nie żałować, że czegoś nie zrobiłem, nie wykorzystałem jakiejś szansy, kiedy mogłem pomóc drugiemu człowiekowi, a nie pomogłem" – to motto, którym stara się w życiu kierować prof. Henryk Skarżyński, założyciel i dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach, najczęściej nagradzany i doceniany polski lekarz. To dzięki niemu Polska jest światową stolicą leczenia wad słuchu, częściowej i całkowitej głuchoty, i to tu, do Polski, przyjeżdżają lekarze z całego świata, żeby się uczyć. Lekarze w podwarszawskich Kajetanach wykonują najwięcej na świecie operacji poprawiających słuch: 15–18 tys. rocznie (to kilka razy więcej niż w czołowych ośrodkach światowych). Cyfry mówią same za siebie: 4 mln konsultacji i badań, ponad pół miliona zabiegów chirurgicznych, ponad 12 tys. wszczepionych różnego rodzaju implantów słuchowych – to bilans 25-lecia Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu. – Nie ma w Polsce ani we współczesnej światowej medycynie drugiego takiego ośrodka, który w tak krótkim czasie osiągnąłby tak wysoką pozycję nie tylko w kraju, lecz także na świecie – przyznaje prof. Skarżyński. On sam ma za sobą ponad 210 tys. wykonanych zabiegów i operacji.

Znakomity organizator: kierowany przez niego Instytut nigdy nie był zadłużony (co jest ewenementem, jeśli chodzi o polskie placówki medyczne). Ale tu operacje odbywają się od wczesnego ranka (od godz. 6.30–7) do późnego wieczora, by sprzęt i aparatura były jak najlepiej wykorzystane. Mógłby być bohaterem niejednego hollywoodzkiego filmu, tak wielu osobom zmienił życie. Wszystko, co osiągnął, zawdzięcza sobie. Kto chce poznać jego charakter, ten może sięgnąć po „Powrót Beethovena", napisaną przez niego niedawno powieść filmową, w której przeplatają się wątki autobiografii profesora z historiami jego pacjentów oraz fragmentami listów Ludwika van Beethovena i wspomnieniami osób współczesnych kompozytorowi.

CZY DZIŚ UDAŁOBY SIĘ OCALIĆ SŁUCH BEETHOVENA?

Lista osiągnięć profesora jest długa. Wybrane: jako pierwszy w Polsce wszczepił implanty – ślimakowy, do pnia mózgu, do ucha środkowego. Zapoczątkował pierwszy w świecie program leczenia częściowej głuchoty i zachowania resztek słuchowych, zoperował pierwszego w świecie pacjenta dorosłego z częściową głuchotą, a dwa lata później pierwsze w świecie dziecko z częściową głuchotą. Metoda, znana jako „metoda Skarżyńskiego", została uznana za polską specjalność i wdrożona już w kilkudziesięciu ośrodkach na świecie. Nic więc dziwnego, że znając pasje muzyczne profesora, który jest miłośnikiem muzyki klasycznej, zwłaszcza Beethovena, wielu jego pacjentów pytało, czy gdyby kompozytor żył w obecnych czasach, można byłoby ocalić mu słuch, który tracił. – Odpowiadałem trochę przewrotnie, że rzeczywiście, moglibyśmy pomóc Beethovenowi. Ale gdyby nie tracił słuchu, być może nie stworzyłby wielu utworów, którymi się zachwycamy – opowiada profesor.

Książka ukazuje drogę, którą przeszedł Henryk (alter ego profesora), za-

eprasa.pl ed1acd778b

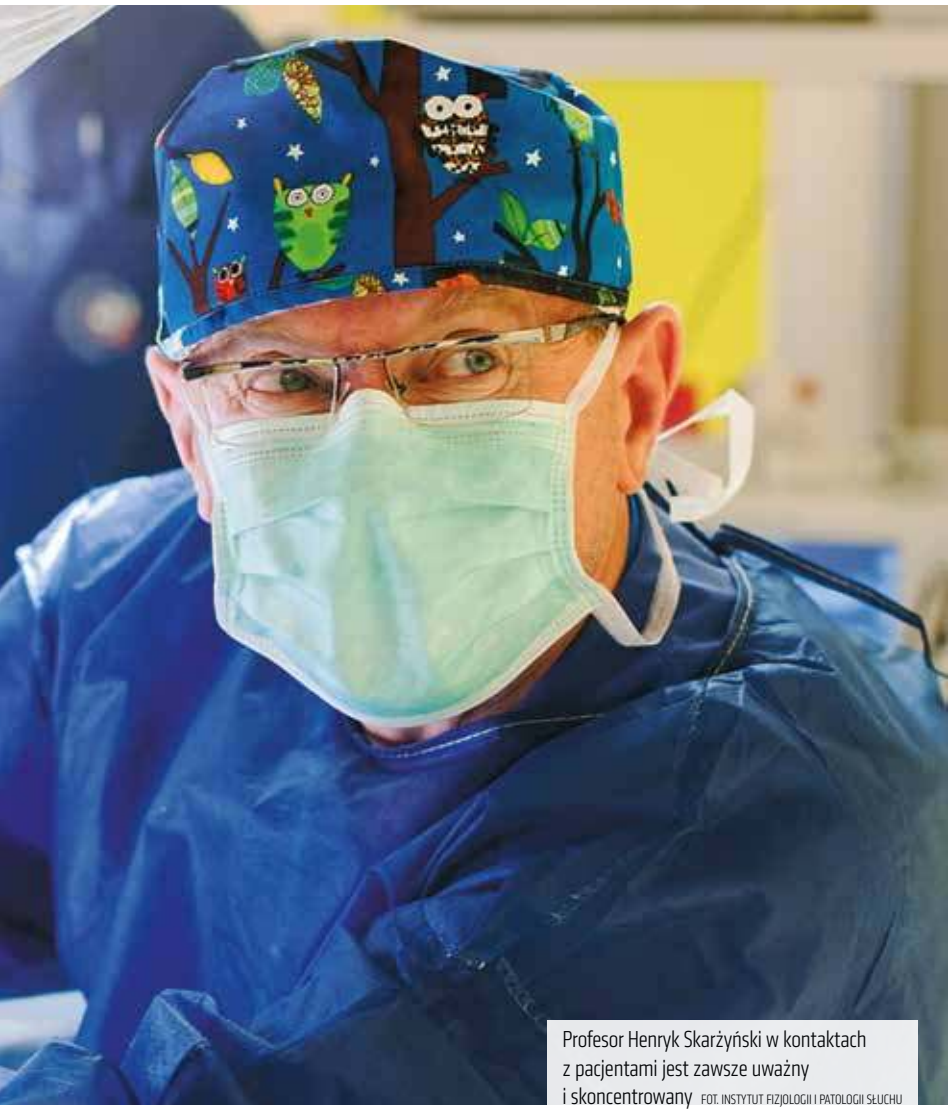

Profesor Henryk Skarżyński w kontaktach z pacjentami jest zawsze uważny i skoncentrowany FOT. INSTYTUT FIZJOLOGII I PATOLOGII SŁUCHU

nim osiągnął sukces. Rok 1973: opuszcza rodzinne strony, wyjeżdżając na studia do Warszawy. Studenckie życie, surowe warunki w akademiku czasu PRL, nauka do egzaminów, mecze w piłkę nożną z kolegami – Henryka wyróżniają ogromna ambicja, pracowitość, chęć bycia najlepszym, ale też wzruszające listy, które pisze do mamy: „Jutro najtrudniejszy egzamin, test, chyba nie umiem ich jeszcze pisać. Potrafię narysować każdy mięsień, nerw, małą tętniczkę. W mojej grupie jestem jednym z najlepszych, wszyscy uczą się z moich rysunków. Mam ich tyle, że kiedyś wydam specjalny atlas [...]. Mamo, po tym egzaminie przyjeżdżam do domu. W lipcu chcę być z Wami. Pomogę Ci, Mamo…". To jej przez długie lata zwierza się z sukcesów, ale też z trudnych chwil. Jak wtedy, gdy 20 lat później dostanie od Ministerstwa Zdrowia odmowę finansowania stworzenia nowego Instytutu („Dyrektor wyśmiał mój pomysł, nie chciał nawet popatrzeć na program, powiedział: »Pan chce instytutu ucha, następny przyjdzie i będzie chciał instytutu kciuka lub palucha«").

Uparty, pracowity i ambitny, postawił na swoim, ale droga do sukcesu nie była łatwa. Nie zawsze pomysły nowych operacji (które nieraz przeczyły obowiązującym standardom) zyskiwały aplauz środowiska medycznego. Zdarzały się też momenty bardzo trudne, jak w 2014 r., gdy spowodowane pomówieniami liczne kontrole groziły wręcz zawieszeniem działalności Instytutu. Trudna droga, podobnie jak trudne są opisane przez profesora drogi życiowe pacjentów, którzy odzyskują słuch.

Czy jednak Beethovenowi można by dziś pomóc? – Możemy pomóc prawie każdemu. Implanty ślimakowe można wszczepić do ucha wewnętrznego po wykryciu wady wrodzonej już w pierwszych miesiącach życia. Implanty ucha środkowego znakomicie wspomagają słyszenie w przypadku różnych jednostek chorobowych, a implanty wszczepiane do pnia mózgu pomogą w przypadkach niewykształconych lub uszkodzonych bezpowrotnie nerwów słuchowych – mówi prof. Skarżyński. Kilkumiesięcznego dziecka, które urodziło się głuche, po roku korzystania z implantu nie sposób odróżnić od słyszącego od urodzenia rówieśnika. Osoby głuche i z głębokim niedosłuchem dzięki wszczepieniu implantów i rehabilitacji mogą nauczyć się mówić biegle (i to w kilku językach), grać na instrumentach, śpiewać. Najlepszych już od siedmiu lat można zobaczyć i posłuchać podczas organizowanego przez profesora festiwalu Ślimakowe Rytmy. Zadziwiają świat, jak może grać i śpiewać osoba, która miała poważny deficyt słuchu.

Już w szkole średniej zaczął pisać wiersze i pisze je nadal, nieraz w przerwach między operacjami, konsultacjami, na kongresach naukowych. Bardzo często są to wiersze o pacjentach.

Profesor jest też autorem libretta musicalu „Przerwana cisza", który pokazuje historie życia osób, które urodziły się głuche lub z całkowitym niedosłuchem, ich pasje życiowe i problemy, zachwyt, ale często też brak zrozumienia otoczenia. Musical, do którego muzykę napisał Krzesimir Dębski, a reżyserował Michał Znaniecki, można było obejrzeć w Warszawskiej Operze Kameralnej. Obok zawodowych aktorów występowali pacjenci profesora. Nie sposób było ich odróżnić od osób, które zawsze słyszały.

BŁYSKI W OKU

Pierwsze telekonsultacje z wykorzystaniem Internetu zaczął przeprowadzać ponad 20 lat temu, kiedy jeszcze niemal nikt w Polsce nie słyszał o telemedycynie. Dzięki współpracy z prof. Andrzejem Czyżewskim i jego zespołem z Politechniki Gdańskiej stworzył kolejne narzędzia do badań diagnostycznych („Słyszę", „Widzę" i „Mówię"). Zostały uznane za najlepsze innowacyjne wynalazki europejskie, obsypane nagrodami na najważniejszych salonach wynalazczości i postępu technologicznego w świecie. – Ma wybitną osobowość, jest bardzo otwarty na innowacje. On rozkwita, gdy ktoś przychodzi do niego z nowym pomysłem lub w czasie rozmowy pojawia się nowa idea. Oczy mu błyszczą, słucha, notuje, pamięta, a pamięć ma niezwykłą, potrafi przypomnieć ze

eprasa.pl ed1acd778b

Światowe Centrum Słuchu w Kajetanach

FOT. ŚWIATOWE CENTRUM SŁUCHU

szczegółami rozmowę sprzed 30 lat. W Polsce mamy za mało ludzi, którzy są tak otwarci. Często, gdy się przedstawia komuś coś nowego, to widzi się, że on patrzy w sufit, w okno. A Henryk ma błysk w oku, jak usłyszy coś ciekawego – opowiada prof. Andrzej Czyżewski. Pierwszy projekt, przy którym współpracowali, to było urządzenie dla osób jąkających się, później wspólnie tworzyli systemy przesiewowe do masowych badań słuchu, wzroku i mowy poprzez Internet. – Ja miałem pomysł, by robić to przez Internet i wprowadzić do szkół, opracowałem go, natomiast 99 proc. sukcesu to był prof. Skarżyński. To on wprowadzał ten projekt w polskich szkołach i na kilku kontynentach! Każdemu inżynierowi, który ma pomysł na nową technologię, życzyłbym, żeby trafił na taką osobę – dodaje prof. Czyżewski.

Kolejne osiągnięcia telemedyczne: pierwsza na świecie Krajowa Sieć Teleaudiologii, a potem Międzynarodowa Sieć Teleaudiologii. Dzięki nim można przeprowadzić badania przesiewowe słuchu i mowy w Polsce, a także innych krajach Europy, Azji, Afryki, Ameryki. Można też na odległość ustawić pracę procesora mowy, nadzorować rehabilitację.

Nie zatrzymuje wiedzy i umiejętności dla siebie. Przeprowadzane przez niego operacje, szczególnie te, podczas których wszczepia implanty słuchowe, oglądają na żywo – znów dzięki telemedycynie – chirurdzy w Polsce i na świecie. Wykonał ich już grubo ponad tysiąc: w Polsce, a także w innych krajach Europy i na innych kontynentach. – W ramach globalnej światowej sieci telemedycznej „LION" pokazujemy na żywo też inne operacje poprawiające słuch, są oglądane na różnych kontynentach. Nie są to łatwe pokazy, trafiają się nietypowe przypadki chorób wrodzonych, nabytych; operuję, mając świadomość, że na moje ręce patrzy kilka tysięcy osób – mówi prof. Skarżyński.

Centrum Studiów Zaawansowanych Politechniki Warszawskiej przyznało mu wyróżnienie „Laus tibi non tuleris qui vincula mente animoque", czyli „Chwała Ci za to, że nie pozwoliłeś nałożyć więzów na swój umysł i swojego ducha". Profesor Krzysztof Zaremba, ówczesny dziekan Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej (a dziś rektor PW), mówił wtedy o prof. Skarżyńskim: „Jest wizjonerem, ma znakomite pomysły, które konsekwentnie realizuje, ma wizję, patrzy w przyszłość. To człowiek wielu talentów".

PRACA, PIŁKA I RODZINA

Lista nagród jest bardzo długa: od prezydenta, premiera, ministrów zdrowia, nauki, gospodarki, edukacji, rozwoju regionalnego; medal Stulecia Odzyskanej Niepodległości, Medal Prymasowski, Order Uśmiechu, Ecce Homo, tytuł Człowieka Wolności, Lodołamacza. Ma też m.in. nagrody króla Belgii, prezydentów Gruzji i Ukrainy, papieża Franciszka, Złoty Medal Prix Gallien za Krajową Sieć Teleaudiologii (w międzynarodowym jury zasiada ponad 150 naukowców z całego świata, w tym kilkunastu laureatów Nobla). Najbardziej cieszą go sukcesy pacjentów, którzy dzięki przywróceniu słuchu komunikują się, realizują swoje pasje. I słowa rodziców małych pacjentów: „Spokojnie, z precyzją Mistrza ratuje życie. Do końca życia będę pamiętać o Tym Wspaniałym Cudotwórcy".

W kwestionariuszu Prousta, na którego pytania odpowiedział Czesławowi Czapliński, przyznał, że jego największą wadą jest pracoholizm. – Sukcesy nie przychodzą same. Wymagają poświęcenia, samodyscypliny, determinacji i siły, która pozwala na pracę po kilkanaście godzin na dobę. Praca jest moją pasją, zawsze miała jednak konkretny cel: pomoc pacjentom. Ciągle przypominam sobie i współpracownikom: postępujmy tak, jakbyśmy chcieliby, żeby wobec nas postępowano, gdy będziemy pacjentami – powtarza.

W jego życiu ważną rolę odgrywa rodzina: jest ojcem dwóch synów i szczęśliwym dziadkiem Zosi, Tosi i Marysi. Relaksuje się, jeżdżąc na nartach, spacerując po stworzonym wokół Instytutu w Kajetanach Parku 10 Tysięcy Kroków (tyle trzeba codziennie przejść, by przedłużyć życie o 10 lat) i grając w piłkę nożną, która jest jego pasją od dziecka. Gra co tydzień, zawsze o tej samej porze. Można go też spotkać na stadionie, jest zagorzałym kibicem. Wiedzą na temat piłki nożnej imponuje nawet komentatorom tego sportu.

W kontaktach z pacjentami: zawsze uważny i skoncentrowany. – Wzór delikatności, taktu, a jednocześnie bardzo pomocny i wspierający – mówi jeden z jego współpracowników. Jest twórcą Instytutu, ale też polskiej, europejskiej, a właściwie światowej szkoły leczenia, w czym pomaga mu stworzony przez niego zespół. Od współpracowników wiele wymaga (dlatego nie zawsze jest łatwym szefem) i często potrafi postawić na swoim, ale przede wszystkim dużo wymaga od siebie.

Nie spoczywa na laurach, stara się wprowadzać kolejne innowacyjne metody leczenia. Nie poprzestaje na wadach słuchu: od kilku lat propaguje i organizuje (w ramach programu „Po Pierwsze Zdrowie") kompleksowe badania profilaktyczne. Od trzech lat gromadzi też wszechstronne grono ekspertów na Kongresie Zdrowia Polaków, podczas którego pokazuje osiągnięcia polskiej medycyny, ale też bolączki systemu ochrony zdrowia. I niezmiennie apeluje, żeby na problemy zdrowia patrzeć ponad podziałami politycznymi. – Nigdy nie narzekałem, że czegoś nie da się zrobić. Za prezydentem USA Thomasem Jeffersonem powtórzę: „Jest nieprawdopodobne, ile może zrobić człowiek, jeżeli robi to systematycznie". Pokonywanie barier może nie zawsze jest miłe, ale wtedy nie dawałoby takich szans, by pozostawić ślady na ziemi – mówi profesor.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

REPUBLIKA

Koncert Kolęd

Magiczny koncert pełen kolęd w Telewizji Republika!

Premiera:

24.12.2021, godz. 21:30

Usłyszą Państwo skrzypce o skali ludzkiego głosu oraz harfę o niezwykłej barwie. Wyjątkowe trio smyczkowe zaaranżuje popularne kolędy, wykorzystując skrzypce, altówkę i wiolonczelę.

Partner strategiczny: PGNiG

Partner główny: Elektro Odzysk, PharmaNET, Fundacja KGHM

Partner: budimex, Cechini, Pocztex, żabka

eprasa.pl ed1acd778b

Łukasz Zboralski

Nigdy się nie poddawaj

Kiedy wszystko się wali i wydaje się, że to już koniec, trzeba zacisnąć zęby i spróbować jeszcze raz. Historie tych sportowców udowadniają, że prawdziwa siła człowieka to jego wola

Po dziewięciu latach od fatalnego wypadku Robert Kubica znów zasiadł w bolidzie jako kierowca F1 FOT. ALFA ROMEO RACING

Karol Bielecki stracił oko po faulu. Nie porzucił piłki ręcznej. Zdobył brązowy medal mistrzostw świata FOT. ZWIĄZEK PIŁKI RĘCZNEJ W POLSCE

Ile razy w życiu rezygnujemy, gdy napotykamy większe trudności? Ile razy przemyka nam przez głowę, że to już koniec, zamknięta droga, trzeba zmienić marzenia i plany? Nie zawsze trzeba odpuścić. Są ludzie, którzy udowodnili, że nawet z największych opałów można wyjść silniejszym i dopiąć swego. Historie polskich sportowców dają nadzieję – bardzo często „niemożliwe" jest tylko w naszych głowach. Najważniejsze są serca.

BARIERA W KARIERZE

Rok 2010 był niezły dla Roberta Kubicy. Sezon zakończył na ósmym miejscu w klasyfikacji generalnej ze 136 punktami. Nie tak dobrze, jak dwa lata wcześniej, gdy uplasował się na czwartym miejscu, ale przecież do siódmego Rosberga tracił zaledwie sześć punktów, a dziewiąty Schumacher odstawał aż o 64 punkty. Jak się potem okazało, Kubica miał już przedwstępną umowę z teamem Ferrari. Miał trafić do niego po kolejnym sezonie.

Pod koniec stycznia 2011 r. wziął udział w prezentacji bolidu Renault R31 i wykręcił najlepszy czas na torze Ricardo Tormo. Chwilę później wsiadł do skody fabii S200 EVO i wraz z pilotem Jakubem Gerberem ruszył na trasę rajdu Ronde di Andora.

6 lutego przed południem Kubica za kierownicą skody pokonywał jeden z zakrętów odcinka specjalnego włoskiego rajdu. Pojechał minimalnie za szybko, tylne koła utraciły przyczepność. Samochód uderzył przodem w barierę. Ta – jak tłumaczyli potem eksperci – była wadliwie zmontowana. Zamiast wyprowadzić samochód na tor jazdy, wbiła się w pojazd. Szczęście w nieszczęściu – nie przebiła kierowcy, ale Kubica był ranny. Pilot wysiadł o własnych siłach, Roberta trzeba było wycinać z wraku. Był przytomny. Narzekał, że mu trochę zimno.

Potem szybka akcja ratunkowa, transport do szpitala w Pietra Ligure. Złamana noga i zmiażdżona ręka. Nie było wiadomo, czy uda się ją uratować. Cały sportowy świat, a najbardziej polscy kibice wyczekiwali kolejnych informacji w napięciu: wybudzenie ze śpiączki, przywrócenie krążenia w ręce. Wielu zaczęło sobie zdawać sprawę, że to raczej koniec przygody z F1. I to w takim momencie! Wiedział to też sam Kubica, bardzo to przeżywał. – Nagle, w jednej chwili, straciłem to, co było niemal całym moim życiem. Nie mam sobie za złe. To była moja decyzja. Bardzo możliwe, że gdybym miał to zrobić jeszcze raz, to albo bym tego nie robił, albo podszedłbym do tego zupełnie inaczej – wspomniał Kubica po latach chwile wypadku.

Wtedy zaczęła się długa droga. Kolejne operacje, rehabilitacje, mozolny powrót do zdrowia – i wszystko po to, by znów zasiąść za kierownicą i poczuć adrenalinę na sportowej trasie. We wrześniu 2021 r. Kubica znów wsiada do wyścigowego samochodu w rajdzie Ronde Gomitolo di Lana, wygrywa wszystkie odcinki specjalne i dojeżdża na metę pierwszy.

Startuje przez kilka lat w rajdach WRC. Wszyscy godzą się, że tak już zostanie. Jest gdzieś tam jednak niedosyt, poczucie

eprasa.pl ed1acd778b

zmarnowanej szansy, wypadnięcia z najwyższej półki samochodowych zmagań.

W 2017 r. okazało się, że Robert nie pogodził się z tym, iż F1 to przeszłość. Stanął do testów. Sprawdzał go Renault, sprawdzał Williams, ale ostatecznie to nie on dostał angaż.

Rok później wrócił już do bolidu. Został kierowcą rozwojowym i rezerwowym w Williamsie. Po zakończonym sezonie po raz kolejny dostał ofertę od Scuderia Ferrari – tym razem miał pracować nad rozwojem tego zespołu w symulatorze. I ofertę odrzucił. Bo poczuł już, że stać go w F1 na regularne starty w wyścigach.

To udało się w 2019 r., po dziewięciu latach. PKN Orlen został sponsorem teamu Williams, a Polak jego kierowcą. Po roku przenieśli się do teamu Alfa Romeo Racing. Robert Kubica jest tam kierowcą rezerwowym. I w kolejnym sezonie nie opuści F1. – Robert Kubica w przyszłym roku nadal będzie kierowcą rezerwowym Alfy Romeo, a Orlen pozostanie sponsorem tytularnym tego zespołu – zapowiedział w listopadzie na konferencji prasowej Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen.

Robert chce się wciąż ścigać w wyścigach długodystansowych European Le Mans Series. – Moim głównym celem jest bycie kierowcą wyścigowym – powiedział przed kolejnym sezonem.

UPAŚĆ JEST NAJPROŚCIEJ

Dla innego wielkiego sportowca rok 2010 okazał się równie tragiczny jak dla Kubicy. Był czerwiec, towarzyskie spotkanie polskich piłkarzy ręcznych z reprezentacją Chorwacji. Na parkiecie 28-letni Karol Bielecki – znakomity zawodnik, właściwie u szczytu swoich możliwości. Na jego transfer niemiecki klub Rhein-Neckar Löwen wydał w przeliczeniu 1 mln zł – takiej sumy za polskiego szczypiornistę jeszcze nie było. Podczas meczu „Kola" ściera się z Josipem Valicem, a Chorwat – jak do dziś utrzymuje, przypadkowo – wsadza kciuk w oko polskiego zawodnika. Polak pada na parkiet, a ten zaczerwienia się od krwi. Szybko trafia do szpitala w Kielcach, tam po tomografii decydują o przewiezieniu go do specjalistycznej kliniki okulistycznej w Lublinie. Pierwsza operacja oka. Jeszcze nic nie wiadomo. Konsultacje z niemieckim klubem – Bielecki gra wówczas w Mannheim – i transport za granicę. Drugi zabieg w klinice w Tybindze, najlepszej za Odrą. I koniec. Oko nie do uratowania.

Julita Ilczyszyn na podium po zwycięstwie w biegu na 50 km na Saharze FOT. ARCHIWUM JULITY ILCZYSZYN

Dla szczypiornisty musiało to brzmieć jak wyrok. Ogromna tragedia. Człowiek, który na pierwszy obóz piłki ręcznej zarobił sam, harując na budowie jako 15-latek, zawodnik, który grał na świetnym poziomie w zagranicznej lidze, w reprezentacji kraju, nagle traci cały swój świat.

Jak przyznawał potem, bił się z myślami: Co dalej? Postanowił jednak, że wróci na parkiet, choć miał świadomość, że każdy jego błąd będzie teraz inaczej traktowany – jak wyrzut, że drużyna cierpi przez człowieka nie w pełni sprawnego, który nie umie odpuścić. Łatwo nie było. – Miałem trenera, który w rozmowach ze mną mnie wspierał, a za plecami mówił: kaleka – wyznał potem w rozmowie ze Sport.pl.

Jednak już w pierwszym powrocie na parkiet w Bundeslidze rzuca 11 punktów w meczu i zostaje najlepszym zawodnikiem spotkania. Od tej pory na parkiet wchodzi w specjalnych ochronnych okularach – drugiego oka stracić już nie może. Jeszcze w 2010 r. gra znów w reprezentacji Polski. Razem z nią zdobywa pięć lat później trzecie miejsce na mistrzostwach świata. Na igrzyskach w Rio w 2016 r. lądują tuż za podium. Święci też wiele krajowych triumfów z Vive Kielce, do którego przeniósł się z Niemiec w 2012 r. Karierę kończy w 2018 r.

W Polsce jest bohaterem. Tytanem. Tylu ludzi prosi go o radę, jak podnieść się po trudnych sytuacjach, że postanawia o tym napisać i wydaje książkę. Twierdzi, że pisał ją przede wszystkim dla młodzieży. – W życiu najłatwiej jest upaść – mówi w wywiadach. I dlatego chce motywować młodych do podejmowania wyzwań.

SUKCES TKWI W PORAŻKACH

Takich ludzi jak Kubica i Bielecki w Polsce jest więcej. To też sportowcy amatorzy. O nich dowiadujemy się rzadziej, bo ich historie nie trafiają na czołówki mediów. Są jednak równie motywujące. Tak jak historia Julity Ilczyszyn, nauczycielki wychowania fizycznego z podstawówki w podwarszawskim Józefosławiu.

Od dziecka zajmowała się lekkoatletyką. Na koncie miała nawet wicemistrzostwo Polski w skoku w dal. Jako dorosła kobieta po urodzeniu drugiej córki zabrała się do biegów ekstremalnych.

Swoich uczniów z podstawówki motywuje żartobliwie: „Jak nie zwymiotujesz z wysiłku, to znaczy, że nie dałeś z siebie wszystkiego". I wie dobrze, o czym mówi, bo sama doświadczała skrajnych stanów podczas sportowego wysiłku. W marcu 2019 r. pobiegła w Runmageddon Sahara. Na pustyni w różnych warunkach musiała wraz z innymi zawodnikami pokonać 50 km. Na mecie zjawiła się jako pierwsza z kobiet. A miesiąc później jej świat się załamał. Tata, człowiek, któremu wiele zawdzięcza, uległ wypadkowi w pracy. Jednostronny paraliż, wyłączenie mowy. Aby pomóc ojcu, zaczęła organizować internetowe zbiórki – na dalszą rehabilitację, leki.

I właśnie ojcu zadedykowała bieg na 100 km na Kaukazie, w którym wzięła udział we wrześniu 2019 r. Była tam trzecia. – Tak chciałam podziękować tacie, to było dla niego – mówi „Do Rzeczy".

Dalej nie miało być znów łatwo. Ilczyszyn przygotowywała się do castingu do programu „Ninja Warrior Polska" i podczas ostatniego treningu przed występem tak nieszczęśliwie upadła, że zniszczyła sobie kolano. Operacja, odstawienie od sportu.

Po roku właśnie wróciła do treningów biegowych. Jej celem są teraz zawody Racing The Planet – bieg przez cztery pustynie (4 Deserts Ultramarathon Series): Atakama, Gobi, Namib i Antarktyda. Żadna Polka tego biegu jeszcze nie ukończyła. Ilczyszyn chce być pierwsza. Na wyprawę zbiera na portalu Patronite.

Co radzi tym, którzy chcieliby się podnieść po trudnych sytuacjach? – Najlepiej korzystać z tego wszechobecnego hejtu, który się na was wylewa. Mnie to zawsze nakręca, żeby pokazać im, że jestem jednak najlepsza – żartuje w rozmowie z „Do Rzeczy". Zaraz jednak poważnieje i dodaje: – W sporcie najczęściej się przegrywa. I to nas buduje. Ważne jest, by analizować swoje porażki i wyciągać z nich wnioski, przecież właśnie tam, w każdej z tych rzeczy, gdzie coś się nie udało, ukryty jest przyszły sukces.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed1acd778b

PIERNICZKI NORYMBERSKIE PIECZE JACEK ŁĘSKI

FOT. FOT. ARCHIWUM JACKA ŁĘSKIEGO

Dawno temu pracowałem na północy Grecji u jednego Niemca na budowie. Nazywał się Winfried Lutz i pochodził z Erlangen pod Norymbergą. Kiedyś rozmowa zeszła na pierniczki. Chwalił się, że najlepsze na świecie są te z Norymbergi. Nie dowierzałem, więc obiecał, że mi przyśle na święta. Nie wziąłem tego poważnie, więc byłem bardzo zaskoczony, gdy w połowie grudnia przyszła do mnie paczka z nieprawdopodobnie pysznymi pierniczkami od Winfrieda. Były miękkie, aromatyczne, gruboziarniste, pokryte lukrem i upieczone na opłatku. Niebo w gębie. Nigdy wcześniej takich nie jadłem. Wiele lat później znalazłem podobne w jednym z supermarketów, ale wciąż wspominam te pierwsze.

Wiele razy sobie obiecywałem, że spróbuję takie upiec, wreszcie w tym roku się zebrałem. Nie wyszły takie równiutkie jak ze sklepu, ale i tak było warto. Właściwie obywają się bez mąki. Całe ciasto to mielone migdały, orzechy, miód, cukier i przyprawy. Zamiast opłatka (żeby się ciasto do blachy nie kleiło) można zastosować oblaty lub andruty.

FOT. ARCHIWUM JACKA ŁĘSKIEGO

Składniki:

- zmielone na grubość drobnej kaszy orzechy: 200 g migdałów, 50 g orzechów makadamia, 50 g orzechów laskowych, 50 g masy marcepanowej
- 20 g mąki
- 150 g drobnego cukru trzcinowego
- 50 g miodu (płynnego)
- białka z 2 jajek
- 20 g przyprawy do pierników
- 10 g proszku do pieczenia
- bardzo drobno posiekane: 25 g kandyzowanej skórki cytrynowej, 25 g kandyzowanej skórki pomarańczowej, laska wanilii, pół łyżeczki mielonego kardamonu

Przygotowanie:

Najpierw prażymy na patelni migdały i inne orzechy – trzeba uważać, by nie przypalić. Dobrze robi dodatek świeżo startej skórki cytrynowej z jednej cytryny. Wszystko mieszamy w mikserze. Ciasto ma być lepiące o konsystencji pasty. Pierniczki powinny mieć ok. 8–9 cm średnicy. Pieczemy w temperaturze ok. 180 st. C przez 15 minut. ©℗

oprac. raw

Jacek Łęski jest dziennikarzem TVP.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Starzy, coming out!

Starszych ludzi jest coraz więcej i nie chcą tylko karmić z wnukami kaczuszek, reklamować kleju do protez i nosić workowatych ubrań. Dla mody do tej pory nie istnieli. To zaczyna się zmieniać. Starość jest modna, przynajmniej wnosząc po reklamach. Nie, nie chodzi mi o lekarstwa na reumatyzm, chodzi o produkty bardziej glamour – kosmetyki, ubrania, samochody. Balmain, Celine, Givenchy, Balenciaga.

Joan Didion (86 lat) reklamuje ekskluzywną markę Celine, Jane Fonda (83) – kosmetyki L'Oreal, Charlotte Rampling (75) – Givenchy i Marc Jacobs. Ujmujący (niestety już wzięty) George Clooney poleca Nespresso. Krystyna Janda, wprawdzie poddana potężnej obróbce graficznej, reklamuje kosmetyki własnej marki. Magda Gessler z coraz bardziej pucołowatymi policzkami i coraz bardziej złotymi lokami jest wyrocznią w sprawach kulinarnych.

Ale szczytem szczytów tej ostatnio coraz bardziej zauważalnej tendencji jest niejaka Iris Apfel, która 100. urodziny obchodziła 29 sierpnia. Architektka wnętrz z Nowego Jorku urządzała gabinet dziewięciu prezydentom USA, a niedawno wystąpiła w kampanii reklamowej H&M. Szwedzka marka zaprojektowała specjalnie dla niej kolekcję tzw. kapsułową (czyli jednorazową), która sprzedała się jak świeże bułki.

Ich siłą jest wiek. Nie muszą się starać. W pewnym wieku po prostu emanują swoją obecnością. Wystarczy być. A ich potencjał oddziaływania reklamowego bierze się z popularności w pokoleniu powojennego wyżu demograficznego. Jak nie zaufać komuś, kto ma tyle lat co my? W Ameryce ci wszyscy staruszkowie nazywani są „grandfluencers" – dziadkowie influencerzy.

Iris Apfel FOT. ZENNI OPTICAL

Osobiście nie wierzę, że we współczesnym systemie jest siła, która mogłaby sprawić, żeby starość stała się modna. Jednak faktów nie sposób nie zaakceptować. Epoka staruszków nadeszła. W demografii jest to oczywiste od dawna W roku 2000 na świecie było 600 mln ludzi powyżej 60. roku życia. W 2010 r. było ich już 800 mln, w roku 2050 liczba ta urośnie do 2 mld. W Stanach Zjednoczonych za dwa lata połowa populacji będzie po pięćdziesiątce i ta część będzie dysponować 70 procentami siły nabywczej. Demografowie obliczają, że w Polsce do 2050 r. emeryci będą stanowić prawie 40 proc. społeczeństwa. W 2050 r. na 1 tys. wnuków będzie przypadało 2693 dziadków.

I wtedy porozmawiamy. Jeśli dożyjemy. ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

TEST „DO RZECZY": ZESTAW FRITZ! POWERLINE 1260E + 1220E, CZYLI INTERNET PROSTO Z GNIAZDKA ELEKTRYCZNEGO

Możliwość szybkiego stworzenia sieci internetowej z wykorzystaniem istniejącej instalacji elektrycznej, wysoka przepustowość, wynosząca nawet 1200 Mbit/s, szyfrowane połączenie pomiędzy adapterami, intuicyjna obsługa i dobra jakość wykonania – to największe zalety urządzenia sieciowego niemieckiej marki Fritz!.

Nawet początkujący gracze, telemaniacy i inne osoby, które potrzebują szybkiego i stabilnego Internetu, wiedzą, że najlepszym rozwiązaniem są stałe łącza kablowe. Niestety, w wielu domach i mieszkaniach nowych kabli nie da się już pociągnąć tak, żeby nie psuć estetyki wnętrz. Wi-fi nie zawsze zdaje zaś egzamin, bo w niektórych pomieszczeniach siła sygnału może być niewystarczająca, aby móc bez obaw grać on-line lub oglądać seriale w najwyższej rozdzielczości obrazu. W takiej sytuacji ratunkiem może być właśnie technologia przesyłu danych internetowych z wykorzystaniem istniejącej już instalacji elektrycznej.

Instalacja i konfiguracja urządzenia są szybkie i bezproblemowe. Wystarczy włożyć do kontaktu jeden z elementów zestawu i zwykłym klasycznym kablem RJ45 podłączyć go do routera. Od tego momentu przy wykorzystaniu testowanego zestawu Frtiz! każde gniazdko elektryczne w domu, mieszkaniu lub małym biurze staje się potencjalnym portem sieciowym,

co pozwala znacząco rozszerzyć zasięg sieci internetowej. Drugi adapter z systemu również po prostu wkłada się do kontaktu. Najlepiej w pomieszczeniu, w którym stoi oddalony od routera komputer czy telewizor. Następnie wystarczy nacisnąć kilka przycisków na routerze i adapterach, aby korzystać z rozszerzonego zasięgu sieci wi-fi lub podpiąć się do Internetu za pomocą kabla RJ45. Cały proces jest jeszcze prostszy do wykonania niż do opisania. Większość użytkowników poradzi sobie zapewne z konfiguracją zestawu, nawet nie zaglądając do instrukcji obsługi. W podobny sposób do sieci można podłączać nowe, dodatkowe adaptery.

Maksymalna prędkość przesyłu danych przy wykorzystaniu testowanego zestawu Fritz! wynosi według producenta aż 1200 Mbit/s. W rzeczywistości ta liczba bliższa jest 1000 Mb/s, ale to i tak spora prędkość, więc nie będę szczególnie marudził. Trzeba jednak pamiętać, że tak wysoką szybkość przesyłu danych można uzyskać tylko w przypadku, gdy instalacja elektryczna jest trójprzewodowa (z popularnym bolcem). Wówczas prędkość Internetu z adaptera będzie taka sama lub zbliżona do tej, którą uzyskałoby się przy bezpośrednim podłączeniu do routera. W przypadku starych instalacji dwuprzewodowych transfer będzie już istotnie niższy.

Dane krążące w instalacji elektrycznej są oczywiście zabezpieczone. Połączenie pomiędzy adapterami jest szyfrowane za pomocą algorytmu AES przy użyciu 128-bitowych kluczy szyfrowania.

Design obu urządzeń wchodzących w skład zestawu jest prosty i minimalistyczny. Trudno uznać je za dodatkową ozdobę domu czy mieszkania, ale na pewno nie będą go także szpecić. Urządzenia są solidnie wykonane.

Wady? Trochę szkoda, że nie każdy adapter w testowanym zestawie jest wyposażony w gniazdo 230 V. Urządzenia mogłyby być też chociaż trochę mniejsze. Również cena jest dość wysoka. Cały zestaw zasługuje na polecenie ze względu na stabilność działania, szybkość transferu danych, banalnie prostą obsługę i dobry stosunek ceny do jakości. Trzeba za niego zapłacić 699 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

ODKURZACZ PRZYPILNUJE DOMU?

Wiadomo, że najlepszym przyjacielem człowieka jest pies (lub ewentualnie kot, świnka morska czy inne stworzenie futerkowe). Smutek przychodzi wówczas, gdy człowiek wychodzi do pracy, a futrzak musi zostać sam w czterech ścianach. Nowy robot sprzątający od Samsunga nie tylko regularnie zbiera sierść z podłogi, lecz także potrafi samodzielnie rozpoznać kocie lub psie nieczystości, co eliminuje ryzyko zabrudzenia całego mieszkania zwierzęcymi odchodami. Drugą zaletą modelu Jet Bot AI ma być tryb Jet Live, który wykorzystuje przednią kamerę robota, aby na żywo ukazywać użytkownikowi, co dzieje się w jego domu pod jego nieobecność. Bez trudu można więc sprawdzić, które zwierzę sprawiło tym razem, że „choinka znowu zemdlała". Odkurzacz może też alarmować użytkownika, gdy jego czworonóg przez dłuższy czas pozostaje w bezruchu, co świadczyłoby o problemach zdrowotnych pupila. Oczywiście dzięki kamerce można też sprawdzić, co robią dzieci, lub upewnić się, że po mieszkaniu nie szwenda się nikt niepożądany.

BEZPRZEWODOWA ŁADOWARKA OD IKEI

Szwedzka IKEA, która od dawna ma już w swojej ofercie bezprzewodowe ładowarki, wprowadziła na rynek model NORDMÄRKE. To pierwsza przenośna ładowarka bezprzewodowa tego producenta, a więc taka, która jednocześnie pełni funkcję banku energii. Niestety, pojemność akumulatora wynosi zaledwie 6500 mAh. Szału nie ma. Poza tym pierwsi użytkownicy skarżą się na to, że nowy model wolno ładuje sprzęty. I mogą mieć rację, bo nowa ładowarka szwedzkiego giganta meblowego ładuje smartfony i inne gadżety z mocą zaledwie 5 W, podczas gdy wiele podobnych produktów konkurencji oferuje dwukrotnie wyższą moc ładowania (niekiedy wynosi ona nawet 30 W) lub chociaż opcję szybkiego ładowania indukcyjnego. Cena jest jednak atrakcyjna i wynosi 59,99 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ed1acd778b

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zwierciadło Twardowskiego

JACEK KOMUDA

W kościele farnym w Węgrowie znajduje się metalowe zwierciadło niedające odbicia. Jest to jedyna pamiątka po prawie legendarnym czarnoksiężniku Twardowskim, tym samym, który stał się zarówno bohaterem bajek dla dzieci, jak i ballady Adama Mickiewicza, gdzie diabeł porwał go do piekła z karczmy zwanej Rzymem. Aby nie było wątpliwości, po kim ta pamiątka, na ramie znajduje się napis głoszący: „Bawił tym zwierciadłem Twardowski, wykonując magiczne sztuki, teraz narzędzie zabawy zostało przeznaczone na służbę Bogu". Oczywiście tak jak w przypadku innych magicznych przedmiotów oraz aby miał odpowiednią oprawę jest on po łacinie, a ja przytoczyłem przekład za Romanem Bugajem („Nauki tajemne w dawnej Polsce").

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. DBA

Czy rzeczywiście przedmiot ten należał do Twardowskiego, który jest postacią historyczną? Potwierdzają to nieliczne źródła. Otóż Józef Wereszczyński napisał w 1578 r., że Twardowski, który przybył do Polski z Wittenbergi, zapisał magiczne zwierciadło bp. Franciszkowi Krasińskiemu. Tymczasem Węgrów, należący do Radziwiłłów, został w 1664 r. sprzedany właśnie rodzinie Krasickich, którzy z miejsca zabrali się do zwalczania miejscowych protestantów. W tym celu Jan Bonawentura Krasiński wzniósł tutaj w 1669 r. klasztor oo. Reformatów, a na przełomie stuleci przebudował miejscowy kościół farny. Władysław Wójcicki wyjaśniał w XIX w., że napis na zwierciadle kazał sporządzić pierwszy proboszcz Węgrowski. Artefakt zatem był darem od bp. Krasickiego dla miejscowej parafii. I jeśli Wójcicki nie konfabulował, to rzeczywiście należał on do sławnego czarnoksiężnika.

Już w XIX w., jak podaje Roman Bugaj, zwierciadło przewija się przez liczne inwentarze i dokumenty węgrowskiej parafii. Wspomniane jest po raz pierwszy w 1811 r., a potem w 1828 r. opisuje je Teodor Narbutt, który oglądał je przejazdem. Podaje też dokładny opis, wspominając, że jest „stłuczone tylko u dołu na czwartą część wysokości wciąż w poprzecznym kierunku, a dolna sztuka roztrzaskana na dwie nierówne części". Narbutt uważa, że uszkodzenie nastąpiło na skutek upadku, ale przytacza miejscową legendę, jakoby uczniowie rzucali w nie kamieniami, gdyż odbicie wykrzywiało ich oblicza. Wreszcie jeden z nich, cisnąwszy kluczami od kościelnej furty, rozbił je tak, że zaprzestało odbijać ludzkie twarze. W Węgrowie krążyły wówczas legendy, że ukazywały się w nim wizerunki diabłów, dlatego zostało zawieszone wysoko nad drzwiami i nikt nie mógł się w nim przejrzeć. Począwszy od 1871 r., liczni specjaliści analizowali materiał i budowę tego przedmiotu, jednak nie odkryli niczego ponad to, że wykonane było z bizmutu i antymonu z domieszką miedzi, dawało odbicie lekko czerwonawe i nie różniło się od wielu podobnych zwierciadeł z XVI–XVII w. Dodatkowo Tadeusz Przypkowski badający obiekt w 1958 r. stwierdził, że jest wykonany z metalu, w którego skład wchodzą srebro, cynk i cyna, i został wyjątkowo źle odlany. Dodatkowo, jak uważa Roman Bugaj, wbrew stwierdzeniom Wójcickiego napis pochodzi nie z lat 70.–80. XVI w., ale z ok. 1706 r. i jest dziełem księży reformatów, którzy chcieli zwrócić uwagę na ciekawy przedmiot, sprawiający, że miasteczko i kościół bywały często odwiedzane.

Do czegóż jednak miało być stosowane zwierciadło przez Twardowskiego? Cóż, ukazywały się w nim wizerunki osób zmarłych, duchów i – jak przechowała tradycja ludowa – czartów i diabłów. Przede wszystkim zaś pojawiał się duch Barbary Radziwiłłówny przywoływany dla króla Zygmunta Augusta. Niestety, opowieść o tym nie ma żadnego potwierdzenia w źródłach i – jak podaje Roman Bugaj – jest wersją czysto literacką, powstałą w XIX w., gdyż opisy źródłowe seansu spirytystycznego, w którego czasie Twardowski przywołał ducha królowej, są zupełnie inne i nie wspominają o zwierciadle. Jeszcze ciekawszą wersję podał w 1956 r. Pantelejmon Juriew, który stwierdził, że zwierciadło skonstruowane było w taki sposób, że w odpowiednich warunkach pokazywało dwie postacie – niewiasty i diabła. Niestety, teza ta nie została potwierdzona przez żadne badania naukowe.

Czy jednak w ogóle jest to zwierciadło magiczne? Zdaniem licznych specjalistów tak, ale nie wykorzystywane było do wywoływania duchów, a do katoptromancji, czyli sztuki wróżenia z luster i kryształów. Na razie innego jego zastosowania nie znamy. Twardowski najprawdopodobniej przywiózł je z Niemiec, aczkolwiek nie brak opinii, że odlano je w Polsce, w Bodzentynie, w rezydencji Krasickich. Być może zresztą zostało zakupione wspólnie przez Twardowskiego i Krasińskiego, którzy razem przebywali w Rzeszy Niemieckiej, w Wittenberdze na studiach. ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Człowieku, lecz się sam

Pisałem wiele razy o amantadynie, leku, którym m.in. dr Bodnar leczył i wyleczył tysiące ludzi. Rozmawiałem z nim o tym, jak był prześladowany za to przez organizacje lekarskie i (sic!) Rzecznika Praw Pacjenta (ale chyba praw nie do leczenia). Rok temu dało mi nadzieję to, że Ministerstwo Zdrowia zdecydowało się na dwie rzeczy: dopuszczenie amantadyny do procedur w leczeniu COVID i rozpoczęcie badań nad jej skutecznością.

Ta druga rzecz utknęła i do dziś, a minął rok, nie udało się zakończyć badań, głównie z powodów proceduralnych. Przypomnę, że chodzi o lek, który jest obecny na rynku od ponad 45 lat, przebadany na wszelkie możliwe skutki uboczne, który – okazało się – ma dobroczynny wpływ na chorych na koronawirusa. Do tej pory badań nie ukończono, a w tym samym czasie dopuszczono do powszechnego stosowania szczepionki, które nawet nie otarły się o tak wysoki poziom przebadania, jaki miała i ma od lat amantadyna. Jej „wadą" jest powszechna dostępność, sprawdzony brak skutków ubocznych i… niska cena. A więc nie miała dobrych atutów, by wygrać z drogimi i nieskutecznymi terapiami Big Pharmy.

Teraz doszła druga rzecz: 3 grudnia międzynarodowy zespół naukowców opublikował w prestiżowym czasopiśmie „Nature" artykuł będący omówieniem badań zespołu, z których wynikało, że amantadyna ma dobroczynne działanie na COVID, i zarekomendował ją do stosowania jako dostępny i tani lek na koronawirusa. Nie trzeba było długo czekać, bo tydzień po tych rewelacjach Ministerstwo Zdrowia zabroniło stosowania amantadyny w kuracjach covidowych – chyba na wieść, że to działa. W dodatku temat amantadyny jest przyczynkiem do pęknięcia w rządzie, bo na jej wdrożenie naciska minister Warchoł uratowany w zeszłym roku z ciężkiego COVID amantadyną zaordynowaną przez dr. Bodnara. To minister naciskał, by przebadać w zeszłym roku ten lek, minister Niedzielski to obiecał, ale badania się nie zakończyły, zakaz jej stosowania został zaś wprowadzony. Będzie więc gorąco.

Cierpliwych może ucieszyć wywiad w telewizji Polsat, którego udzielił Grzegorz Lato. Nasz piłkarz wszech czasów zapytany, jak przechorował COVID, powiedział, że dziękuje dr. Bodnarowi, bo ten go wyleczył amantadyną. Dziennikarka chciała uciec od kłopotliwej odpowiedzi i zapytała, jak Lato się zakaził, a ten ją dobił, że zaczął gwałtownie chorować po szczepionce.

Nie wiadomo, czy ministerstwo trzyma się zasady, żeby w zarodku dusić wszelkie próby leczenia czy też tak wynika z umów z producentami szczepionek, że pojawienie się lekarstwa będzie hamowane przez władze. Oczywiście dla dobra społeczeństwa, bo przecież nie dlatego, żeby się całe stare i całe nowe zapasy zakupionych szczepionek rozeszły, a przyszły popyt na nie nie osłabł. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Tornado w katedrze

Wstrząsający obraz zmielonych domów po przejściu tornado w Kentucky budzi przerażenie, ale większy ból i lęk wywołuje we mnie informacja, że arcybiskup Paryża chce likwidacji zabytkowego wyposażenia katedry Notre Dame, by zastąpić przepiękne stare zdobienia sztuką współczesną. Nie mogę pojąć, że normalny człowiek może chcieć, w miejsce nanoszonych przez stulecia i trwających jak hymn ku chwale Boga, budzących zachwyt rzeźb, obrazów i dekoracji, wprowadzić do miejsca kultu abstrakcyjne instalacje i multimedialną ścieżkę. Szokujące też jest oświadczenie kurii, że nowa adaptacja pozbawiona będzie chrześcijańskiej symboliki, by nie razić uczuć ludzi innych wyznań i inkluzywnie otworzyć się na wszystkich. Przecież podczas pożaru wnętrze udało się uratować, zatem likwidacja wystroju nie ma uzasadnienia. Decyzja ta urąga też zasadom ochrony zabytków i regulacjom prawnym dotyczącym cennych obiektów kulturowego dziedzictwa. Ponadto zmiana jest niezgodna z funkcją liturgiczną miejsca kultu. Paradoksalnie dziś przeciw niszczeniu obecnego charakteru katedry protestuje ponad 100-osobowe grono historyków sztuki, architektów, profesorów i urzędników administracji publicznej. Laicka, francuska elita spoza Kościoła broni katedry, podczas gdy biskupi chcą dokonać dewastacji.

Czym są średniowieczne katedry, nie trzeba przypominać. Do dziś tajemnicą pozostaje, w jaki sposób, przy ówczesnej technice, zdołano wznieść tak oszałamiające konstrukcje. A przecież technologia i konstrukcja to nie wszystko. Mimo monumentalnych wymiarów gotyckie katedry imponują genialnymi proporcjami, urzekają harmonią bryły, gdzie lekkość filarów, kolumn i przypór, przy tym strzelistość łuków i sklepień, zdaje się zaprzeczać prawom fizyki. Na tym wszystkim przepiękne płaskorzeźby i ornamenty. Twórcy katedr potrafili tchnąć w owe budowle potężny ładunek duchowych odniesień. To nie tylko Biblia Pauperum, teologia, kosmologia, to przede wszystkim oddanie czci Bogu i świadectwo wiary.

Przerażająca swym barbarzyństwem decyzja francuskich hierarchów nie spadła jak tornado na Kentucky. Jest konsekwencją wieloletniego flirtu Kościoła z „duchem tego świata". Objawem jest wychłodzenie pobożności eucharystycznej, zanik troski o piękno kultu Bożego, czyli wypłukiwanie katolickości. Dzieje się to w czasie, gdy Stolica Apostolska wprowadza obostrzenia wobec duchownych i wspólnot pielęgnujących tradycyjną liturgię. Na naszych oczach Kościół staje się częścią amorficznej, homogenicznej, skłonnej do kompromisów ludzkiej masy. Tylko po co nam taka katedra i po co taki Kościół? ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Pół chlebka

Pani aktorka Krystyna Pół Chlebka Janda udzieliła wyczerpującego wywiadu tygodnikowi „Newsweek". Przeczytałem i byłem strasznie wyczerpany. Dama ekranów polskich zatrwożona inflacją nabywa chleb drogą kupna i pół chlebka wsadza do zamrażalnika. Na ciężkie czasy. Bo kto wie, co to będzie, co to będzie? Z czytelnikami dzieli się mimo wszystko ostatnimi okruchami optymizmu, mówiąc, że głodówka ma właściwości wręcz lecznicze, wręcz lecznicze. Te „pół chlebka" rezonowało w mediach społecznościowych, a na Twitterze ludożerka nawet opisywała i pokazywała, co ma w zamrażalnikach, co w zamrażalnikach ma. W przypadkach niektórych widać było przygotowania chyba do wojny wręcz oblężniczej. A u Krysi skromnie, pół chlebka. Jakby co, trzeba by aktorkę dokarmiać. Ja się tu zobowiązuję!

Na Twitterze znowu dyskusja na temat kar cielesnych, ich skuteczności i czy to uchodzi. Czy uchodzi, to się zobaczy, czy kary są skuteczne, to też się wkrótce zobaczy. Przyznać należy, że tym razem temat nie został ujęty w nudne ramy, czy tato może latorośl pasem przeorać czy też absolutnie. Dzięki ludziom, którym nie jest wszystko jedno, czyli dzięki kibicom Legii, temat zyskał nowy wymiar. Po kolejnej przegranej tej drużyny w stylu bez stylu kibice podążyli za autokarem z kopaczami i sprawili im lekki oklep. Żeby była jasność, nóg nie połamali, a mogli. Bo kto by im zabronił? No przecież nie kopacze Legii, bo im jest akurat wszystko jedno. Po tym kołczingu, po tej motywacji w dobrej przecież wierze i dla szczytnego celu robionej odezwały się jednak głosy poprawności politycznej, że nie można, że bandyterka i takie tam. Jaka bandyterka? Przecież zegarki kopaczom kołcze zostawili, a poza tym no naprawdę, czy to nie był ostatni sposób, by wykrzesać z nich odrobinę energii? Przecież w Legii próbowano już wszystkiego, był nawet czas, że mieli trenera. No nic, kilka następnych meczów pokaże, czy oklep ma właściwości orzeźwiające czy też była to zmarnowana energia.

No i na koniec miłość. Wiceminister finansów Piotr Patkowski zaręczył się z wiceminister rozwoju i technologii Olgą Semeniuk. Na TT w związku z tym pojawiały się pytania poważne, ale nie przeważały. Jednego twitterowca męczyła kwestia: Czy ze związku dwóch wiceministrów urodzi się cały minister? Kwestii tej nie rozstrzygnięto. Ponieważ z wyglądu Piotr Patkowski wygląda za młodo, pojawiły się wątpliwości: „Czy Harry Potter może się ożenić?". No to już bezczelność! Piotr Patkowski pali papierosy, więc na pewno jest dorosły. Niniejszym tu się składa parze życzenia z serca! ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Wigilijny owoc poznania

Małgośka, mówią mi, święta są też dla ateistów. Ależ oczywiście! Także kościoły są dla ateistów. Niech wreszcie wejdą bez uprzedzeń i posłuchają, o czym mowa, i to bez pośredników z lewicowych mediów. Siedzenie przy stole z nami, katolikami, też ma swoje zalety, bo trudniej nas potem nienawidzić. Jedyne, przed kim i przed czym marzy mi się chronić święta, to przed komercją, która już od listopada przekonuje nas świątecznym wzornictwem i muzyką, że nadchodzi czas zaspokajania pokus żołądka i oczu.

Pewnie każdy z nas tęskni za atmosferą świąt z dzieciństwa, gdy liczyły się ich esencja, prostota i świadomość, że te dwie stópki ze żłóbka pójdą później na Golgotę. Wzrok kierowało się na mizerną szopkę, sztuczną choinkę, z trudem zdobytego przez rodziców karpia, a i tak wszystko było absolutnie doskonałe.

Święta kojarzyły mi się z pewną sprytnie zakamuflowaną lekcją miłości. Ja, dziecko z małego miasteczka na wschodzie Polski, przez cały rok czekałam, czy Gwiazdka znów przyniesie mi absolutnie najlepszy we wszechświecie owoc – pomarańczę, a słuchając Księgi Rodzaju, tłumaczyłam sobie, że z tym jabłkiem to po prostu błąd tłumacza. Jako wnuczka sadownika uznawałam za absolutnie niemożliwe skusić się na ugryzienie wstrętnego mcintosha czy renety. Co innego dla pomarańczy, tu bez udziału węża i bez Adama rwałabym z drzewa poznania, ile wlezie. Tak więc co roku rodzice „stawali na głowie", aby zdobyć przynajmniej dwie pomarańcze i podrzucić je pod choinkę. I wtedy, gdy w euforii obierania owocu, wąchania, dzielenia i mało przekonującej zachęty z mojej strony, aby inni także się poczęstowali, zaczynał się specyficzny rytuał. Reakcja rodziców i dziadków przez całe lata była jednakowa: wynajdywali sto dziwnych wymówek, aby nie tknąć owoców ani czekolady. Myślałam wtedy: „Ale ściemniają, wyrzekają się dla mnie tego, co najlepsze".

Smak pomarańczy trącał goryczą odkrywania, że miłość tak naprawdę oznacza wyrzeczenie, oddanie dziecku tego, co najlepsze, prawdziwy opłatek dzielony, oddawany z miłości. Wnioski, które wtedy wyprowadzałam po cichu, były dość radykalne: „W życiu nie będę miała dzieci! Nie oddam pomarańczy bachorom!". Los sprawił, że nigdy nie musiałam odmawiać sobie jedzenia, aby dać synom. Także los sprawił, że weszłam w Hiszpanii do pięknego sadu pomarańczy, ale chodziłam po nim nieporuszona. Rajski ogród jest tam, gdzie otrzymujemy i dajemy z miłości, a nie gdzie zrywamy mnóstwo w przepychu. A Święta Rodzina przechodzi czasem także przez nasze nieświęte domy… ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Hierarchia miłości

Są pilne sprawy w Kościele w Polsce. Ludzie walą drzwiami i oknami na nabożeństwa. Ustawiają się długie kolejki do Komunii, co znacznie wydłuża czas trwania Eucharystii. Nie nadążają księża wspomagani od lat przez świeckich szafarzy. W obliczu tłumów nawiedzających kościoły biskupi uchwalili niedawno dokument dopuszczający kobiety do rozdawania Komunii Świętej. Teraz rozładują się tłok i ścisk, które w warunkach pandemii (a od jej początków wiemy, że wirus jest bardzo pobożny) niosą ze sobą poważne zagrożenie dla zdrowia.

Oczywiście te tłumy w świątyniach mają się tak do rzeczywistości, jak – nie przymierzając – to, że piszący te słowa zostanie ambasadorem RP w Berlinie. Niemniej jednak wspomniana decyzja polskich biskupów jest kolejnym przykładem doskonałego rozjechania się troski pasterzy z tym, co trapi ich owieczki (lub zagraża im). Pierwszy raz takie odczucie pojawiło się na początku zarazy, gdy okazało się, że wspomożenie nasze leży przede wszystkim w maseczkach, pilnowaniu nakazanego przez Ministerstwo Zdrowia zagęszczenia w kościołach i Komunii na rękę.

Po raz drugi to fatalne wrażenie pojawiło się w momencie eskalacji przez władze białoruskie (działające na zlecenie swojego kremlowskiego pryncypała) kryzysu migracyjnego na naszej wschodniej granicy. Po pierwszym oświadczeniu przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski (KEP) abp. Stanisława Gądeckiego, w którym wyraźnie była mowa o niedopuszczalnym wykorzystywaniu ludzi do szturmowania naszych granic i prawie państwa do czuwania nad bezpieczeństwem swoich obywateli, nastąpiło drugie, z którego już nic nie wynika. Poza tym, że trzeba pomagać nieszczęśliwym ludziom zwożonym nad naszą granicę przez białoruski reżim. Jakby tym razem oświadczenie napisała nuncjatura w Warszawie albo kard. Krajewski z Rzymu.

Na naszych oczach widzimy dramatycznie negatywne skutki zarzucenia nauki skierowanej w 1998 r. (prawie ćwierć wieku temu!) przez św. Jana Pawła II do biskupów całego świata w encyklice „Fides et ratio". Dokument nie został opatrzony tradycyjną formułą „do wszystkich ludzi dobrej woli". Papież zwracał się tylko do biskupów na całym świecie. Zalecał oparcie formacji kapłańskiej i teologicznej na solidnych podstawach filozoficznych czerpanych z metafizycznej filozofii bytu, której ciągle aktualnym mistrzem pozostaje św. Tomasz z Akwinu. Na zdrowej filozofii buduje się zdrową teologię, która otwiera perspektywę właściwej formacji kapłańskiej. Dobrze uformowani kapłani są w stanie prowadzić skuteczną pracę duszpasterską. Ta zaś minimalizuje możliwości deklaracji typu: „Jestem osobą wierzącą, ale uważam, że reprodukcyjne prawa kobiet muszą być respektowane".

Zdrowa filozofia to także znajomość znaczenia podstawowych pojęć. Także tych, które dzisiaj zupełnie zniknęły z dokumentów publikowanych przez KEP, takich jak „dobro wspólne" czy „ład miłości".

Dawno, dawno temu, w zamierzchłych czasach, gdy istniało w Polsce społeczne nauczanie Kościoła, można było przeczytać (i usłyszeć z ambon) w liście pasterskim polskich biskupów, że „ateizm jest grzechem, i to w naszych warunkach jednym z największych grzechów. Dlaczego? Każdy bowiem chrześcijanin otrzymuje na chrzcie świętym łaskę wiary, to jest pomoc, ułatwiającą mu osiągnięcie wiary świadomej i dojrzałej. Kto tę łaskę traci przez zaniedbanie, lekceważenie czy złą wolę, ten winien jest grzechu. Ateizm jako grzech wyrządza ogromną zniewagę Stwórcy i przynosi nieobliczalne szkody duszom ludzkim, a na dłuższej fali – także stosunkom społecznym" (15 kwietnia 1962 r.).

Dawno, dawno temu przewodniczący KEP potrafił powiedzieć: „Cieszymy się, czytając w prasie warszawskiej protesty podnoszone przeciwko temu, że jakiś Murzyn został zlinczowany lub zastrzelony na ulicy. Chcielibyśmy jednak, aby ta wrażliwość na człowieka upowszechniła się, działając według hierarchii miłości. Zanim dotrze do Algieru czy Wietnamu, niech najpierw objawia się na ulicach Warszawy, w naszych miastach, szpitalach, warsztatach pracy. Pragniemy, by w traktowaniu człowieka w Ojczyźnie naszej ożyły jego prawa: prawo do prawdy, do wolności, do sprawiedliwości, do szacunku i do miłości".

Te słowa wypowiedział 28 grudnia 1963 r. bł. kard.Wyszyński. Co by powiedział dzisiaj, gdy zaleca się nam pomaganie tym, którzy szturmują nasze granice? ©℗

Dawno, dawno temu, w zamierzchłych czasach, gdy istniało w Polsce społeczne nauczanie Kościoła, można było przeczytać (i usłyszeć z ambon) w liście pasterskim biskupów, że „ateizm jest grzechem"

eprasa.pl ed1acd778b

ROAD KILL

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Na święta jeździliśmy do ciotki w lesie. Tam było wszystko, a w miastach było jedno wielkie nic. Wujek polował, więc nasze kartki na mięso wymienialiśmy na czarnym rynku na inne cenne towary, których w lesie było brak. Wigilia zawsze postna, ale reszta świąt suta mięsem i całe to mięso to była dziczyzna. Szynki, kiełbasy, pasztety, kotlety, bigosy – wszystko z dziczyzny, którą wujek upolował bez kartek. Tak było za komuny.

Teraz mieszkam na prerii. I tu też wigilia postna, ale reszta świąt z dziczyzny, choć w USA nie ma kartek na mięso (jeszcze). Jest za to mięso z drogowego uboju, czyli ROAD KILL. Posłuchajcie…

Road kill – dziczyzna ubita samochodem. Normalni ludzie tego nie zbierają z asfaltu, a tym bardziej nie jedzą. My – na prerii – nie jesteśmy „normalni". Jemy wszystko, co się rusza. Czasami jeszcze zanim przestało się ruszać i czasem na surowo. To nie powinno oburzać ludzi znających tatara i sushi.

Road kill – mięso z drogowego uboju. Pyszne i tanie. Pyszne, bo tanie. A ponadto zostają po nim trofea, które zdobią dom. Wypchany pancernik ze śladem opony przez plecy. Rozłożyste poroże jelenia, ale rogi tylko z jednej strony, gdyż druga część wieńca została zgruchotana w zderzeniu. Są też trofea na samochód – rogi z czaszką przyczepione na masce, skóry zdarte z kojotów zawieszone z tyłu, a na desce rozdzielczej głowa grzechotnika zamocowana na sprężynce ze starego długopisu.

Są też trofea drugiej klasy. Przedmioty takie jak przepiękna stara chłodnica, rozwalona, gdy wbił się w nią łeb dzikiej świni. Wieszasz ją na stodole jako ozdobę i w dobrym tonie jest, gdy cię ludzie pytają: „A od czego to takie powyginane?". I wtedy masz szansę pochwalić się, jak to z premedytacją trykałeś tego dzika trzy czy cztery razy, zanim w niego wcelowałeś porządnie i już nie był ogłuszony (czyli wciąż groźny), lecz ostatecznie i definitywnie zabity na śmierć. Chłodnica poszła w drzazgi, ale mięcho poszło się piec. A co pieklismy? „Bitki drogowe".

***

Wszyscy wozimy w autach broń. Ktoś mógłby więc spytać, po co rozwalać chłodnicę, waląc w zwierzę wielokrotnie, skoro można sięgnąć po strzelbę i dobić potrąconego dzika jednym strzałem? Hm… Road kill to sprawa HONOROWA. Trzeba tu mieszkać, żeby zrozumieć. Road kill to zupełnie inny rodzaj jedzenia niż dziczyzna z klasycznego polowania. Jeżeli ma smakować, to musi być ubite autem od początku do końca, bez chodzenia na skróty.

Mięso upolowane z broni myśliwskiej też jest smaczne, ale to nie to samo. Wiem, co mówię – jadłem takie i takie. Idąc na polowanie czy na ryby, spodziewasz się, że wrócisz do domu z żarciem, a jadąc na niedzielną Mszę, nie spodziewasz się, że ubijesz autem dzikiego indyka. Niespodzianka cieszy, podnieca i smakuje inaczej, lepiej.

***

– Rozjechałem twardziela elegancko – chwalił się Jeff, trzymając za ogon pyszniutkiego pancernika. – Smyrnął, skórkowany, między koła, ale dałem skręt i rozjechałem dziada tylnymi.

– Miszcz z ciebie, Jeff!

– Miszcz! – potwierdził Jeff bez specjalnej dumy, raczej po prostu stwierdził oczywistą oczywistość.

Jeff jest mistrzem drogowego uboju, bo nie rozwala żarcia ani trofeów na miazgę. Gdy ktoś cię zaprasza na drogowe „miąsko" z drobnych zwierząt, to zazwyczaj poda gulasz, szaszłyki lub zapiekankę, bo wszystko jest zmasakrowane. Natomiast Jeff podaje coś, do czego pasuje nóż, a nie tylko łyżka. U niego wszystko jest umiejętnie „przetrącone", a jeżeli czasami zdarzy się „rozjechane", to precyzyjnie i punktowo, a nie po całości. Wspomniany pancernik miał rozjechaną tylko głowę, reszta była nietknięta.

Sztuką najwyższą jest ubić zwierzę tak, by nie rozwalić ani mięsa, ani auta. To trudne, bo gdy walnąłeś jelenia, sarnę, łosia lub dzika, mięso jest w stanie doskonałym, natomiast auto wymaga naprawy. Z kolei przy zwierzynie drobnej – zające, króliki, pancerniki, oposy… – auto jest w porządku, natomiast mięso nadaje się tylko na gulasz lub na pieczeń zmieloną (meatloaf). A Jeff wali autem tak, że nie musisz robić pasztetu z zająca – możesz podać pieczyste. Miszcz!

***

Jeff zaprosił nas na road kill. A przy okazji w TV był mecz uniwersyteckiej ligi futbolowej. Lubimy oglądać, bo na tych meczach publiczność skanduje „F..K JOE BIDEN", nie nosi masek, nie podlega żadnym ograniczeniom szczepionkowym, a do tego, gdyby któryś zawodnik zdecydował się klękać, zostanie wygwizdany. (Przy okazji kłaniam się oprawcom Legii za to, co pokazali na meczu z Brytolami – zuchy, kozaki, Miszcze!)

Jeff podał pieczyste z pancernika, jako zakąskę, a do tego piwo marki „weź se sam, wiesz, gdzie jest" i zasiedliśmy do meczu.

***

Jedzenie ubitego na drodze wzięło się stąd, że na prerii niczego się nie marnuje, nie wyrzuca. Preria to środowisko niedoboru. Wszystkiego tu mało, cenimy więc wszystko, cokolwiek się trafi.

Jeff ma w domu najstarszy telewizor w okolicy – wielkie pudło z kineskopem – i nie wyrzuca. Gdy jego ojciec kupował tego potwora, zamówił największy model ówcześnie dostępny na rynku. Były lata 70., o ekranach plazmowych nikt nie słyszał, a kino domowe mógł sobie zainstalować prezydent w Białym Domu i puszczali tam filmy z takiej samej szerokiej taśmy jak w normalnych kinach.

Jeff wciąż ma ten OGROMNY telewizor po ojcu. Kolory wysiadły dawno temu, obraz jest formalnie czarno-biały, ale zmienia się zależnie od tego, jak się telewizor nagrzeje. Najczęściej świeci na zielono, czyli tak, jakbyś oglądał telewizję przez noktowizor.

– Czemu nie wyrzucisz grata, Jeff?

– Działa – skwitował krótko.

Fakt. Na prerii, gdy coś działa, to się tego nie wywala. My tu jesteśmy bardziej eko od tych „zielonych" z Kalifornii, którzy co roku wymieniają na nowszy model wszystko, co mają, a stary oddają do utylizacji w licencjonowanym punkcie. Mieli w życiu po 300 komórek, a swoimi starymi laptopami mogliby wyłożyć pas startowy – bez przerwy kupują nowe i wywalają stare – tacy są „zieloni". A my tu nie wywalamy niczego! Na przykład dobrego mięsa tylko dlatego, że przejechane. ©℗

eprasa.pl ed1acd778b

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

PAKIET KRYMINAŁÓW

REMIGIUSZ MRÓZ „EGZEKUCJA",
DUANE SWIERCZYNSKI „REWOLWER"
JO SPAIN „WYZNANIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~779 ZŁ~~

317,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ed1acd778b

Z okazji świąt Bożego Narodzenia
i zbliżającego się Nowego Roku
składamy Państwu serdeczne życzenia zdrowia,
pomyślności oraz samych sukcesów
w nadchodzącym czasie.

Bank Pekao

eprasa.pl ed1acd778b